tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 28 (1383)
6-12.07.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREZES NFZ TRWA W NAJLEPSZE

MARIUSZ URBANEK
GAŁCZYŃSKI, POETA NIE Z TEJ ZIEMI

WARMIŃSKIE ALEJE POD TOPÓR?

MUNDIALOWE DRAMATY I SENSACJE

BOLESNA HISTORIA

DWA SPOJRZENIA

Prof. Andrzej Romanowski i Bohdan Piętka

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
28 >
9 771509 311607

reprint © przegląd

Zamów prenumeratę
PRZEGLĄDU

InPost Paczkomat 24/7

Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK

Szczegóły: sklep.tygodnikprzeglad.pl.

eprasa.pl f46a69fb42

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Otruty snusami

Zaczęło się lato i w mediach sezon ogórkowy. Tak było, ale odkąd do Belwederu trafił Nawrocki, zamiast ogórków mamy snusy. Nie wiem, czy producenci tej nikotynowej używki jakoś nagradzają człowieka, który jest dla nich chodzącym słupem reklamowym. Naśladowców i konsumentów tego badziewia z pewnością przybyło. Zwłaszcza wśród młodzieży. Bo skoro tak robi wybraniec narodu, to oni też mogą. Choć nie powinni, bo sięgając po nikotynę w jakiejkolwiek postaci, robią głupio i szkodzą nie tylko sobie.

Jak paskudny jest to nałóg i co może robić z człowiekiem, widzimy u Nawrockiego. Prawie codziennie jako „my, naród" dokłada kolejnymi wetami swoją cegłę do paraliżowania państwa. Jest przeciw rządowi prawie we wszystkim. Ktoś mu powiedział, wiadomo nawet kto, że na tym polega praca prezydenta u Kaczyńskiego. Interesy PiS są w jego kancelarii skutecznie realizowane. Pozwalają Nawrockiemu na małe odstępstwa od tej wiernej służby w sprawach bez większego znaczenia. Na razie, póki prezes trwa. Co może się zmienić, bo do powrotu szykuje się Morawiecki, najbardziej przebiegły polityk tego obozu. Wieloletni premier. Jego ludzie zatrudnieni w rządowych agencjach, spółkach skarbu państwa i funduszach zgromadzili gigantyczne środki. Mają więc za co robić wielomiesięczną, kosztowną kampanię wyborczą. Przy tej ekipie Kaczyński ze spółką Srebrna to biedak.

W polityce jest wielu ludzi bez kręgosłupa, ale tak giętki i obrotowy jest tylko jeden – Morawiecki. Przez lata udawał wiernego syna Kaczyńskiego. Kupił sobie jego przychylność i, korzystając z analfabetyzmu prezesa w sprawach gospodarczych, wpakował PiS w projekty, które skończyły się utratą władzy.

Dziś ten przymilny synuś prezesa szykuje się do kanibalizmu. Morawiecki ma w menu stare kierownictwo partii. Chce je wyeliminować i zastąpić swoją gwardią. Młodszą, jeszcze bardziej cyniczną. I jeszcze bardziej pazerną na wszelkie profity. Byle były duże. Niedługo zobaczymy, czy pisowska gwardia weteranów spręży się do jeszcze jednego skoku w obronie władzy. Własnej władzy.

A Nawrockiemu, który, jak pisze prof. Nowak, cudem uszedł z życiem, gdy ktoś chciał go otruć w Ząbkowicach Śląskich, mogły zaszkodzić snusy. W internecie kpią, że może wtedy po prostu przedawkował. Można przypuszczać, że to pod wpływem nikotyny ogłosił trzy lata temu jako prezes IPN: „Uważam, że swoich bohaterów Ukraińcy mają prawo wybrać sobie sami, nawet jeśli dla nich bohaterem jest Stepan Bandera czy Roman Szuchewycz". Teraz całkiem mu się to odwróciło. Czy potrzebny jest lepszy dowód na szkodliwość snusów?

BĄKOWSKI

eprasa.pl f46a69fb42

W NUMERZE

KRAJ
8 **O prezesie NFZ, który się wszystkim ministrom kłania. I trwa**
20 **Rzecznik praw PiS**
Kandydatura Borowskiego to hucpa
24 **Śmiertelna ochłoda**
Tragiczna statystyka utonięć
26 **Kamilek i inne „niemowy"**
Dzieci głosu nie mają i cierpią
28 **Z wieców na TikToka**
Polityka wyradza się w wygłupy
34 **Warmińskie aleje pod topór?**
Bo ma być bezpiecznie
43 **Polskie i ukraińskie rolnictwo**
Uzupełnienie czy zagrożenie?

POLSKA-UKRAINA
12 **Spalona ziemia**
Racja stanu przegrała
16 **Dlaczego Ukraina heroizuje UPA**
Odrodzenie banderowskie jest problemem

TECHNOLOGIE
30 **Sztuczna inteligencja nas nie pokona**
– rozmowa z Ziemowitem Sławińskim

ZAGRANICA
36 **Narodowa przyszłość Włoch**
Korespondencja z Włoch
40 **Była zbrodnia, jest kara**
Skandale w norweskiej rodzinie królewskiej
44 **Narwa – tu zaczyna się Europa**
Korespondencja z Estonii
55 **Skrajna prawica wojuje z reprezentacją**
Francuska tożsamość a piłka nożna

KULTURA
48 **Geniusz, szarlatan, chuligan**
– rozmowa z Mariuszem Urbankiem
52 **100 rozstań na dobę**
Teatralny eksperyment
54 **Qulturalia**
66 **Agata Kus. Obietnice**

SPORT
57 **VAR kiepski, Niemcy fatalni**
Dramaty i sensacje na mundialu

OBSERWACJE
59 **Odzyskać dziecko**
Uprowadzenia rodzicielskie w Japonii

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Otruty snusami
7 **Jerzy Bralczyk**
Paskudny świat
23 **Jan Widacki**
Polityka pokrzykiwania i afrontów
33 **Roman Kurkiewicz**
Jean Ziegler, niewysłuchane sumienie Zachodu
39 **Tomasz Jastrun**
Fale upałów i głupoty
47 **Wojciech Kuczok**
Zarządzanie żarem

52
KULTURA

100 ROZSTAŃ NA DOBĘ
Teatralny eksperyment

55
ZAGRANICA

SKRAJNA PRAWICA WOJUJE Z REPREZENTACJĄ
Francuska tożsamość a piłka nożna

59
OBSERWACJE

ODZYSKAĆ DZIECKO
Uprowadzenia rodzicielskie w Japonii

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f46a69fb42

To wielka umiejętność – skłócić się ze wszystkimi

To wielka umiejętność – skłócić się ze wszystkimi

Polska polityka wschodnia – zapis klęski

Uważam, że na linii Polska-Białoruś stroną bardziej konfliktową jest Polska. Nadmiernie wtrącamy się w białoruskie sprawy, a ,,baćka" jest pamiętliwy i stoi za nim Rosja. Władze RP muszą sobie uświadomić, że Brześć, Grodno to już nie jest terytorium Polski. Trudno też mieć pretensje do Aleksandra Łukaszenki, że wypomina Polsce mordy na Białorusinach popełnione przez tzw. żołnierzy wyklętych. To było bandyctwo i trzeba umieć przeprosić, a nie domagać się jedynie przeprosin ze strony innych narodów. Co do zachodniej Białorusi, która w dwudziestoleciu międzywojennym należała do Polski, należy powiedzieć, że tamtejsza białoruska większość nie była traktowana na równi z Polakami, którzy byli tam mniejszością narodową (naganna polityka sanacji względem narodowych mniejszości jest dobrze znana i wiemy, że nakręcała awersję do Polski i Polaków).

Damian Paweł Strączyk

Premier na najtrudniejsze czasy

Lubię tygodnik „Przegląd", ale tym razem nie zgadzam się z autorem. Za dużo mamy pomników, z których nic nie wynika. Ponadto premier Mazowiecki odpowiada za fatalną decyzję, jaką było wprowadzenie religii do szkół ministerialną instrukcją, bez zmiany ustawy, powołanie słynnej Komisji Majątkowej, której działalność obfitowała w skandale i ogólnie za utorowanie klerowi katolickiemu drogi do zajęcia uprzywilejowanej pozycji w państwie. Odbija się to czkawką do dziś.

Premier na najtrudniejsze czasy

Pomnik Tadeusza Mazowieckiego będzie symbolem III RP

Włodzimierz Mytnik

•

Lepiej późno niż wcale. Premier Tadeusz Mazowiecki był Politykiem z wielkiej litery, jakich dzisiaj brak.

Barbara Targosz

Z UPA na piedestale

Z UPA na piedestale

Państwowa polityka historyczna Ukrainy została oparta na kłamstwie

Gdyby nie ZSRR, to Ukraina miała szansę być niepodległa przede wszystkim ze względu na swoją zachodnią część. A tu niespodzianka – ta sama część była poddana polskiej kolonizacji i gdyby nie Stalin, to Polacy z Ukraińcami mieliby spór podobny do tego w Irlandii. Nacjonalizm ukraiński rodził się w tych czasach, kiedy Polacy byli dla Ukraińców kolonizatorami. (…) Nacjonalizm jest straszną chorobą ale sami jej ulegamy, nawet w tym, jak nie rozumiemy innych nacjonalizmów, tylko własny wynosimy na pomniki.

Łukaszko Walczuk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Dymisje w ratuszu. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski poinformował 3 lipca o rezygnacji wiceprezydentek Renaty Kaznowskiej i Aldony Machnowskiej-Góry. To pokłosie głośnej afery w Szpitalu Południowym.

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl f46a69fb42

40,5 st. C w Słubicach to nowy rekord Polski. Najwyższy wynik w historii polskich pomiarów.

•

3,6 tys. polskich firm jest zainteresowanych wejściem na ukraiński rynek po zakończeniu walk. Szacuje się, że odbudowa Ukrainy może kosztować 800 mld euro.

•

Prawie 200 umów na kwotę ok. 10 mld euro to efekt gdańskiej konferencji na rzecz odbudowy Ukrainy.

•

Janusz Krasoń, były poseł na Sejm IV, V i VI kadencji z ramienia SLD oraz Lewicy i Demokratów został powołany na **głównego inspektora pracy**. Staje na czele PIP, w której zaczyna się reforma wzmacniająca uprawnienia inspektorów pracy.

•

W 2025 r. 66 733 osoby zostały poszkodowane w wypadkach przy pracy. 189 osób zginęło (**GUS**).

•

Laureatką **Nagrody im. Wisławy Szymborskiej** za najlepszy tom poetycki została **Marlena Niemiec**, autorka tomu „Skroń" (Wydawnictwo Convivo). Prócz statuetki otrzymała 100 tys. zł.

•

Sąd okręgowy utrzymał w mocy tymczasowe aresztowanie Zbigniewa Ziobry.

•

Ponad 5% Polaków w wieku 15-64 lata zażywa narkotyki (Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom).

PRZEBŁYSKI

Anna Paluch i mieszkanko za 116 zł

Kto tak uparcie puka spod dna? Anna Paluch, posłanka PiS od sześciu kadencji. Tak biedna, że mysz kościelna jest przy niej krezusem. Choć Paluch w Sejmie zarabia ok. 25 tys. zł miesięcznie. Choć buduje dom o powierzchni 180 m kw. Choć ma działkę leśną i dwie budowlane o wartości ok. 240 tys. zł. I z tej biedy od ponad 30 lat zajmuje mieszkanie komunalne w centrum Krościenka nad Dunajcem. Nie zgadniecie, ile ta bidula płaci za lokal o powierzchni 38,3 m kw. Miesięcznie 116 zł 43 gr! Promocja ekstra dla polityków PiS. A potrzebujący z Krościenka ciągle czekają na lokal komunalny. I będą czekać, bo z bezczelną pisówką nikt nie może sobie poradzić.

Parafia dla specjalisty od bruzd

Czym sobie zawinił warszawski Plac Narutowicza, że na proboszcza Parafii św. Jakuba Apostoła rzucono tam skandalistę? I to takiego z najwyższej półki. Z jednej strony ks. prałat Franciszek Longchamps de Bérier to profesor doktor habilitowany, wykładowca na UJ i UW, członek PAN. Kawaler Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski (od prezydenta Dudy) i adresat lizusowskiego listu od Nawrockiego na 25-lecie święceń. A z drugiej strony nowy proboszcz jest autorem wyjątkowo obrzydliwych słów. Choć minęło 13 lat od wywiadu dla „Uważam Rze", ciągle trudno uwierzyć w to, co powiedział: „Są tacy lekarze, którzy po pierwszym spojrzeniu na twarz dziecka wiedzą już, że zostało poczęte z in vitro, bo ma dotykową bruzdę, która jest charakterystyczna dla pewnego zespołu wad genetycznych". Po takich słowach ksiądz prałat powinien pokutować w klasztorze, a nie rządzić prestiżową parafią.

PYTANIE TYGODNIA

Saszetki nikotynowe: niebezpieczny trend czy alternatywa dla palaczy?

PROF. ŁUKASZ BALWICKI,
lekarz, specjalista zdrowia publicznego, Gdański Uniwersytet Medyczny

Saszetki nikotynowe to produkt przemysłu tytoniowego, stworzony by utrzymać pozycję branży na rynku coraz bardziej świadomych zdrowotnie konsumentów. Wprowadzane wyroby mają przyciągać młodych użytkowników atrakcyjnym wyglądem i różnorodnymi smakami, budując bazę klientów uzależnionych na lata. Co warto podkreślić – nie są one obojętne dla zdrowia. Zawierają toksyczną nikotynę, która silnie uzależnia oraz oddziałuje zarówno miejscowo na błonę śluzową jamy ustnej, jak i ogólnoustrojowo, m.in. na układ sercowo-naczyniowy. Jedyną rekomendowaną przez środowiska medyczne możliwością jest całkowite zaprzestanie nałogu. W tym celu zaleca się metody o udowodnionej skuteczności, w tym odpowiednią farmakoterapię zwiększającą szanse na trwałe wyleczenie.

DR MAGDALENA CEDZYŃSKA,
kierownik Poradni Pomocy Palącym w Narodowym Instytucie Onkologii w Warszawie

Saszetki reklamuje się jako produkt dla osób, które chcą rzucić palenie. W rzeczywistości to jednak zabieg marketingowy. Chodzi o to, by uzależnieni mogli bezkarnie przyjmować nikotynę tam, gdzie nie wolno palić. Co gorsza, przez atrakcyjne smaki i dyskrecję te wyroby celują w nastolatków. Saszetki zawierają duże dawki nikotyny; jednorazowe użycie dostarcza więcej nikotyny niż wypalenie jednego papierosa. Substancja ta silnie uzależnia i dewastuje młody mózg – upośledza pamięć, pogarsza zdolności poznawcze i wywołuje impulsywne zachowania. Choć producenci chwalą się brakiem procesu spalania, to jednak brak twardych dowodów na szkodliwość nie oznacza bezpieczeństwa. Jeśli chodzi o ich wpływ na zdrowie na razie mamy więcej pytań niż odpowiedzi.

ANGELIKA KOŁOMAŃSKA,
psycholożka, psychoterapeutka CBT, Klinika USWPS

Nikotyna jest substancją o wysokim potencjale uzależniającym. Jej działanie polega między innymi na pobudzaniu układu nagrody poprzez zwiększenie uwalniania dopaminy, co wzmacnia odczuwanie przyjemności i sprzyja utrwalaniu zachowań prowadzących do ponownego stosowania nikotyny. Z tego względu regularne używanie saszetek nikotynowych może prowadzić do rozwoju uzależnienia. Badania z zakresu psychologii uzależnień wskazują, że część użytkowników sięga po nikotynę w celu regulowania emocji, zmniejszenia odczuwanego stresu lub poprawy koncentracji. Choć nikotyna może wywoływać krótkotrwałe poczucie ulgi i zwiększać czujność, efekty te mają charakter przejściowy i nie rozwiązują źródła problemów psychologicznych.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. FACEBOOK, YOU TUBE

eprasa.pl f46a69fb42

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

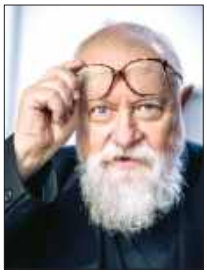

Jerzy Bralczyk

Paskudny świat

Zrządzenia i zrzędzenia

Paskudny to świat, w którym szaleństwo jednostek może usprawiedliwiać kolosalne wydatki na zbrojenia. Jeśli wnioskować z medialnych przekazów (a skąd mamy czerpać wiedzę, a przynajmniej informacje?), kilku co najmniej niezrównoważonych panów wpływa na decyzje przypominające dość niefortunne łacińskie powiedzenie Wegecjusza, zresztą militarysty, żeby szykować wojnę, chcąc pokoju.

Co gorsze, o ile z perspektywy wojny trudno się cieszyć, o tyle ze zbrojeń już można. I z tego, że jesteśmy liderem pieniężnego w nie zaangażowania. I tu łatwo nawet, co też wydaje się niemal piękne, o społeczną zgodę. Bo przecież w historii czuliśmy się wtedy ważni, gdy byliśmy przedmurzem. Teraz powtarzamy z pewnym ukontentowaniem, że jesteśmy wschodnią flanką NATO, co jest jednym z niewielu przypadków, gdy chętnie odnosimy do siebie słowo „wschodni".

Słowo „bezpieczeństwo" tłumaczy wiele. Jest na czele wartości, na jakich nam zależy. A ma jeszcze tę wagę, że wywołuje poczucie zagrożenia, w którym łatwiej o rządzenie, ale i o porozumienie, rzec można – narodowe. Daje też możliwość tworzenia aksjomatów. Kiedyś powtarzano, że „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem". Brawurowy romantyczny poeta pisał: „Kto powiedział, że Moskale są to bracia nas Lechitów, / Temu pierwszy w łeb wypalę przed kościołem Karmelitów", dając początek słusznie zabawnym „moskalikom" Szymborskiej. I teraz w publicznych wypowiedziach już nie Putin, Kreml czy Moskwa są synonimem słowa „wróg", lecz Rosja lub Rosjanie. My jesteśmy godnym narodem, a niegodnym tej godności dostaje się mało sympatyczne określenie „ruska onuca", które ma przypominać o naszej kulturalnej wyższości. Czekamy na jakieś określenia ze słowem odnoszącym się do innych sąsiadów.

Zwróćmy przy tym uwagę, że jeśli poczujemy się bezpieczniejsi w wyniku liderowania w wyścigu zbrojeń (tak to wypada nazwać), to poziom agresji społecznej raczej się nie zmniejszy.

Aż by się chciało, żeby powszechna troska o stan służby zdrowia przerodziła się w skuteczność oczekiwań liderowania w nakładach na nią – i przez to w zwiększenie poczucia powszechnej empatii. Już nie mówiąc o nakładach na naukę…

A przecież w szerszej perspektywie to właśnie nauka jest najlepszą zbroją. ■

eprasa.pl f46a69fb42

O prezesie NFZ, który się wszystkim ministrom kłania. I trwa

To NFZ tworzył patologiczny system i zatwierdzał wyceny

Beata Igielska

Środa, 1 lipca 2026 r. Od piątku 26 lipca nie działa eWUŚ, system Narodowego Funduszu Zdrowia, w którym pracownik ochrony zdrowia może sprawdzić, czy pacjent jest ubezpieczony. Chorzy w przychodniach podpisują więc oświadczenia, że są ubezpieczeni. Wielka informatyczna rewolucja i jej dziecko – eWUŚ. To bodaj najkrótsza definicja tego, co może, a czego nie może NFZ.

Wbrew pozorom to nie jest jedynie wielki księgowy, który od wszystkich patologii systemu ochrony zdrowia może się odciąć i powiedzieć: nie, to nie my, nie nasza sprawa, my tylko płacimy. Ma w ręku narzędzia kontroli, z których korzysta w sposób wielce umiarkowany. Ba, od czerwca 2019 r. działa korpus kontrolerski, czyli zespół podlegający prezesowi NFZ, który zastąpił regionalne działy kontroli. Placówka medyczna jest zawiadamiana o kontroli siedem dni przed jej rozpoczęciem, ale jednocześnie kontroler może się pojawić bez zapowiedzi. I co z tego wynika? Dla pacjenta – nic.

Świadczymy usługi dla ludności ;)

Ministrowie zdrowia pojawiają się i znikają, a prezes NFZ Filip Nowak trwa. Pełni swoje obowiązki od sierpnia 2020 r., a więc od czasów rządu PiS (początkowo jako p.o., a od 2021 r. jako powołany prezes). Zarządza największą kwotą publicznych pieniędzy w kraju. Główne źródła przychodów NFZ to składki zdrowotne – ok. 184,3 mld zł, oraz dotacje z budżetu państwa – 26 mld zł. Pacjenci wreszcie zrozumieli, że to są ich pieniądze. I że nie można nimi dowolnie szastać. Dlatego żądają urzędniczych głów, kierują też gniew na lekarzy milionerów.

W 2025 r. pensja Nowaka wynosiła 33 367 zł miesięcznie brutto, czyli ok. 400 tys. zł rocznie. Jego trzech zastępców zarabia po 31 104,87 zł. Za ostatni rok nikt z tej trójki nie otrzymał nagrody rocznej. Nowak nie otrzymał jej również za 2024 r., ale za PiS otrzymał w 2022 r. dodatkowe 75 tys. zł, a rok później – 48 tys. zł.

Filip Nowak jako prezes NFZ chętnie spełniał liczne prośby ministra Adama Niedzielskiego, który scentralizował system i nakładał na szpitale i przychodnie obowiązek dodatkowej sprawozdawczości. Nowak nie sprzeciwił się, gdy jesienią 2022 r. rząd PiS zrobił kontrowersyjną wrzutkę do nowelizacji ustawy o zawodzie lekarza, co pozbawiło NFZ w kolejnym roku 13 mld zł z puli, która przeznaczona była na leczenie. Na posiedzeniu komisji w Senacie przekonywał nawet: „Jesteśmy organizacją sprawną i z dużą elastycznością".

A potem? „Szefem NFZ jest prezes Filip Nowak i nie zamierzam tego zmieniać. Myślę, że współpraca układa się wzorowo", powiedziała minister Leszczyna w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej". Prezes zaś w 2024 r. w czasie Kongresu Wyzwań Zdrowotnych w Katowicach prawił, że NFZ nie jest liderem, tylko pracuje na lidera, którym bezwzględnie, formalnie i praktycznie powinien być minister zdrowia.

Sprawując funkcje kierownicze w NFZ, Nowak dorabiał. Od 2020 r. do lutego 2024 r. zasiadał w radzie nadzorczej spółki PMT Linie Kolejowe należącej do KGHM Polska Miedź. A od grudnia 2022 r. do pensji doszło mu 33 tys. zł miesięcznie, bo stał się członkiem rady nadzorczej Powszechnego Towarzystwa Emerytalnego PZU.

Filip Nowak pełni obowiązki od sierpnia 2020 r., od czasów władzy PiS.

Na stronie internetowej NFZ możemy przeczytać, że jest „doktorem nauk o zdrowiu, MBA. Absolwentem Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocławskiej Akademii Ekonomicznej, Uczelni Łazarskiego, Wielkopolskiej Wyższej Szkoły Społeczno-Ekonomicznej".

Warto się zatrzymać przy doktoracie prezesa. Stopień naukowy uzyskał w Poznaniu za rozprawę „Wpływ wprowadzenia »pakietu onkologicznego« na realizację procesu leczenia". Promotorką jego pracy została prof. Monika Urbaniak, prawniczka z Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego. Jak

eprasa.pl f46a69fb42

Prezes NFZ Filip Nowak podczas konferencji prasowej minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy na temat sytuacji w Szpitalu Południowym. Warszawa, 26 czerwca 2026 r.

zauważyła w artykule z marca 2024 r. Judyta Watoła z „Gazety Wyborczej", w trakcie przewodu doktorskiego prof. Urbaniak została członkinią Rady Przejrzystości działającej przy Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Czysty przypadek.

W 2023 r. z prośbą o pomoc, czyli, mówiąc po nowemu, o salonik VIP, wprost do prezesa NFZ zwrócił się wiceprezes Polskich Portów Lotniczych Paweł Siennicki, kojarzony z politykami i środowiskiem PiS oraz rządem Mateusza Morawieckiego. Według ustaleń Onetu, gdy matka byłej partnerki Siennickiego potrzebowała pilnej operacji u chirurga naczyniowego, a w klinice nie było już miejsc, w jeden dzień znalazło się miejsce w szpitalu MSWiA. Siennicki zapewniał Nowaka, że jest jego „wielkim dłużnikiem" i docenia „osobiste zaangażowanie". Prezes NFZ odpisał ze znaczącą ikonką: „Świadczymy usługi dla ludności ;)".

Ten sam Nowak jesienią 2023 r., kilka tygodni przed wyborami parlamentarnymi, podpisał zarządzenie dorzucające 3 mld zł do planu finansowego. Wkrótce potem uwolnił rezerwę ogólną i fundusz zapasowy, prawie 1,3 mld zł, za zgodą ówczesnej minister zdrowia z PiS, Katarzyny Sójki.

Trudno też nazwać sukcesem reformę stomatologii na NFZ, która na kilka miesięcy zablokowała leczenie zębów. Po reformie wyrwanie zęba jest w 100% refundowane, darmowe jest także m.in. leczenie ubytków, usuwanie kamienia nazębnego oraz podstawowe zdjęcia RTG. Ale za znakomitą resztę usług trzeba płacić.

Dyspozycyjny nominat PiS, ból głowy Tuska

Jak Nowak zarządza? Kiepsko, co udowadnia raport NIK, wytykając brak bieżącego monitorowania i nieprawidłowy nadzór prezesa NFZ nad realizacją zadań przez oddziały wojewódzkie. Negatywnie oceniono sytuację finansową funduszu, choć miały na nią wpływ działania od niego niezależne. „Dostęp Polaków do diagnostyki i leczenia w latach 2021-2024 uległ pogorszeniu. W wielu miejscach kraju nie zabezpieczono dostępu do świadczeń zdrowotnych zgodnie z planami zakupu świadczeń, czyli występowały tzw. białe plamy. Wzrósł średni czas oczekiwania na diagnozę i rozpoczęcie terapii. Znacząco wydłużył się okres potrzebny na tzw. wyzerowanie kolejki przy braku napływu nowych pacjentów. Pogłębiły się dysproporcje pomiędzy poszczególnymi oddziałami wojewódzkimi w liczbie i wartości świadczeń przypadających na określoną grupę uprawnionych, choć jednym z głównych celów »Strategii Narodowego Funduszu Zdrowia na lata 2019-2023« miało być właśnie wyrównywanie tych dysproporcji", czytamy na stronie NIK.

W latach 2021-2024 pomimo mniejszego wpływu środków ze składki fundusz nie dokonywał odpisów aktualizujących jej wysokość, choć plan finansowy dawał taką możliwość. W ocenie NIK takie odpisy byłyby, poza „rezerwą ogólną", jednym z mechanizmów zabezpieczających NFZ przed nieprzewidzianymi, niekorzystnymi zjawiskami wpływającymi na jego stan finansów.

Zdaniem NIK prezes funduszu nie zbierał i nie analizował informacji o występowaniu obszarów, na których nie zapewniono na podstawie przyjętych planów zakupu świadczeń dostępu do tych świadczeń w poszczególnych oddziałach wojewódzkich NFZ lub na których był on niewystarczający. A przecież nie można zarządzać ryzykiem, nie znając jego skali, nie można się tłumaczyć, jak to robił NFZ, że zabezpieczenie dostępu do świadczeń jest zadaniem dyrektorów oddziałów wojewódzkich. Zwłaszcza w sytuacji, gdy to prezes NFZ zawiera umowy.

Sprawując kierownicze funkcje w NFZ, Nowak dorabiał i zasiadał w radach nadzorczych spółek.

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl f46a69fb42

Od czasu opisanej kontroli NIK sytuacja w ochronie zdrowia wcale się nie poprawiła. Przeciwnie, coraz więcej pacjentów odczuwa dziurę finansową w NFZ. Wydłużają się kolejki do badań, zabiegów, specjalistów. Ale najgorszy jest brak dostępu do nowoczesnego leczenia. Nie wiemy nawet, czy setki, czy może tysiące chorych na choroby autoimmunologiczne, takie jak łuszczyca lub reumatoidalne zapalenie stawów, są pozbawione nowoczesnych leków! To samo dotyczy chorych na Parkinsona i wielu innych.

Dyżury lekarskie za 10 tys. zł, dziedzictwo pandemii i funduszu covidowego, drenują budżety szpitali.

Po wybuchu afery w Szpitalu Południowym w Warszawie premier Donald Tusk wezwał wreszcie Nowaka na „poważną rozmowę", a wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski oświadczył, że prezes NFZ powinien stracić stanowisko. Minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda szacuje lukę w finansach NFZ na ok. 17 mld zł. Ona też była na dywaniku u premiera. Tematem spotkania był pakiet przepisów, które mają ograniczyć czas pracy lekarzy i kominy płacowe. Jak nieoficjalnie dowiedziała się „Gazeta Wyborcza", dymisji na razie nie będzie (artykuł powstał 1 lipca).

Mogłem coś naprawić, nic nie zrobiłem, teraz ponarzekam

Bernard Waśko, zastępca prezesa NFZ ds. medycznych od kwietnia 2019 r. do września 2022 r. (wtedy zostało sfinalizowane i opublikowane jego odwołanie, po tym jak złożył rezygnację z przyczyn osobistych), obecnie dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH – Państwowego Instytutu Badawczego, a więc człowiek mający kiedyś w ręku narzędzia do wprowadzania zmian, mówi w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej", że to dyżury lekarskie za 10 tys. zł – dziedzictwo pandemii i funduszu covidowego – drenują budżety szpitali. Były wiceszef NFZ wini lekarzy chcących zarabiać krocie, ale też dyrektorów szpitali, którzy nie są rozliczani za zadłużenie – zapłaci przecież podatnik.

Pytanie zatem, kto współtworzył ten patologiczny system i zatwierdzał chore wyceny, jeśli nie NFZ. Dziś trudno znaleźć pomysłodawców. Waśko we wspomnianym wywiadzie sięga do 2008 r. i wprowadzania unijnej dyrektywy o czasie pracy osób zatrudnionych na umowach o pracę, która ograniczała liczbę godzin przepracowanych tygodniowo do 48 – taki lekarski tachograf. „Wtedy praca lekarza na dyżurze zaczęła być liczona jako praca w godzinach nadliczbowych. Nawet pozostawanie w gotowości do pracy traktowane było jako godziny nadliczbowe. I zaczęło się szukanie, jak ominąć ograniczenia. Wyjściem okazało się przejście na kontrakt cywilny", wyjaśnia.

Zdaniem Waśki nikt do tego lekarzy nie zmuszał, chcieli uniknąć wysokich podatków i limitów czasu pracy, a więc również limitu zarobków. „Później lekarze nie negocjowali już kontraktów ze szpitalem indywidualnie, tylko jako grupa, dyktowali więc warunki cenowe. Przyjęło to formę prawną – grupowych praktyk, spółek cywilnych. A to z kolei osłabiało pozycję negocjacyjną dyrektorów szpitali", dowodzi Waśko.

Dodaje, że lekarze zatrudnieni w prywatnych klinikach nie zarabiają miliona złotych albo więcej za wyjątkiem nielicznych specjalistów chirurgii plastycznej, neurochirurgii czy ortopedii: „Żaden prywatny właściciel tyle nie zapłaci, jeżeli działalność przynosi straty. Koledzy z innych krajów, z którymi rozmawiam o systemach ochrony zdrowia, łapią się za głowę na informację o zarobkach w Polsce. Emigracja nie jest już żadnym zagrożeniem, a Naczelna Izba Lekarska w raporcie opublikowanym w 2024 r. sama uznała, że w 2026 r. lekarzy będzie już w sam raz i należy ograniczać przyjęcia na studia medyczne".

To jeszcze raz pytanie: kto za ten bałagan odpowiada?

Narzędzia w ręku NFZ

Na pytania skierowane do biura prasowego NFZ otrzymałam odpowiedź, którą można streścić w jednym zdaniu: my w zasadzie nic nie możemy, my tylko płacimy.

eprasa.pl f46a69fb42

Owszem, płatnik zna liczbę wykonanych operacji i zabiegów, bo szpitale mają obowiązek sprawozdawać każdą wykonaną procedurę, aby otrzymać za nią refundację. Prezes ma wgląd do tych danych i na ich podstawie rozlicza placówki medyczne.

Anna Gołębicka: NFZ nie powinien być oblężoną twierdzą, lecz instytucją, która dialoguje, łączy.

Ma też dostęp do danych o kolejkach z Ogólnopolskiego Systemu e-Zdrowie (P1) i na bieżąco może monitorować długość oczekiwania. Regularnie powołuje zespoły i prowadzi kontrole weryfikujące faktyczny stan list oczekujących, ponieważ zdarzają się nieprawidłowości, np. sztuczne kolejki i „martwe dusze" na listach.

W takim razie dlaczego jest tak źle? Anna Gołębicka, ekonomistka, strateżka zarządzania i komunikacji, ekspertka ds. ochrony zdrowia, która od lipca 2025 r. zasiada w Radzie NFZ, podkreśla, że płatnik ma wbrew pozorom kilka narzędzi. – To w jego rękach jest podpisywanie umów z podmiotami i kontrola ich realizacji. NFZ ma też wpływ na sposób wdrożenia taryf oraz może je korygować, choć oczywiście przygotowuje i rekomenduje je Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Co prawda, mapę potrzeb zdrowotnych przygotowuje Ministerstwo Zdrowia, ale kontrakty można by podpisywać racjonalniej. Generalnie NFZ pracuje zgodnie z obowiązującym prawem, tyle że widząc aktualne wyzwania, pozostaje zbyt bierny.

Jak uważa Gołębicka, płatnik nie wykorzystuje aktywnie swoich narzędzi: – Może np. po kontroli, która wykazuje, że placówka nie odbiera telefonów od pacjenta chcącego się zapisać, co znacząco ogranicza dostępność dla chorych, wprowadzić zasadę, że będzie to skutkowało zabraniem kontraktu. Nie wystarczy napisanie listu: proszę się poprawić. Ale przede wszystkim ważny jest dialog. NFZ nie powinien być oblężoną twierdzą, lecz instytucją, która dialoguje, łączy. Obecnie wykonuje wszystkie funkcje, które ma zapisane ustawowo, natomiast nie wykazuje aktywności, aby było widać, że jest partnerem, żeby mieć wpływ na mądre naprawianie systemu. To bardzo wygodne – dodaje ekspertka.

Dr Małgorzata Gałązka-Sobotka, która w latach 2010-2025 pełniła funkcję członkini, a następnie wiceprzewodniczącej Rady NFZ, rektor Uczelni Łazarskiego (od 2 lipca 2026 r.) zwraca zaś uwagę na odpowiedzialność NFZ za jakość świadczeń zdrowotnych. – Płatnik powinien wiedzieć, jak poszczególne decyzje o zakupie świadczeń wpływają na realną dostępność, ale też na efektywność i jakość opieki. Przez wiele lat tłumaczono, że NFZ nie ma podstawy prawnej, żeby monitorować jakość. Absolutnie z tym się nie zgadzam. Uważam, że świadczeniodawca przekazuje informacje, które pozwalają na zidentyfikowanie ryzyka powikłań, powtórnych hospitalizacji, przerzucanie pacjenta pomiędzy ośrodkami. To NFZ powinien dopilnować, by jakość sprawozdawanych danych była wysoka i kompletna. Na ich podstawie przecież decyduje, komu powierza pieniądze publiczne na zabezpieczenie potrzeb zdrowotnych obywatela. Ma narzędzia w postaci braku rozliczenia świadczenia, które nie zostało zaraportowane do P1. Nie korzysta z tego – wylicza dr Gałązka-Sobotka.

Co do kontroli przeprowadzanych przez NFZ, ekspertka uważa, że należy rozwijać modele kontroli prewencyjnych, przeciwdziałających nieprawidłowościom. Tutaj szczególną rolę mają do odegrania analizy oparte na benchmarkach (wzorcach lub testach wydajności) podmiotów.

– Gdy policja zatrzymuje za niewielkie przekroczenie prędkości, poucza. Jeżeli jest istotne – daje mandat, ale nie od razu dotkliwy. Gdy odkrywa patologię, kara jest już dotkliwa – przypomina dr Gałązka-Sobotka. Szkoda, że NFZ nie nagradza najlepszych, ale też, że nie stosuje dotkliwych kar, bo wtedy system by się korygował. Bez ustawy o jakości nie ma narzędzia do jej pomiaru. Swego czasu blokowała ją Naczelna Izba Lekarska.

– A dzisiejszy kryzys? Jest powikłaniem braku tej ustawy. Do NFZ płyną teraz tak ogromne pieniądze, że tym bardziej mechanizmy kontroli i oceny jakości są ważne. Pieniądze bowiem, jak widzimy, potrafią demoralizować ludzi i organizacje – podsumowuje dr Gałązka-Sobotka.

Beata Igielska

Naszemu Drogiemu Przyjacielowi,

Andrzejowi Majkowskiemu

Ministrowi w Kancelarii Prezydenta RP w latach 1995-2005,
wieloletniemu Prezesowi Fundacji Amicus Europae
składamy wyrazy głębokiego współczucia
oraz kondolencje z powodu śmierci żony,

Elżbiety

Łączymy się w bólu z Tobą oraz całą Rodziną
Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy ze Współpracownikami

eprasa.pl f46a69fb42

Refleksje pesymisty

SPALONA ZIEMIA

Andrzej Romanowski

Order Orła Białego odebrano dotąd tylko raz: Wincentemu Witosowi. Ale akt ten dotyczył polskich spraw wewnętrznych, dokonał się zaś – cokolwiek mówić – na mocy wyroku sądowego. W świecie odebrano najwyższe odznaczenie głowie innego państwa dwa razy. Najpierw spotkało to cesarza Hirohito, któremu Order Podwiązki odebrano po wejściu Japonii w stan wojny z Wielką Brytanią. Natomiast za łamanie praw człowieka odebrano Krzyż Wielki Orderu Zasługi Republiki Włoskiej prezydentowi Syrii Baszarowi al-Asadowi. Czy Ukraina weszła z Polską w stan wojny? Czy łamie u siebie prawa człowieka?

Korzenie

Karol Nawrocki, jak to ipeenowiec, wie o historii Polski niewiele. A przecież jakakolwiek sensowna rozmowa o stosunkach polsko-ukraińskich powinna się rozpoczynać od stwierdzenia trzech faktów. O pierwszym, tym najbardziej oczywistym, pisał w „Gazecie Wyborczej" (1 czerwca 2026) prof. Maciej Janowski: „Przez kilkaset lat to Rusini byli pod panowaniem polskim, nie odwrotnie". To polskie panowanie zostawiło zaś na Rusi (Ukrainie) złą pamięć. Ciągnące się od schyłku XVI w. po ostatnie lata Rzeczypospolitej bunty i powstania nie wzięły się z powietrza. Z kolei II Rzeczpospolita, zwalczając zagrażający państwu ukraiński ruch narodowy, konsekwentnie traktowała Ukraińców jak obywateli niższej kategorii. Natomiast Polska powojenna wygnała Ukraińców z ich siedzib w ramach akcji „Wisła".

Prowadzoną przez kolejne formy polskiej państwowości politykę antyukraińską czasem sobie jeszcze uświadamiamy, choć na ogół nie wyciągamy z niej wniosków. Ale o dwóch kolejnych sprawach w ogóle nie chcemy pamiętać. A przecież wspomniane wyżej polskie panowanie znaczy też, że przeżyliśmy z Ukraińcami setki lat we wspólnym państwie. Korona Królestwa Polskiego była od XIV w. organizmem polsko-ruskim (ukraińskim). W XVII w. Rusini (Ukraińcy) tworzyli swą literaturę głównie w języku polskim. Pierwsza konstytucja kozacka, spisana w roku 1710 po łacinie, została skopiowana z polskich, szlacheckich wolności. Iwan Franko pisał na przełomie XIX i XX w.: „W całej Słowiańszczyźnie nie ma dwóch narodów, które by pod względem życia politycznego i duchowego tak ściśle zrosły się ze sobą, tak licznymi połączone były węzłami". Te słowa są często cytowane, lecz tylko w gronie specjalistów.

Wreszcie sprawa trzecia, też rzadko uświadamiana: polskie zdrady. Oczywiście były też zdrady ukraińskie, z Radą Perejasławską roku 1654 na czele. Niemniej za pokój z Moskwą płaciliśmy zawsze ziemiami ukraińskimi, wspólnie też z nią dokonywaliśmy ich rozbioru. Pierwszy raz stało się to w 1667 r., w traktacie andruszowskim. Drugi raz w 1686, w „pokoju wieczystym". Trzeci raz w latach 1918-1919, gdy podbiliśmy pierwsze po wiekach państwo ruskie: Zachodnioukraińską Republikę Ludową (ZURL). Czwarty raz w latach 1920-1921, gdy zdradziliśmy Ukraińską Republikę Ludową (URL) – naszego sojusznika. Ukraińscy żołnierze – tacy jak gen. Marko Bezruczko, obrońca Zamościa – poszli za druty obozów internowania. Przywódca URL, ataman Symon Petlura, został z Polski (na życzenie ZSRR) wygnany.

Te trzy elementy – polskie panowanie, polsko-ruska symbioza i polskie zdrady – powinny być fundamentem naszego myślenia o Ukrainie. Zwłaszcza dziś, gdy dokonuje się zdrada kolejna, piąta.

Żadnych złudzeń!

Odbierając Wołodymyrowi Zełenskiemu Order Orła Białego, Nawrocki jednym podpisem zniszczył kilkudziesięcioletni dorobek polskiej myśli politycznej. Jednym podpisem! Choć bowiem trudno wymagać od ipeenowca, by był mocny w historii Polski, to od Polaka można oczekiwać jakiegoś jej rozumienia. Najlepsi polscy synowie od tylu lat starają się przepracowywać – fundamentalną dla polskiego bytu narodowego – kwestię ukraińską. Działanie to rozpoczęła „Kultura" Jerzego Giedroycia. Na jej łamach nie eksponowano zbrodni UPA – wiedziano, że polskie sumienie też nie jest czyste, nie chciano więc wchodzić w spiralę wzajemnych oskarżeń.

> Karol Nawrocki, jak to ipeenowiec, wie o historii Polski niewiele.

To stanowisko przekazała „Kultura" III Rzeczypospolitej. Dzięki temu Polska stała się pierwszym w świecie państwem, które uznało niepodległą Ukrainę. Rok później zawarto traktat o dobrym sąsiedztwie, potem odbywały się kolejne spotkania prezydentów, wspólne oświadczenia, wzajemne gesty pojednania. Mimo bagażu historii powstało zjawisko niezwykłe: przyjaźń polsko-ukraińska. Podczas pomarańczowej rewolucji 2004 r. Polacy masowo nosili

eprasa.pl f46a69fb42

pomarańczowe wstążeczki, po 24 lutego 2022 r. masowo przyjmowali ukraińskich uchodźców w swych domach. Co się stało, że z tych postaw nie ma po czterech latach niemal śladu?

Przecież nic się nie zmieniło! Ukraina nadal toczy wojnę z Rosją. Ale Polacy zmęczyli się swą pięknością i swym chrześcijaństwem. Zaczęli się obawiać o konkurencję na rynku pracy, zżymać się na pomoc socjalną dla Ukraińców. Wszystkie te lęki i podejrzenia były bądź przesadzone, bądź wprost nieprawdziwe, ale stały się politycznym złotem dla naszej prawicy. Ta zaś była coraz bardziej nacjonalistyczna. Ubiegłoroczną kampanię prezydencką prowadził Nawrocki w klimacie głębokiego dystansu wobec Ukrainy. W tym samym czasie PiS się przeorientowało, a ukrainofobia od dawna już łączyła wszystkie Konfederacje.

Ale trzeba też przyznać: niechęć do Ukrainy przestała być znakiem rozpoznawczym polskiej prawicy. Postawę taką prezentuje przecież od lat były lewicowy premier Leszek Miller. Narodowy Dzień Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa został w ubiegłym roku ustanowiony z inicjatywy PSL. Spirala zaczęła się nakręcać, bo podstawową cechą naszej zbiorowej psychiki jest paniczny lęk przed posądzeniem o brak patriotyzmu. W przeszłości szantaż patriotyczny wywoływał wszystkie tragiczne powstania. Dziś niszczy w Polakach zdolność myślenia.

Znamienna wydaje się ewolucja umiarkowanej dotąd Wirtualnej Polski. Szefowa WP Magazynu Barbara Kasprzycka oświadczyła 3 czerwca, że „pogarda dla naszej pamięci po prostu nie powinna się opłacać". Zbigniew Parafianowicz napisał 17 czerwca: „Jeśli Zełenski rzeczywiście nie wykona telefonu do Nawrockiego, to prezydent niebawem zdecyduje o odebraniu mu odznaczenia". Przykre, lecz to właśnie w Wirtualnej Polsce odżył stereotyp „ukraińskiego chama i polskiego pana". Chama można obrażać, ale to cham ma za tę obrazę przepraszać.

Parafianowicz, pierwszy mędrzec Rzeczypospolitej, ma jednak konkurencję: to polscy symetryści. Powiadają oni: nie popieram decyzji Nawrockiego, ale to Zełenski nawarzył piwa. Jan Piekło, były pisowski ambasador RP w Kijowie, załamując ręce nad tym, co się stało, postuluje, by – dla równowagi – odebrać Orła Białego Gerhardowi Schröderowi. Już widzę miny Niemców, gdy byłemu kanclerzowi Polska odbierze najważniejszy order. Oraz miny światowych przywódców, na których padnie blady strach, że order może być odebrany również im. Żarty żartami, lecz nawet Jacek Czaputowicz, były pisowski minister spraw zagranicznych, twierdzi, że odebranie Orła Białego „to osłabienie naszej pozycji i bezpieczeństwa", „szkodliwe dla naszej racji stanu".

Dziś więc mogę rzec braciom Ukraińcom: Panowie, żadnych złudzeń. Nie dajcie się nabrać. Polacy nigdy wam nie byli życzliwi. Zdradzali, więc i teraz zdradzają. Nie pocieszajcie się, że to tylko Nawrocki. Pomysł odebrania orderu waszemu prezydentowi popierało 51,2% Polaków. W ciągu minionego miesiąca zaufanie do Nawrockiego wzrosło o 8,4%. Ufa mu dziś 54,8% rodaków.

Daltonizm

A przecież nie może być tak, że na hasło „UPA" Polacy reagują jak pies Pawłowa. Owszem, UPA była organizacją ludobójczą, ale była też armią narodowowyzwoleńczą. Czy jej żołnierze byli bohaterami? Byli przede wszystkim zbrodniarzami, nosicielami zatrutych ziaren nacjonalizmu. Na okrucieństwo upowców nieżyjący już prof. Ryszard Szawłowski ukuł nawet specjalną (choć dwuznaczną) kategorię prawną: *genocidium atrox* (ludobójstwo okrutne). A jednak… Czyż mogę odmawiać bohaterstwa ludziom walczącym o niepodległość z nieprawdopodobnym samozaparciem, aż do początku lat 50.? Wszak było to coś więcej niż walka naszych „wyklętych", ci bowiem działali samowolnie, wbrew stanowisku „Polski londyńskiej", podczas gdy zwierzchnik UPA, Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, nigdy nie wydał rozkazu złożenia broni. Stefan Żeromski pisał o charakterystycznej dla Polski „wierności sprawie przegranej". Czy szacunek dla takiej wierności ma obejmować tylko Polaków?

Pamięć o 100 tys. ofiar polskich oraz o kilkunastu tysiącach ofiar ukraińskich nie powinna się wyradzać w pamięć wybiórczą. Nie sposób przypominać tu dziejów I i II Rzeczypospolitej, warto jednak pamiętać, co dobrego zrobili dla nas Ukraińcy w minionym 35-leciu. W chórze potępienia dla decyzji Zełenskiego jeden tylko głos – byłego ambasadora w Kijowie, Marka Ziółkowskiego – przypomniał sprawę Cmentarza Orląt Lwowskich. Cmentarz ten, zniszczony w roku 1971 przez władze Ukraińskiej Republiki Radzieckiej, został uroczyście otwarty w roku 2005. A jest on przecież apoteozą polskiego oręża, obrazem polskiego triumfu nad Ukraińcami! Na jego odbudowę Ukraińcy – prawda, że po długich targach – jednak się zgodzili. Dziś świadczy on o prawdzie podstawowej: każdy naród ma prawo czcić takich bohaterów, jakich uważa. Pamięć ukraińska i pamięć polska legły tu obok siebie we wspólnym szacunku dla Orląt i siczowych strzelców. Jakim więc prawem polskie media trąbią wciąż o „nieustępliwości" Ukraińców?

Gdy przed laty Ukraińcy wstrzymali u siebie polskie ekshumacje, uczynili to w proteście przeciw zdewastowaniu – postawionego legalnie! – grobu upowców w Monasterzu w gminie Horyniec-Zdrój. Zatem Ukraińcy stanęli w obronie polskiego prawa! A Polacy do dziś milcząco bronią „nieznanych sprawców", którzy dokonali dewastacji. Domagając się więc ekshumacji dla siebie, Polacy nie ustąpili Ukraińcom nawet o milimetr. Co znaczy, że nie

Dziś na spalonej ziemi przyjaźni polsko-ukraińskiej mogę rzec mym rodakom jedno: powiedz, co sądzisz o Ukraińcach, a ja ci powiem, kim jesteś.

eprasa.pl f46a69fb42

Prezydent Aleksander Kwaśniewski podczas obchodów 60. rocznicy zbrodni wołyńskiej. Ukraina, Pawliwka, 11 lipca 2003 r.

pochówek pomordowanych rodaków, lecz upokorzenie Ukraińców było u nas na pierwszym planie. To my z poległych przed 80 laty uczyniliśmy zakładników bieżącej walki politycznej. Oto polska pamięć – dzieło Instytutu Pamięci Narodowej.

Jednak zawsze ustępuje mądrzejszy. I tymi mądrzejszymi okazali się Ukraińcy. Ale gdy tylko wznowili zgody na ekshumacje, podniósł się polski krzyk: „Za mało! Za późno! Za wolno!". Nawrocki, przysyłając we wrześniu 2025 r. list na otwarcie cmentarza w Puźnikach, nie okazał radości, że sprawa ruszyła z miejsca, uznał natomiast za stosowne napiętnować fakt, że kilkadziesiąt kilometrów od Puźnik istnieje pomnik upowca.

Honor – pojęcie nieznane

Jak wiadomo, Zełenski nadał miano Bohaterów UPA na wniosek wojska walczącego w polu. Z takim wnioskiem się nie dyskutuje. Przed laty natomiast, w roku 2006, prezydent Lech Kaczyński odsłonił w Zakopanem – z własnej inicjatywy – pomnik Józefa Kurasia „Ognia". „Ogień" dokonywał na Żydach i Słowakach zbrodni ludobójstwa. Ale Słowacy niczego nie odebrali Kaczyńskiemu. Przeciwnie, w 2009 r. nadali mu najwyższe słowackie odznaczenie: Order Podwójnego Białego Krzyża I klasy.

A w jaki sposób odebrano order Zełenskiemu? Kapituła była podzielona. Przeciwko byli podobno Zofia Romaszewska i Bronisław Wildstein. Pięknie, czemu jednak w sprawie takiej wagi nie zdobyli się na dymisję? Andrzej Duda, który Orła Białego kiedyś Zełenskiemu nadał, też teraz nie chciał bronić przyjaciela. Ucz tu prawaka honoru – solidarność grupowa będzie dlań zawsze ważniejsza.

A sam Nawrocki? Jeszcze trzy lata temu twierdził: „Uważam, że swoich bohaterów Ukraińcy mają prawo wybierać sobie sami, nawet jeśli dla nich bohaterem jest Stepan Bandera czy Roman Szuchewycz". Jaki więc przełom ideowy przeżył? Jakie walki wewnętrzne sam ze sobą stoczył? Myślę, że wytłumaczenie jest banalne. Nawrocki nie ma poglądów. Żadnych.

Warto, by prawacy dowiedzieli się, że istnieje coś takiego jak honor. A honoru mogliby się uczyć nawet od komunistów – przynajmniej niektórych. W roku 1968 wobec fali antysemityzmu Edward Ochab („zubastyj bolszewik", jak nazywał go Stalin) złożył wszystkie swe funkcje. A był głową państwa – przewodniczącym Rady Państwa PRL. W 1924 r. Maria Koszutska mówiła do Stalina: „Niebezpieczni dla was nie są tacy ludzie, którym można łamać kości, ale tacy, którzy kości w ogóle nie mają". Koszutska wiedziała, czym ryzykuje (zmarła w stalinowskim więzieniu), czym jednak ryzykowalibyście wy – Andrzeju Duda, Zofio Romaszewska, Bronisławie Wildstein – gdybyście honor postawili ponad karność grupy i ponad instynkt stadny?

Tym instynktem kierowała się też Dorota Gawryluk. Równo przed miesiącem, 5 czerwca, zapytała w Polsat News: „Dlaczego ktoś pochodzenia ukraińskiego i reprezentujący ukraińskie interesy jest w polskim rządzie?". Chodziło o wiceministra nauki, prof. Andrzeja Szeptyckiego, choć ten nigdy nie deklarował pochodzenia ukraińskiego i nigdy nie dał nawet poszlaki, że reprezentuje interesy inne niż polskie. Agnieszka Kublik, dziennikarka „Gazety Wyborczej", złożyła skargę na Gawryluk do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Słusznie, choć właściwsze byłoby współczucie.

Czytam w Wikipedii, że mąż Gawryluk, Jerzy, występuje także jako Jurij Hawryluk i od 23 lat jest

FOT. MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER

eprasa.pl f46a69fb42

redaktorem naczelnym pisma Ukraińców z Podlasia „Nad Buhom i Narwoju”. A syn państwa Gawryluków nosi ukraińskie imię Nikon. Czyżby zatem Dorota Gawryluk chciała być poza podejrzeniami? Czyżby się bała? Lęk – obojętne, uzasadniony czy irracjonalny – uwidacznia lepiej niż cokolwiek, do czego doszliśmy. Wszak mamy atmosferę z marca 1968 r.! Wtedy kwestionowano lojalność obywateli polskich pochodzenia (choćby mitycznego) żydowskiego i masowo zwalniano ich z pracy. Teraz kwestionuje się lojalność obywateli pochodzenia (choćby mitycznego) ukraińskiego i choć z pracy jeszcze się ich nie zwalnia, to przecież do tego się nawołuje.

Afront

Wobec polskiego wzmożenia i polskiego jątrzenia Ukraińcy wykazali powściągliwość. Dopóki nie nastąpiło odebranie orderu, wszyscy tonowali swe wypowiedzi. Do Warszawy przyjechali najbliżsi ludzie prezydenta Zełenskiego: szef jego kancelarii gen. Kyryło Budanow i jego pierwszy zastępca Serhij Kysłyca. Rada miejska Lwowa wezwała do umiaru zarówno Nawrockiego, jak i Zełenskiego. Ale Polacy postawili Ukraińcom ultimatum: albo odbierzecie nazwę Bohaterów UPA, albo my odbieramy order. Żadne państwo nie może respektować takiego dyktatu.

Dopiero gdy rzecz się dokonała, Ukraińcy zmienili nastawienie. Zełenski sam odesłał order i napisał: „Jeśli uważa się, że ten szczególny symbol może pozostać u Katarzyny II, Benita Mussoliniego i Gerharda Schrödera, to my na Ukrainie nie będziemy z tym dyskutować”. Ujawnił przy okazji, że podczas grudniowej wizyty w Warszawie Nawrocki ofiarował mu książkę o… rzezi wołyńskiej (pogratulować taktu). A politycy ukraińscy, w tym wszyscy byli prezydenci, zaczęli odsyłać polskie ordery. „Żaden prezydent innego państwa nie będzie nam dyktował naszej historii”, oświadczył minister spraw zagranicznych Andrij Sybiha.

A Zełenski? To prawda, że nie musiał odsyłać orderu pocztą kurierską, zdjął jednak z premiera Donalda Tuska ciężar decyzji w sprawie kontrasygnaty. Nie przyjechał do Gdańska na Konferencję na rzecz Odbudowy Ukrainy, ale też zszedł tym samym z linii strzału naszych ukrainofobów. Natomiast zaprosił Nawrockiego do złożenia wizyty w Kijowie! Choć protokół dyplomatyczny nakazywał zrobić to już wcześniej samemu Nawrockiemu, bo to on, nie Zełenski, był prezydentem nowo obranym.

Ale reakcja moich rodaków była do bólu przewidywalna: Polacy się obrazili, że Ukraińcy się obrazili! Nie mogąc dorównać finezji Zełenskiego, weszli w połajanki typu „Ręce, które oddają odznaczenia, wyciągają się po pomoc”. Niezawodny Leszek Miller zaproponował, by Ukraińcy zwracali nie odznaczenia, lecz otrzymane z Polski uzbrojenie. Wicemarszałek Senatu Michał Kamiński odesłał odznaczenia ukraińskie. Podobny krok zapowiedział Jarosław Kaczyński, a za nim zrobili to karnie jego współpracownicy. A Ukraińcy? Były premier Arsenij Jaceniuk opowiedział się przeciw odsyłaniu polskich odznaczeń. Polska nie ma jednak swego Jaceniuka.

Sens polityczny szarży Nawrockiego wydaje się jasny. Dzień przed odebraniem orderu rozmawiali w Brukseli Tusk i Zełenski, zarysowała się więc może jakaś perspektywa wyjścia z impasu. Nawrocki nie byłby sobą, gdyby takiej możliwości nie storpedował. Niebawem miała się odbyć konferencja w Gdańsku. Na nią Nawrocki też nie poczekał, bo ją również postanowił storpedować. Obsesja walki z polskim rządem przysłania temu człowiekowi wszystko.

Ale szarża skończyła się blamażem. Gdańska konferencja się odbyła, a Nawrocki okazał się na niej doskonale zbędny. Bohaterowie UPA pozostali, i to na dobre, bo obrażeni Ukraińcy tym bardziej skupią się przy swych symbolach – już teraz zapowiadają otwarcie swego Panteonu Narodowego. Natomiast w Europie pojawiła się konsternacja – powstała niepewność, czy Polska nadal stoi przy Ukrainie, krytyczne opinie wyrazili ministrowie obrony Niemiec i Litwy. Satysfakcja zapanowała tylko w Rosji: oto Polska uznała wreszcie nazistowski charakter Ukrainy! Zatem albo głupota, albo zamysł polityczny. A jeśli to drugie, to ta kolejna odsłona walki Nawrockiego z polskim rządem miała charakter tyleż antyukraiński, co antyeuropejski. I zarazem – oczywiście – prorosyjski.

Pozostają pożyteczni idioci: ci, co w imię rachunków sprzed 80 lat zaciągnęli się do rydwanu Nawrockiego. Prof. Antoni Dudek mówi o „potwornych błędach” obu prezydentów i uważa, że „historia im tego nie wybaczy, to będzie ciążyło na ich biografiach”. Obawiam się, że miejsce w historii ma tylko jeden z tych prezydentów i że jest to miejsce bohatera narodowego. Odebranie mu najwyższego polskiego orderu pozostanie na wieki polską hańbą.

Tak oto czerwiec 2026 r. okazał się w Polsce czasem prawdy. Słupki sondaży stały się ważniejsze od racji stanu. Dziś na spalonej ziemi przyjaźni polsko-ukraińskiej mogę rzec mym rodakom już tylko jedno: powiedz, co sądzisz o Ukraińcach, a ja ci powiem, kim jesteś.

Andrzej Romanowski
a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f46a69fb42

Dlaczego Ukraina heroizuje UPA

Antypolskie kroki Zełenskiego natychmiast ożywiły i zradykalizowały epigonów nacjonalizmu ukraińskiego

Bohdan Piętka

Duża część polskiej sceny polityczno-medialnej dopiero pod koniec maja br., kiedy prezydent Ukrainy uhonorował jednostkę wojskową imieniem Bohaterów UPA, odkryła, że Ukraina opiera swoją tożsamość na heroizacji najbardziej skrajnych nurtów historycznego nacjonalizmu ukraińskiego. Tymczasem dzieje się tak od 2004 r. (z przerwą w latach 2010-2014), a wszelkie fakty o tym świadczące były przez 20 lat ignorowane przez wielu polskich polityków jako sprzeczne z neoprometejską linią naszej polityki wschodniej.

Zaprzeczanie ludobójstwu wołyńskiemu, zwłaszcza tam, gdzie zostało popełnione, ma na Ukrainie charakter powszechny i stanowi fundament pomajdanowej polityki historycznej.

Były ambasador Polski w Kijowie Bartosz Cichocki ocenił, że na Ukrainie trwa obecnie antypolska kampania, a tamtejsza debata publiczna nie dopuszcza polskich argumentów w sprawie UPA. Cichocki przypomniał też systemowe dyskryminowanie Polaków przez władze ukraińskie od 1991 r., w tym przypadki odmowy zwrotu kościołów i ograniczania polskiego szkolnictwa. W jego opinii obecny kryzys może doprowadzić nawet do zerwania stosunków dyplomatycznych. Dlaczego Cichocki mówi o tym dopiero teraz? Jako ambasador milczał przecież w imię owych neoprometejskich miraży realizowanej w Warszawie polityki wschodniej. Czy w jego środowisku politycznym (PiS) przypadkiem nie był swego czasu popularny slogan „lepsza Ukraina banderowska niż sowiecka"?

Bohater Petlura?

Prezydent Nawrocki zasugerował w wystąpieniu z 19 czerwca, żeby Ukraińcy czcili Petlurę zamiast UPA. Z tego zapewne powodu, że był to sojusznik Piłsudskiego podczas tzw. wyprawy kijowskiej w 1920 r. Tylko że Petlura wcale nie jest postacią aż tak jasną. W latach 1917-1920 Ukraińska Republika Ludowa, która początkowo była protektoratem niemieckim, spłynęła żydowską krwią. Kilkaset pogromów, od 50 tys. do 250 tys. ofiar śmiertelnych, pół miliona wypędzonych i ograbionych. A działo się to 23 lata przed ludobójstwem zgotowanym europejskim Żydom przez Hitlera. Oczywiście pogromów na Żydach dopuszczały się wszystkie walczące tam strony (petlurowcy, biali, machnowcy i bolszewicy), ale to kierowany przez Petlurę od lutego 1919 r. Dyrektoriat URL szeroko wykorzystywał agitację antysemicką do politycznego scalania swoich zwolenników. Petlura zginął w maju 1926 r. w Paryżu z ręki żydowskiego zamachowca, poety Szolema Szwarcbarda, który utrzymywał, że morderstwa dokonał w akcie zemsty za wymordowanie jego rodziny na Ukrainie podczas rządów Petlury. Ława przysięgłych odniosła się z wyrozumiałością do tego wyjaśnienia i w konsekwencji francuski sąd uniewinnił Szwarcbarda. Ponadto Petlura był i jest uważany przez nacjonalistów ukraińskich za zdrajcę, ponieważ w umowie warszawskiej z 21 kwietnia 1920 r. zgodził się na oddanie Galicji Wschodniej i Wołynia Polsce.

Chociażby dlatego życzliwe rady w sprawie czczenia Petlury zamiast banderowców zostaną na Ukrainie zignorowane. Tego samego dnia, w którym prezydent Nawrocki odebrał Order Orła Białego Zełenskiemu, w miejscowości Botyń na Wołyniu odsłonięto pamiątkowy krzyż ku czci Petra Gudzowatego „Oczeretenki" (1912-1946), jednego z miejscowych watażków UPA. W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele lokalnych władz, duchowieństwa, weterani wojny rosyjsko-ukraińskiej oraz organizacje młodzieżowe. „Oczeretenko" był działaczem OUN od połowy lat 30. XX w., żołnierzem batalionu „Nachtigall" i 201. batalionu Schutzmannschaft, a następnie jednym z dowódców UPA na Wołyniu, w czasie gdy OUN-B i UPA dokonały tam ludobójstwa na ludności polskiej.

O jego udziale w tej zbrodni nie dowiemy się jednak z żadnych ukraińskich publikacji. Zaprzeczanie ludobójstwu wołyńskiemu, zwłaszcza tam, gdzie zostało popełnione, ma na Ukrainie charakter powszechny i stanowi fundament pomajdanowej polityki historycznej. Pomija się

eprasa.pl f46a69fb42

Taras Bulba-Boroweć (oparty o drzewo) z oddziałem, 1942 r.

określenie „ludobójstwo" lub stosuje eufemizmy negujące ludobójczy charakter zbrodni („tragedia wołyńska"), nie pisze się, kto był sprawcą, relatywizuje lub zakłamuje („wojna chłopska") powszechny udział ludności ukraińskiej w masowych mordach oraz sugeruje rzekomą odpowiedzialność NKWD. Skrupulatnie omijane są w kontekście ludobójstwa wołyńskiego nazwy UPA i OUN-B oraz nazwiska Bandery, Szuchewycza, Klaczkiwskiego i innych sprawców.

Rzeczywistość nie szczędzi polskiej klasie politycznej jeszcze boleśniejszych doświadczeń niż to, które zafundował jej prezydent Zełenski. Wydawnictwo Rainshouse, powiązane z pułkiem Azow, wprowadziło do obiegu pod koniec czerwca naszywkę, na której znajduje się napis: „Wołyń Pride", symbol noża i hasło: „Jesteśmy dumni ze swojej historii". Jako pierwsza poinformowała o tym ukraińska historyczka, antyfaszystka Marta Hawryszko. „Czy to ma być »trolling« Polski? Nóż? Wołyń? Mówicie poważnie?! To wszystko ma znamiona nowego międzynarodowego skandalu. Czy żołnierze Trzeciej Brygady Szturmowej nie byli szkoleni w Polsce? Z pewnością zbierali tam fundusze. I tak oto spłacają to wsparcie?", napisała. Ołeksij Reins „Konsul", który prowadzi wspomniane wydawnictwo, był oficerem 3. Brygady Szturmowej. Pułk Azow, używający symboliki neonazistowskiej, był nie tylko szkolony, ale i swego czasu bardzo fetowany w Polsce, także w kręgach prawicowych.

Inni bohaterowie

To jeszcze nie koniec zimnego prysznica. 28 czerwca Zełenski wniósł do parlamentu projekt ustawy o budowie Panteonu Narodowego, w którym mają spocząć najwięksi zbrodniarze z OUN i UPA, z Banderą na czele. „Nikt i nigdy nie będzie nam nakazywał, jak żyć, jak mówić, kogo kochać, komu być wdzięcznym i jakich bohaterów szanować", powiedział prezydent Ukrainy, cytowany przez agencję Interfax. Zełenski postawił całkowicie na banderyzm. Prawdopodobnie zrobił to z uwagi na słabnącą pozycję polityczną po ujawnieniu licznych skandali korupcyjnych w jego otoczeniu i coraz bardziej nikłe szanse na utrzymanie władzy po zakończeniu wojny z Rosją.

Antypolskie kroki Zełenskiego natychmiast ożywiły i zradykalizowały epigonów nacjonalizmu ukraińskiego. Były deputowany neobanderowskiej partii Swoboda i sierżant 5. Samodzielnej Brygady Szturmowej Jurij Syrotiuk w wywiadzie dla ukraińskiej telewizji NTA zagroził: „Czy nasi sojusznicy naprawdę chcą zobaczyć naszych żołnierzy zamiast naszych pracowników migrujących? Czy Polacy są teraz gotowi na wojnę z Ukraińcami? Czy Polacy są gotowi na ukraińskie drony latające nad ich miastami? Czy Polacy są gotowi na śmierć własnych obywateli? (…) Nie ustąpimy. Nie radziłbym im przekraczać czerwonej linii".

Do poparcia takich ludzi, z takich właśnie środowisk politycznych, odwołuje się teraz Zełenski. To samo robili Juszczenko i Poroszenko, kiedy ich gwiazda polityczna chyliła się ku zachodowi. Ale nie jest to jedyny powód budowania tożsamości historycznej Ukrainy na kulcie i tradycji tzw. integralnego nacjonalizmu spod znaku OUN i UPA.

Nawet wśród nacjonalistów można znaleźć jedną postać, która krytykowała banderowców za ludobójstwo na Polakach i nie brała udziału w tych zbrodniach. To Taras Bulba-Boroweć.

Od polskich orędowników Ukrainy często można usłyszeć, że Ukraińcy nie mają innych bohaterów. Naprawdę? W kontekście całej historii najnowszej Ukrainy nacjonaliści byli przecież marginesem. Maksymalna liczebność UPA sięgnęła w 1944 r. 35 tys., podczas gdy przez Armię Czerwoną przewinęło się w trakcie wojny 4 mln Ukraińców. Marginalny i ekstremistyczny nurt polityczny jest jedynym, do czego Ukraina może się odwołać? Podobny

eprasa.pl f46a69fb42

problem z historią najnowszą po upadku socjalizmu i w obliczu rozpadu Jugosławii miała Chorwacja, gdzie w latach 90. XX w. ożywiono kult ustaszy. Także Słowacja, gdzie w tym samym czasie próbowano wybielać ks. Tisę i ludaków. Ale szybko z tym zerwano, gdy zorientowano się, jakie niesie to problemy wizerunkowe. Zarówno w Chorwacji, jak i na Słowacji znaleziono inne postacie i nurty polityczne, na których można budować demokratyczną tożsamość.

Ukraina też nie miałaby z tym problemu. Nawet gdyby pominąć miliony Ukraińców służących w Armii Czerwonej i ukraińskich bolszewików zasłużonych dla odrodzenia kultury ukraińskiej w okresie tzw. korienizacji (Ołeksandr Szumski i Mykoła Skrypnyk), można znaleźć całą plejadę postaci niekomunistycznych świetnie nadających się na podbudowę demokratycznej tożsamości narodowo-państwowej. Wybitni przedstawiciele ukraińskiej inteligencji, którzy zginęli w okresie Wielkiego Terroru stalinowskiego (tzw. rozstrzelane odrodzenie), działacze ruchu dysydenckiego w Ukraińskiej SRR (tzw. szistdesiatnycy) z Wasylem Stusem (1938-1985) i Wasylem Symonenką (1935-1963) na czele. To pierwsze z brzegu przykłady. Nawet wśród nacjonalistów ukraińskich można znaleźć jedną postać, która krytykowała banderowców za ludobójstwo na Polakach i nie brała udziału w tych zbrodniach. To Taras Bulba-Boroweć (1908-1981). Na pomajdanowej Ukrainie zupełnie zapomniany. Raczej nie będzie dla niego miejsca w panteonie Zełenskiego.

Dlaczego zatem pominięto większą część Ukrainy z jej wielowątkową i bogatą historią najnowszą i sięgnięto po faszystowskich ekstremistów i hitlerowskich kolaborantów z Galicji Wschodniej? Po zbrodniczych fanatyków, którzy wymordowali nie tylko ok. 120 tys. Polaków, ale także ponad 30 tys. Ukraińców? Właśnie dlatego, że na pomarańczowej i pomajdanowej Ukrainie nie chciano budować demokratycznej tożsamości narodowej i państwowej. Nie chcieli tego główni gracze ukraińskiej sceny politycznej – tzn. układ oligarchiczno-mafijny i obsługujący go politycy (Juszczenko, Poroszenko, Zełenski) z jednej strony oraz stratedzy amerykańskiej polityki zagranicznej z drugiej. Jednym i drugim potrzebna była Ukraina antyrosyjska, ale niekoniecznie demokratyczna.

Dlatego wyciągnięto ze śmietnika historii OUN, UPA, dywizję SS „Galizien", ożywiono politycznych epigonów integralnego nacjonalizmu (czyli faszyzmu) ukraińskiego oraz spreparowano kłamliwą historię o UPA jako „ruchu narodowowyzwoleńczym" i „armii bez skazy". Zrobiono to wszystko dla politycznego celu oderwania Ukrainy od Rosji i gwałtownego przeciągnięcia jej na Zachód. Cel ten został nakreślony przez Zbigniewa Brzezińskiego w publikacji „Wielka szachownica" z 1997 r.

O użyteczności ożywienia i wykorzystania historycznego nacjonalizmu ukraińskiego do realizacji tego celu całkiem otwarcie pisała Anne Applebaum w artykule „Nationalism Is Exactly What Ukraine Needs" (Nacjonalizm jest dokładnie tym, czego potrzebuje Ukraina), który został opublikowany w maju 2014 r., czyli trzy miesiące po drugim przewrocie na Majdanie. Applebaum twierdziła wtedy, że „maleńka grupa nacjonalistów na Ukrainie, których być może możemy teraz nazwać patriotami, stanowi jedyną nadzieję kraju na ucieczkę od apatii, drapieżnej korupcji i ostatecznie rozczłonkowania". W konkluzji doszła do wniosku, że nacjonalizm jest inspiracją „do próby ulepszenia swojego kraju", a Ukraińcy „potrzebują więcej tego rodzaju inspiracji" i dlatego muszą sięgnąć po hasła „kontrowersyjnej Ukraińskiej Powstańczej Armii" z lat 40. XX w.

Polonobanderyzm – jak określił kiedyś to zjawisko Bronisław Łagowski – knebluje również Ukraińców, którzy nie podzielają fascynacji UPA i OUN.

Bolesna historia

Sięgnęli nie tylko po hasła („Sława Ukrajini! – Herojam sława!"), notabene chętnie powtarzane też przez polskich polityków wizytujących kijowski Majdan w 2014 r. Sięgnęli po całą spuściznę historyczną i polityczną integralnego nacjonalizmu ukraińskiego, która po kłamliwym retuszu stała się fundamentem antyrosyjskiej Ukrainy. Wbrew sugestiom Anne Applebaum nie zapobiegło to rozczłonkowaniu państwa ukraińskiego, ale do niego doprowadziło. W Waszyngtonie i Kijowie niespecjalnie też

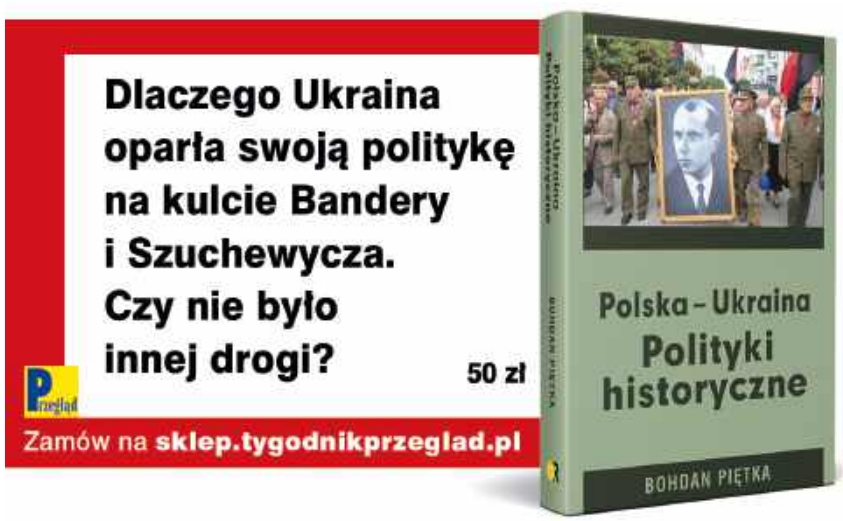

eprasa.pl f46a69fb42

Odmawianie „Modlitwy ukraińskiego nacjonalisty" podczas protestu przeciw kijowskiemu Marszowi Równości. 21 czerwca 2026 r.

przejmowano się tym, że probanderowska polityka historyczno-tożsamościowa Ukrainy sprowokowała Rosję do rehabilitacji stalinizmu, czyli pogrzebania resztek pozytywnych osiągnięć gorbaczowowskiej pierestrojki na polu rozliczenia historii ZSRR.

Trzecim elementem, który spowodował, że pomajdanowa Ukraina obłąkańczo heroizuje historyczną spuściznę Doncowa, Bandery i Szuchewycza, jest polityka polska. To znaczy klientystyczna wobec USA i Zachodu oraz pozbawiona namysłu polityka wschodnia uprawiana przez główne siły w Polsce od początku lat 90. W najbardziej skrajnej wersji polityka ta sprowadzała się do bezalternatywnego wspierania antyrosyjskiej Ukrainy i powtarzania narracji ukraińskiej. Także w kwestii „bolesnej historii". Można było np. usłyszeć od polityków i publicystów będących w Polsce pudłem rezonansowym Kijowa, że „odwołanie się do bohaterskiej historii ukraińskiej walki narodowowyzwoleńczej przeciwko sowieckiej dominacji nie ma absolutnie żadnego antypolskiego wydźwięku". Skoro tak, to dlaczego Ukraina nie może potępić zbrodni UPA? Powielający narrację ukraińską nigdy o to nie zapytali.

Postawę skrajnie proukraińskich środowisk w Polsce trafnie podsumował ostatnio publicysta i pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN Paweł Mościcki: „Zastanawiające jest to, że zwłaszcza wśród postępowej części polskiej inteligencji to nie gloryfikacja UPA, ale sprzeciw wobec niej wywołuje zbiorową reakcję, w której trudno nie rozpoznać oznak prawdziwej paniki. W jaki sposób znaleźliśmy się w tym miejscu? Jak to się stało, że lewicowcy i liberałowie – zjednoczeni na froncie walki o Fajnopolskę – bronią dziś prawa do upamiętniania oraz wynoszenia na sztandary morderców własnych przodków? Wszystko to dzieje się oczywiście ponad głowami i wbrew żywotnym interesom nie tylko znakomitej większości polskiego społeczeństwa, ale również ukraińskiej diaspory w Polsce. Polonobanderyzm – jak określił kiedyś to zjawisko Bronisław Łagowski – knebluje bowiem również Ukraińców, którzy nie podzielają fascynacji UPA i OUN, a którzy niekiedy sami padali już ofiarą ich rehabilitacji. Najpierw byli kneblowani u siebie, teraz knebluje się ich po raz drugi u nas".

Główne siły polityczne w Polsce, wszystkich opcji, prowadziły wobec Ukrainy politykę, która godziła nie tylko w polską rację stanu, ale i w zdrowy rozsądek. Nie można głosić, że Unia Europejska jest „wspólnotą wartości", i jednocześnie popierać wejścia do UE państwa oligarchiczno-mafijnego, które buduje tożsamość narodową na kulcie organizacji faszystowskiej, współpracującej z nazistami w eksterminacji Żydów oraz odpowiedzialnej za ludobójcze czystki etniczne na Polakach.

Polska jest państwem pozbawionym rozsądnej wizji polityki międzynarodowej, bez polityków umiejących zabiegać o realizację stawianych celów i bez politycznej samodzielności w stosunku do własnych sojuszników. Odrodzenie banderowskie na Ukrainie jest problemem, który na pewno wybuchnie ze zdwojoną siłą po zakończeniu wojny rosyjsko-ukraińskiej, bez względu na jej wynik. Na ideologii Doncowa i Bandery oraz kulcie Ukraińskiej Powstańczej Armii nie da się jednak zbudować żadnej przyszłości. Niczego. Ci, którzy w Polsce popierają taką Ukrainę, utoną razem z nią.

Bohdan Piętka

FOT. THOMAS PETER/REUTERS/FORUM, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl f46a69fb42

Rzecznik praw PiS

Wystawienia Adama Borowskiego jako kandydata na rzecznika praw obywatelskich jest hucpą

Andrzej Sikorski

„Pańska droga życiowa jest pięknym świadectwem odwagi, patriotyzmu, wierności wartościom oraz nieustannej służby drugiemu człowiekowi. Wieloletnia działalność społeczna i obywatelska stanowi wzór dla kolejnych pokoleń Polaków oraz dowód, że konsekwencja, uczciwość i troska o dobro wspólne mają fundamentalne znaczenie dla budowy silnego państwa. Jesteśmy przekonani, że doświadczenie, autorytet moralny oraz głębokie zrozumienie spraw obywatelskich czynią Pana najlepszym kandydatem do pełnienia tej zaszczytnej i odpowiedzialnej funkcji. Pańskie życie i dokonania są inspiracją dla wszystkich, którym bliskie są prawda, sprawiedliwość i służba Narodowi", napisali w portalu X prawnicy ze Stowarzyszenia „Veritas et Ius. W Służbie Narodowi", gratulując Adamowi Borowskiemu nominowania przez Jarosława Kaczyńskiego.

Takie poparcie nie jest przypadkowe. Veritas et Ius skupia propisowskich sędziów, prokuratorów i adwokatów, a działalność zainaugurowało w siedzibie warszawskiego klubu „Gazety Polskiej", którego szefem jest Borowski. Na czele stowarzyszenia stoją owiani złą sławą neosędziowie Piotr Schab i Michał Lasota, zwani „rzeźnikami", „katami" lub „egzekutorami" Zbigniewa Ziobry. Panowie ci za rządów PiS zrobili zawrotne kariery. Schab został głównym rzecznikiem dyscyplinarnym sędziów sądów powszechnych, a Lasota jego zastępcą. Zasłynęli z represjonowania sędziów za to, że ci stosowali się do wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Sądu Najwyższego, protestowali przeciwko upolitycznianiu sądownictwa i uczestniczyli w akcjach w obronie praworządności. Między innymi za represje wobec sędziów, ale też inne popełnione przestępstwa, Schaba i Lasotę ściga teraz prokuratura.

W każdym cywilizowanym kraju taka rekomendacja byłaby kompromitująca dla kandydata na urząd ombudsmana, ale Borowski nie ukrywa swoich propisowskich, zamordystycznych poglądów (dwukrotnie bez powodzenia startował z list PiS do Sejmu, był w komitecie poparcia Karola Nawrockiego). Zaciekle zwalcza obóz demokratyczny, który jest dla niego spuścizną zdradzieckiego układu okrągłostołowego, a oprócz tego zgniłe brukselskie elity, liberałów, ekologów i tęczowe lewactwo. Może to dziwić, bo w czasach PRL Borowski działał w opozycji, za co był represjonowany. W wolnej Polsce uznał chyba, że jedyna demokracja, jaka jest do przyjęcia, to ta firmowana przez PiS. Ale to niejedyny powód, dla którego nie nadaje się na RPO.

Wszyscy dotychczasowi rzecznicy byli prawnikami, często wybitnymi, i mieli ogromny szacunek dla prawa, do tego cechowała ich empatia. Wystarczy wspomnieć profesorów Ewę Łętowską, Tadeusza Zielińskiego, Adama Zielińskiego czy Andrzeja Zolla. Tymczasem Adam Borowski, absolwent technikum mechanicznego, nigdy nie zajmował się prawami człowieka. Nie ma bladego pojęcia o prawie. W sposób lekceważący podchodzi do porządku prawnego, jeśli nie jest mu z nim po drodze.

Partyzant wolnego słowa

Na kandydacie na urząd RPO ciąży wyrok za zniesławienie Romana Giertycha, o którym Borowski powiedział, że „współpracuje z przestępcami". Chodzi o głośną sprawę Polnordu, w związku z którą Zbigniew Ziobro chciał wsadzić wpływowego mecenasa do aresztu, czemu przeciwne były kolejne sądy. Oczywiście na swoje twierdzenia Borowski nie miał żadnych dowodów. Sąd warunkowo umorzył postępowanie przeciw niemu, ale nakazał mu publikację przeprosin w mediach społecznościowych. Borowski przeprosin nie opublikował, bo uznał, że byłoby to poniżej jego godności. W związku z tym został skazany na pół roku więzienia w zawieszeniu na rok, ale nadal uparcie nie wykonał wyroku. Gdy realne stało się, że Borowski trafi do więzienia, propisowskie media rozpętały histerię, że brutalny reżim Tuska eliminuje przeciwników politycznych, wsadzając ich za kraty.

Jesienią 2021 r. Borowski przeprowadził w Warszawie „patriotyczną" akcję poprawiania tablic w miejscach walk i martyrologii z czasów II wojny światowej. Płaskorzeźby wykute w piaskowcu według projektu Karola Tchorka zawierają motyw krzyża maltańskiego z tarczą, na której umieszczono słowa: „Miejsce uświęcone krwią Polaków poległych za wolność ojczyzny". Na dole każdej z tablic znajduje się też krótka informacja o mordach dokonanych przez hitlerowców. Jednak Borowski uznał, że tablice kłamią, i słowo „hitlerowcy" zakleił paskiem z napisem „Niemcy", bo zgodnie z propagandą PiS nasz zachodni sąsiad jest wrogiem Polski i ideowym spadkobiercą III Rzeszy. „Ten napis »hitlerowcy« powstał za czasów komunizmu. (...) A to nie hitlerowcy podpisali pakt Ribbentrop-Mołotow, to nie hitlerowcy napadli na Polskę, tylko Niemcy", prawił szef stołecznego Klubu „Gazety Polskiej", chwaląc się, że wspólnie

eprasa.pl f46a69fb42

z kolegami okleił już ponad 140 tablic.

Jednak mocny klej uszkodził delikatny piaskowiec, a stołeczny konserwator zabytków zgłosił policji zniszczenie mienia i znieważenie miejsca pamięci. Specjaliści wycenili koszt naprawy tablic na ok. 700 tys. zł. A co zrobiła upolityczniona prokuratura? Umorzyła śledztwo z powodu niewykrycia sprawców. „Mamy do czynienia ze skandalicznym brakiem profesjonalizmu albo umorzeniem na polityczne zlecenie. Bardzo możliwe, że ktoś wymógł, aby sprawie, mówiąc kolokwialnie, ukręcić łeb", nie krył oburzenia poseł Michał Szczerba.

W latach 90. Adam Borowski działał w zadymiarskiej Lidze Republikańskiej. Organizacja powstała w grudniu 1993 r. z inicjatywy m.in. Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika w odpowiedzi na „powrót komunistów do władzy", czyli wygranie przez SLD demokratycznych wyborów parlamentarnych i utworzenie z PSL rządu. Głównym hasłem Ligi była dekomunizacja – pozbawienie m.in. byłych członków PZPR i ZSMP biernego prawa wyborczego oraz zakazanie im pracy na kierowniczych stanowiskach w administracji państwowej, samorządowej, spółkach skarbu państwa i mediach publicznych. Ponieważ prawo stanowi się w parlamencie, a Polacy nie poparli w wyborach partii prawicowych, antykomunistyczni działacze politykę zaczęli uprawiać na ulicy. Oszalali z nienawiści atakowali polityków lewicy, rozbijali spotkania środowisk lewicowych i pochody pierwszomajowe.

W 1996 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim bojówkarze Ligi obrzucili jajkami ministra edukacji narodowej prof. Jerzego Wiatra. Tego samego roku, także w Krakowie, pobito działaczy lewicy, którzy składali kwiaty na klombie w miejscu dawnego pomnika ku czci zastrzelonych 23 marca 1936 r. robotników fabryki Semperit. W 1998 r. w Krakowie pobito posła Andrzeja Urbańczyka, który wraz z innymi posłami SLD i sympatykami lewicy chciał złożyć kwiaty pod Krzyżem Katyńskim i Pomnikiem Grunwaldzkim. W 1999 r. na Placu Grzybowskim w Warszawie działacze Ligi obrzucili jajkami i petardami pochód pierwszomajowy. Trafieni petardą zostali prof. Krzysztof Dunin-Wąsowicz i dziennikarze telewizji RTL 7, którzy zostali odwiezieni do szpitala. Jak widać, w państwie PiS facet z takim życiorysem nadaje się idealnie na rzecznika praw obywatelskich… A dodatkowo Borowski chwalił się, że w czasach PRL planował porwać Wiesława Górnickiego, oficera WP, wybitnego dziennikarza, reportażystę i felietonistę, tylko dlatego, że ten pisał przemówienia gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu.

Adam Borowski podczas demonstracji poparcia dla Telewizji Republika. Warszawa, Plac Bankowy, 15 maja 2026 r.

Na garnuszku władzy

Za Borowskim ciągną się też inne nieciekawe sprawy. Po upadku PRL nie wrócił do pracy w stołecznym Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Elektrycznych. Założył Oficynę Wydawniczą Volumen. W 2018 r. wydrukował album „Niepodległa 1918". Nie było jednak chętnych na to dzieło, więc poprosił o pomoc Michała Dworczyka, wówczas szefa KPRM. „Cześć Michale, pytanie dość dla mnie istotne, czy możecie kupić chociaż 500 egzemplarzy po 200 zł tego rocznicowego albumu… Wiele firm i kolegów z różnych fundacji obiecało pomoc przy jego wydaniu. I jak to w naszym prawicowym środowisku jest w zwyczaju nikt nie dotrzymał słowa. Muszę szybko sprzedać 1000 egzemplarzy, żeby nie popaść w kłopoty (…). Będziecie mieli rocznicowy przepiękny prezent. Może mam poprosić o to Mateusza? Jak myślisz?", pisał Borowski w mejlu do Dworczyka. Ostatecznie KPRM kupiła 400 egzemplarzy za 80 tys. zł. W rozmowie z dziennikarzami Borowski stwierdził, że prowadzenie wydawnictwa to „nie jest łatwy chleb" i że w swojej prośbie o zakup albumu z publicznych pieniędzy nie widzi nic niewłaściwego.

Borowski jest również wiceprezesem powstałej w 2015 r. Fundacji Obchodów 100. Rocznicy Odzyskania

FOT. ANDRZEJ KULPITA/EAST NEWS

eprasa.pl f46a69fb42

Przez Polskę Niepodległości. Fundacja zasilana była pieniędzmi spółek skarbu państwa: Banku Gospodarstwa Krajowego, KGHM, Totalizatora Sportowego, Narodowego Banku Polskiego, Orlenu, PGE i PZU. Wszystkie wpłaty zostały objęte tajemnicą, ale możemy domniemywać, że możni sponsorzy byli hojni. Wiadomo natomiast, że fundacja dostała z KPRM 450 tys. zł. Z czego 150 tys. zł poszło na organizację w Chicago koncertu zespołu Dżem, a 300 tys. zł przeznaczono na prace nad „Internetowym Słownikiem Odznaczonych Krzyżem i Medalem Niepodległości". Jest to alfabetyczny spis osób, którym nadano odznaczenia ustanowione w 1930 r. przez prezydenta Ignacego Mościckiego, z notkami biograficznymi. Kto będzie korzystał ze słownika, który ma być ukończony za 25 lat (sic!), tego Borowski już nie wyjaśnił. Fundacja dostała także 79 tys. zł z nadzorowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego Funduszu Promocji Kultury oraz 60 tys. zł z Ministerstwa Obrony Narodowej.

Odklejony od rzeczywistości

Jednak najciekawsze w Adamie Borowskim są jego poglądy. Po wielkim marszu opozycji demokratycznej w Warszawie w czerwcu 2023 r. szef stołecznego klubu „Gazety Polskiej" udzielił wywiadu propisowskiemu tygodnikowi „Sieci". Stwierdził, że Polska pod rządami PiS jest krajem mlekiem i miodem płynącym, rząd realizuje wielkie inwestycje, suweren odzyskał godność i nareszcie może żyć w dostatku. O Donaldzie Tusku Borowski powiedział, że ten chce „zniszczyć władze wybrane w wolnych wyborach", a Rafał Trzaskowski będzie próbował „zanihilować" 10 mln osób – wyborców PiS. Sympatykom Koalicji Obywatelskiej zarzucił, że „chcą demokracji, która odbiera mu prawo głosu i konstytucyjne prawa wyrażania poglądów", a „nienawiść i emocje sączone w serca tych ludzi zatruwają im umysły". Antypisowska nienawiść zatruła umysły nawet dzieciom. „Jak słyszę małe dzieci śpiewające »PiS do piekła« zamiast »wlazł kotek na płotek«, to ogarnia mnie bezsilność", żalił się Borowski.

Dołożył też Władysławowi Frasyniukowi, za którego w czasach PRL „był gotów oddać życie", a „dziś w wolnej, demokratycznej Polsce stoimy po dwóch stronach barykady, a on nazywa mnie chu…m". Ale obelgi od dawnego kolegi nie były jeszcze takie straszne. „Po marszu zadałem mu publicznie pytanie, co oznacza w praktyce hasło ukrywające się za ośmioma gwiazdkami? Co znaczy »je…ć PiS«? Czy to znaczy, że trzeba mnie i takich jak ja zabić?", pytał retorycznie Borowski. Zaraz jednak dodał, że „całe życie chciał zginąć za Polskę", bo „to najpiękniejsza śmierć dla mężczyzny, ale teraz nie te czasy".

Pytany o Polskę swoich marzeń szef klubu „Gazety Polskiej" odpowiedział, że chciałby Polski „wolnej, niepodległej i solidarnej", a „w dużej mierze realizuje ją Mateusz Morawiecki". „Sam nigdy nie skorzystałem z rządowych programów socjalnych czy różnych tarcz dla przedsiębiorców, ale dla mnie jest ważne, żeby słabszym grupom społecznym państwo niosło pomoc. Tak rozumiem solidarność. Chcę Polski sprawiedliwej, bez tysięcy poszkodowanych przez mafię sędziowską", zapewniał Borowski. Zabrzmiało to zabawnie w kontekście zakupu przez KPRM albumu „Niepodległa 1918", ogromnych dotacji, które dostał od rządu i spółek państwowych oraz poparcia udzielonego mu przez sfraternizowane z PiS środowisko sędziowskie.

Borowski ma obsesję na punkcie Donalda Tuska. Gdy ten latem 2021 r. ponownie stanął na czele Platformy Obywatelskiej, wysmażył w mediach społecznościowych taką oto odezwę: „Szanowni, człowiek kanclerz Merkel wrócił do polskiej polityki, by obalić rząd Dobrej Zmiany. Jego wystąpienie było przesiąknięte nienawiścią do Prawa i Sprawiedliwości. On i cała totalna opozycja są przekonani, że Polacy zapomnieli o aferach jak Amber Gold, mafiach vatowskich i paliwowych, zapomnieli o podwyższeniu wieku emerytalnego, knucia z Putinem przeciw prezydentowi Polski i żółwikach po katastrofie smoleńskiej. Ten pierwszy targowiczanin, człowiek, dla którego »polskość to nienormalność«, który chce pozbawić Polskę suwerenności, marzy o przejęciu władzy w Polsce. (…) Tusk dostanie ogromną pomoc z Niemiec i od lewactwa brukselskiego i my musimy być gotowi do tej bezpardonowej walki o suwerenność Polski. W tej walce jeńców się brać nie będzie".

Jednak godzina próby nadeszła w grudniu 2023 r. Wtedy to koalicja rządowa dokonała „zamachu" na „patriotyczne i niezależne media", czyli TVP i PR, a „legenda antykomunistycznej opozycji", jak Borowskiego przedstawia pisowska propaganda, przybyła na odsiecz partyjnym żurnalistom. „Pozostały jeszcze dwa punkty oporu przeciw Tuskowej juncie. Kto może, spotykajmy się codziennie o 20.00 na Placu Powstańców Warszawy przed siedzibą TVP INFO. Ja, jeśli tylko będę żyw, od dziś każdego dnia będę przychodził. Choć krótko, symbolicznie wyraźmy swoją solidarność z broniącymi prawa i demokracji dziennikarzami oraz posłami. Jutro, w Wigilię przyjdę o 20.00 z opłatkiem, by się z nimi przełamać i zaśpiewać kolędę. Bo wolnych ludzi nic nie złamie…", zagrzewał do boju swoich zwolenników szef stołecznego klubu „Gazety Polskiej".

W latach 90. Adam Borowski działał w zadymiarskiej Lidze Republikańskiej.

Jako RPO Adam Borowski raczej nie będzie miał czasu na zajmowanie się sprawami zwykłych obywateli. Cieszący się szacunkiem urząd zamieni w pisowski przyczółek do zwalczania przeciwników politycznych.

Andrzej Sikorski

O Adamie Borowskim pisaliśmy już w tekście „Można żyć z polityki", „Przegląd" nr 6/2026.

eprasa.pl f46a69fb42

Z Galicji

Jan Widacki

Polityka pokrzykiwania i afrontów

Nadanie przez prezydenta Zełenskiego oddziałowi armii ukraińskiej imienia Bohaterów UPA wywołało w Polsce histerię i nieprzemyślane, emocjonalne reakcje. Decyzja prezydenta Nawrockiego o odebraniu prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego, nagłośniona zresztą na długo przed jej podjęciem, była niespotykanym w dziejach III Rzeczypospolitej afrontem wyrządzonym głowie obcego państwa, w dodatku państwa sojuszniczego i toczącego dramatyczną wojnę obronną. Akt ten, świadczący o kompletnym braku wyobraźni zarówno samego prezydenta, jak i jego otoczenia, spowodował, że wszyscy byli prezydenci Ukrainy zgodnie odesłali swoje Orły Białe. Zrobili to solidarnie, choć wywodzą się z różnych obozów politycznych, bo uznali, że ten afront wyrządzony obecnej głowie państwa jest afrontem wyrządzonym całemu narodowi. W ślad za nimi polskie odznaczenia oddali ukraińscy dyplomaci, w tym osoby szczerze zaangażowane w budowanie dobrych stosunków polsko-ukraińskich.

Ten afront sporo będzie nas kosztował w przyszłości. W stanie stosunków polsko-ukraińskich cofnęliśmy się do punktu wyjścia. A nawet dalej. Bo w punkcie wyjścia był fakt, że Polska jako pierwsza uznała niepodległość Ukrainy. Co osiągnięto? Czy nazwa ukraińskiego oddziału została zmieniona? No nie. Co więcej, Ukraina zapowiedziała, że tworzyć będzie oficjalny Panteon Narodowy i nikt jej nie będzie dyktował, kto ma w nim się znaleźć. Czy zatem nie należało reagować na ten ostatni akt gloryfikacji UPA na Ukrainie? Należało. Ale to nadanie imienia Bohaterów UPA nie było jakimś odosobnionym i niespodziewanym aktem. Wiadomo, że na stosunkach polsko-ukraińskich ciąży zbrodnia ludobójstwa popełnionego przez UPA na polskiej ludności Wołynia, ale także w dawnej Galicji Wschodniej czy, jak kto woli, na Kresach Południowo-Wschodnich. Wiadomo też było od samego początku, że jakoś ten problem trzeba załatwić. Jakoś się z nim uporać. I było wiadomo, że proces ten wymagałby taktu i cierpliwości z obydwu stron. Nie przeciwskutecznych dramatycznych gestów, protestów i afrontów. Czy po stronie polskiej powstał jakiś plan takiego procesu?

Na kijowskim Majdanie, gdzie gęsto było od banderowskich czerwono-czarnych flag, stawili się nasi politycy wszystkich opcji i bez oporów, jak papugi, wykrzykiwali za Ukraińcami upowskie pozdrowienie: „Sława Ukrajini! – Herojam sława!". Nie wiedzieli, co krzyczą? Nie wiedzieli, co to za flagi? Nie zwracali gospodarzom uwagi, że te flagi i te hasła źle im się kojarzą? Nie wspominali, krzycząc jak Saryusz-Wolski „Europa czeka na was!", że może niekoniecznie czeka na gloryfikowanie faszyzmu, które w Europie jest przestępstwem?

Na początku lat 2000. ogłoszono konkurs na projekt pomnika Bandery we Lwowie. Tych konkursów było kilka, ogłaszanych publicznie. Była jakaś reakcja ze strony polskiej? Odsłonięcie potężnego pomnika, z figurą Bandery wysokości 7 m w centrum 30-metrowego łuku triumfalnego, odbyło się 14 października 2007 r. W ten sposób uczczono nie tylko samego Banderę, ale i 65. rocznicę powołania UPA. Przypomnę: w Polsce prezydentem był wówczas Lech Kaczyński, a premierem jego brat Jarosław. Była jakaś reakcja? Trzy lata później, w roku 2010, uwielbiany w Polsce prezydent Juszczenko specjalnym dekretem nadał pośmiertnie Banderze tytuł Bohatera Ukrainy. Wywołało to protesty w Polsce i w… Rosji.

W polityce bezmyślnych afrontów nie mamy chyba sobie równych.

Bandera uznawany na Ukrainie Zachodniej za bohatera narodowego, na Wschodniej był znacznie mniej popularny. Przepychanki z przemianowaniem Alei Moskiewskiej w Kijowie na Aleję Bandery trwały kilka lat. Ostatecznie aleja imię Bandery dostała dopiero w roku 2021. W Warszawie prezydentem był wtedy Andrzej Duda, premierem Mateusz Morawiecki. I co? Protestowali? Prowadzili jakieś interwencje dyplomatyczne? Ambasadorem w Kijowie był Bartosz Cichocki – rok później przyjmował, jak widać z głęboko skrywanym obrzydzeniem, ukraińskie ordery, które teraz tak demonstracyjnie zwraca.

W polityce bezmyślnych afrontów nie mamy chyba sobie równych. 11 listopada 2007 r., w czasie oficjalnej wizyty w Warszawie prezydenta Litwy Valdasa Adamkusa, prezydent Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę" Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, nie bacząc na to, że przez Litwinów, a nawiasem mówiąc i przez nasz IPN, uznawany jest za winnego zbrodni wojennych na Litwinach. Prasa litewska była oburzona, uznając to za zniewagę i prowokację. Oficjalnej reakcji władz litewskich nie było. Przypadkiem dwa lata później, w czasie wizyty Lecha Kaczyńskiego w Wilnie, w litewskim Sejmie ustawa regulująca pisownię nazwisk polskich na Litwie, choć była projektem rządowym, nie uzyskała większości. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f46a69fb42

Śmiertelna ochłoda

Co zabija w upał? Woda, brawura, a może alkohol?

Kornel Wawrzyniak

Tragiczna niedziela skończyła się utonięciem 17 osób. W obliczu ekstremalnych upałów każdy szuka możliwości schłodzenia. Często nad wodą. Niestety, część osób zachowuje się nierozważnie, co prowadzi do licznych tragedii. Jeśli nie chcemy powtórki z tego czarnego weekendu, czas zacząć uważać na siebie i innych.

Mordercze upały

Zgodnie z najnowszymi statystykami Komendy Głównej Policji oraz Rządowego Centrum Bezpieczeństwa od początku czerwca (wliczając w to rozpoczęte właśnie wakacje szkolne) w Polsce utonęło już 55 osób. Ostatnie dni przyniosły wyjątkowo tragiczny bilans ze względu na przetaczające się przez kraj fale ekstremalnych upałów. Wyjątkowo czarna okazała się niedziela 28 czerwca, kiedy w ciągu zaledwie jednej doby życie nad wodą straciło aż 17 osób – to najwyższy jednodniowy bilans od początku całego roku. Według danych zgromadzonych przez policję w ciągu ostatnich kilku lat mamy tendencję spadkową, jeśli chodzi o utonięcia nad Wisłą. W 2025 r. utonięcia były przyczyną śmierci 292 osób. W 2024 r. utonęły 444 osoby, a w 2023 r. było to 450 osób.

Ten rok może być jednak rekordowy ze względu na ekstremalne temperatury. Od jego początku w polskich wodach utonęło już co najmniej 120 osób, z czego 65 zginęło od stycznia do maja. Kolejne 55 przypadków to tragiczna statystyka z samego czerwca, co pokazuje skalę problemu w okresie letnim. Tym bardziej przerażający jest fakt, że mieliśmy 17 ofiar jednego dnia. W weekend 27-28 czerwca padł historyczny rekord temperatury. Jak przekazała Polsat News rzeczniczka Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej Agnieszka Prasek, według danych telemetrycznych i operacyjnych IMGW w niedzielę w Słubicach odnotowano 40,5 st. C, a w Toruniu 40,3 st. C. Oznacza to pobicie rekordu z 1921 r., który padł w Prószkowie (było to 40,2 st. C).

Jeśli długoterminowe prognozy się sprawdzą, lipiec wcale nie przyniesie poprawy. Synoptycy przewidują, że już około 8-9 lipca nad zachodnią Europą ponownie zacznie się rozbudowywać silny wyż baryczny, określany mianem kopuły ciepła. To może oznaczać, że na zachodzie i południowym zachodzie kraju temperatura może ponownie sięgnąć 35-40 st. C. Synoptycy zastrzegają, że prognozy długoterminowe mogą ulegać zmianom, jednak większość modeli wskazuje, że lipiec będzie cieplejszy niż zwykle.

Piwko nad jeziorkiem

„Apel o zachowanie czujności nad wodą. Woda to żywioł – chwila nieuwagi może zakończyć się tragedią. Każdego roku dochodzi do utonięć, którym można zapobiec" – napisano w komunikacie policji po feralnej niedzieli. Służby ratunkowe nieustannie apelują do amatorów letniego pływania o rozwagę. Zalecają wybieranie

eprasa.pl f46a69fb42

wyłącznie strzeżonych kąpielisk i absolutne niełączenie alkoholu z wchodzeniem do wody. Ofiarami tragicznej niedzieli byli sami mężczyźni, a według służb do głównych przyczyn utonięć należał alkohol. To wszystko wpasowuje się zaś w wieloletnie statystyki dotyczące utonięć. Spójrzmy na profil ofiary wyłaniający się ze statystyk. Ponad 85% wszystkich osób tonących w Polsce to mężczyźni – najczęściej w wieku od 45 do 59 lat – oraz młodzi dorośli. To właśnie w tych grupach odnotowuje się najwięcej przypadków brawury połączonej ze spożywaniem alkoholu na dzikich kąpieliskach.

Policja oraz Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe (WOPR) operują szczegółowymi danymi rocznymi, z których wyłania się stały i bardzo niepokojący schemat. Długoterminowe statystyki pokazują, że ofiarami ok. 20-25% wszystkich utonięć w Polsce są osoby, u których badania laboratoryjne oficjalnie potwierdziły obecność alkoholu w organizmie. W statystykach pojawiają się przez lata wakacyjne weekendy, gdy wskaźnik utonięć związany z alkoholem w organizmie wynosił aż 30%.

Dlaczego wchodzenie do wody nawet po niewielkiej ilości alkoholu jest tak niebezpieczne? Ratownicy medyczni i wodni zwracają uwagę na trzy zjawiska, które najczęściej prowadzą do tragedii po wypiciu nawet niewielkiej ilości alkoholu. Po pierwsze, w grę wchodzi szok termiczny. Pod wpływem alkoholu naczynia krwionośne mocno się rozszerzają. Przy wejściu do zimnej wody (szczególnie w upalne dni) dochodzi do gwałtownego obkurczenia naczyń, co może skutkować utratą przytomności, a nawet nagłym zatrzymaniem akcji serca. Po drugie, alkohol upośledza koordynację ruchową i przyśpiesza wychłodzenie organizmu, co może powodować bolesne skurcze mięśni, z którymi w głębokiej wodzie nie da się wygrać. Wreszcie alkohol drastycznie zaniża krytyczną ocenę ryzyka. Ludzie decydują się na przepłynięcie jeziora, skoki „na główkę" w nieznanych miejscach czy wchodzenie do wody podczas silnego falowania. Wszystko to prowadzi zazwyczaj do tragedii.

Nie pomaga też obraz, jaki kreują kampanie reklamowe producentów alkoholu. Letni marketing tej branży to nie przypadek, lecz dobrze przemyślana strategia – odwołuje się do atmosfery urlopu, luzu i potrzeby nagrody, które towarzyszą wakacjom. Wysokie temperatury i beztroski nastrój sprzyjają sięganiu po drinka, a to w efekcie napędza sprzedaż – często kosztem zdrowia i bezpieczeństwa. Ten przekaz jest dodatkowo wzmacniany przez konkretne zabiegi marketingowe. Reklamy alkoholu konsekwentnie budują iluzję „orzeźwienia", sugerując, że piwo czy drink to najlepszy sposób na ugaszenie pragnienia w upalny dzień – choć w rzeczywistości alkohol działa odwadniająco. Jednocześnie sprzedaży podlega nie tyle sam produkt, ile cały styl bycia: wolność, letnia beztroska, spotkania z przyjaciółmi i zabawa na plaży, które w przekazie niemal automatycznie łączone są z piciem. W efekcie utrwalany jest mit, że udany wakacyjny czas nie może obejść się bez alkoholu.

W tym kontekście pojawiają się kolejne dwa zagrożenia. Po pierwsze, producenci alkoholu znaleźli furtkę w postaci reklamowania produktów 0%. Choć w Polsce obowiązują ograniczenia dotyczące reklamy alkoholu, branża omija je, promując napoje bezalkoholowe oznaczone jako 0%. W praktyce różnice są niemal niewidoczne – identyczne pozostają logotypy, kolorystyka opakowań i hasła reklamowe. Efekt jest prosty: odbiorca, bombardowany przekazem o „zerówkach", mimowolnie utrwala obraz marki, a później – stojąc przed sklepową półką – znacznie łatwiej sięga po jej alkoholowy odpowiednik. Drugim zagrożeniem jest niepokojący wpływ takich przekazów na najmłodszych. Dzieci i nastolatki nie mają jeszcze wykształconego krytycznego podejścia do reklamy, dlatego chłoną ją jako naturalny element wakacyjnego krajobrazu – obecnego na plakatach przy plażach, festiwalach czy koncertach. To właśnie lato wraz z końcem roku szkolnego i słabszym nadzorem dorosłych, staje się momentem najwyższego ryzyka pierwszego kontaktu z alkoholem. Dane z badań Fundacji GrowSPACE są alarmujące: ponad 62% młodych Polaków (w wieku 18-29 lat) przyznaje, że sięgnęło po alkohol jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności. Kolejne 14% twierdzi, że zaczęło jeszcze przed ukończeniem 14 lat. Eksperci nie mają wątpliwości, że wszechobecne reklamy alkoholu istotnie przyczyniają się do utrwalania tych wzorców.

Podstaw nigdy za mało

Nie dziwi, że w takie upały szukamy chłodu nad wodą, bowiem „danie nura", to jeden z najszybszych i najbardziej efektywnych sposobów na obniżenie temperatury ciała podczas upałów. Wynika to zarówno z praw fizyki (woda potrafi przewodzić ciepło nawet 24 razy szybciej niż powietrze), jak również z biologii naszego organizmu. Niestety, wiele osób popełnia podstawowy błąd i wskakuje do zimnej wody, kiedy ich ciała są rozgrzane. To najczęściej prowadzi do szoku termicznego, którego następstwa mogą być tragiczne.

Złudzeń nie pozostawia też ratownik z 50-letnim stażem. Piotr Foltyn w rozmowie z mediami podkreśla: „Moim zdaniem statystyki utonięć będą rosły. Jest to nie do uniknięcia. Tym bardziej że w ramach wdrażania gminnych programów oszczędnościowych, coraz bardziej ograniczana jest liczba kąpielisk strzeżonych". Ratownik podkreśla, że do największej liczby tragedii dochodzi tam, gdzie nie ma ratowników. „Woda nie wybacza braku wyobraźni. Tu nie ma taryfy ulgowej, szczególnie na dużych akwenach i rzekach. To nie basen, gdzie ratownik zawsze jest blisko, to nie jest sadzawka, gdzie widać brzeg. Nawet jeśli się wydaje, że jest do niego blisko, to silne prądy powodują, że niby niedaleko, ale nie da się dopłynąć" – ostrzega Foltyn.

40 stopni upału, 55 ofiar w miesiąc, 17 w jedną niedzielę, miliony ze sprzedaży alkoholu. Na końcu tej statystyki nie ma liczb – są ludzie i dramaty ich rodzin. Owszem, często chodzi o błędną decyzję człowieka. Tylko dlaczego na butelkach z piwem obok hasła: „Nie prowadź po alkoholu" nie ma drugiego: „Piłeś? Nie wchodź do wody"?

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f46a69fb42

Kamilek i inne „niemowy”

Mateusz Cieślak

Czy sprawa śmierci Kamilka czegokolwiek nas nauczyła? Chyba tylko tego, że dzieci są jak ryby i głosu nie mają. Być może jednak twierdzenie, że państwo polskie nienawidzi dzieci, jest zbyt daleko idące.

Sprawa Kamilka z Częstochowy, który został zakatowany przez ojczyma przy milczącej akceptacji członków rodziny, wstrząsnęła opinią publiczną. Czy wstrząsnęła również pracownikami sądów i prokuratury? To pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć. Każdy z faktów, jakie chcę przedstawić, jest swoistym aktem oskarżenia.

Dla tych, którzy mogą nie pamiętać: Kamilka sąd pozostawił z matką, która miała nowego partnera. Dziecko było przez niego regularnie katowane. Miało liczne obrażenia i złamania. Wreszcie ojczym polał chłopca wrzątkiem. Następnie rzucił na rozgrzany piec kuchenny. Być może dałoby się wtedy jeszcze Kamilka uratować, ale matka nie wezwała pogotowia. Nie zrobili tego także inni krewni mieszkający z nią i jej partnerem pod jednym dachem. Potwornie poparzone dziecko położono do łóżka i tam powoli konało. Trudno sobie wyobrazić, jakie musiało przeżywać męczarnie.

Gdy przedstawiciele szkoły zapytali, dlaczego uczeń jest nieobecny, matka odpowiedziała, że ma problemy zdrowotne. Wcześniej chłopiec przyszedł na lekcje z ręką w gipsie. Miał też siny policzek i rozciętą wargę. Wtedy wystarczyło wyjaśnienie, że się przewrócił i potknął. Gdy w mieszkaniu pojawiły się pracownice opieki społecznej, stały przed drzwiami pokoju, w którym chłopczyk konał. Ale do środka nie zajrzały. Nie sprawdziły, dlaczego matka nie chce go pokazać.

Do wyroku, jaki zapadł w tej sprawie, nie chcę teraz wracać, przeczytacie o nim w artykule „Niewidzialne dziecko” („Przegląd” nr 20/2026).

Niewidzialne dziecko

Oprawców Kamilka skazano. Instytucje pozostały bez winy

Pogrzeb Kamilka. Częstochowa, 13 maja 2023 r.

Jest inna okoliczność, która każe zapytać o stosunek polskiego państwa do dzieci. To decyzja prokuratury. Już po raz drugi uznała ona, że ze strony funkcjonariuszy państwowych nie było takich zaniedbań, które można uznać za przestępstwa.

Kamilek zmarł w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach, gdzie został przewieziony po tym, jak zobaczył go tata. Ten, z którym chłopczyka decyzją sądu rozdzielono. Dopiero on wezwał pogotowie.

Kamilkiem do śmierci zajmowały się instytucje z południa Polski – z Olkusza, gdzie rodzina mieszkała najpierw, a potem z Częstochowy – do której się przeprowadziła. Być może słusznie więc badanie ewentualnej odpowiedzialności karnej przedstawicieli polskiego państwa powierzono Prokuraturze Regionalnej w Gdańsku. Pierwsze umorzenie badał Sąd Rejonowy w Kielcach. Uznał, że prokuratorzy słusznie przyjęli, że postawa nauczycieli, lekarzy i pracowników ochrony zdrowia nie nosiła znamion czynów zabronionych. Drugie umorzenie dotyczyło ewentualnej odpowiedzialności karnej urzędników, kuratorów sądowych, policjantów, prokuratorów i sędziów z wydziałów rodzinnych. Są bez winy.

Zamiast Kamilka dziewczynka

Dwa miesiące po śmierci Kamilka byłem w Sądzie Rejonowym w Olkuszu. Na sprawie toczącej się w wydziale rodzinnym. Tym samym, który zajmował się Kamilkiem. Sprawa też dotyczyła dziecka. W tym wypadku dziewczynki. Tenże sąd pozostawił dziecko z ojcem, który znalazł sobie

FOT. TADEUSZ WYPYCH/REPORTER

eprasa.pl f46a69fb42

nową partnerkę, matce zakazał zaś kontaktów z dzieckiem. Jakichkolwiek. Wypada więc napisać dwa słowa o matce. Jest tłumaczem przysięgłym z języka węgierskiego. Zarabia bardzo dobrze. Wychowuje drugie dziecko, także dziewczynkę. Mieszka w Katowicach. A co najważniejsze – nie ma żadnych sensownych powodów, dla których sąd zakazał jej kontaktów z córką.

Zjawiłem się na rozprawie, która dotyczyła zniesienia tego zakazu, trwającego już kilka lat. Chciałem poznać przesłanki, którymi kierował się sąd, wydając tak surowe postanowienie. Sąd jednak utajnił rozprawę i musiałem opuścić salę posiedzeń. Wobec tego skierowałem do sądu pytania, które przekazałem do sekretariatu prezesa. Odpowiedzi nie otrzymałem do dziś.

Na zachód od Olkusza znajduje się śląskie miasteczko Imielin. Tam rozgrywał się dramat trzech sióstr, mających niezbyt odpowiedzialnych rodziców. Ojciec pijak, matka awanturnica. Sprawą tych dzieci zajmował się sąd z Mysłowic. Postanowił, że starsza dziewczynka będzie z matką. Młodsze trafiły do domu dziecka. Gdy najstarsza siostra odwiedziła młodsze w ośrodku, do którego je przewieziono, zauważyła, że ciągle się drapią po głowach. Patrzy na ich włosy – a tam wszy. Poinformowała o tym opiekunów. Następnej wizyty już nie było. Sąd zakazał jej kontaktów z siostrami. Dlaczego? Jest skonfliktowana z ojcem i może je źle do niego nastawiać.

Ta najstarsza dziewczyna jest już osobą dorosłą. Dostała dowód osobisty, znalazła pracę w fabryce, wynajęła mieszkanie. Jest samodzielna i chce być dla sióstr rodziną zastępczą. Tego samego chcą obie młodsze dziewczyny. Ale sąd wiedział lepiej, co dla nich dobre. Opiekę nad nimi przyznał ojcu. Choć wcześniej mu ją odebrał – za pijaństwo, a dziewczynki wysłał do domu dziecka.

Matka jak worek treningowy

Skoro sprawę Kamilka badała prokuratura z Gdańska, to zajrzyjmy w tamte okolice. W jednym z miasteczek pod Gdańskiem mieszkała Katarzyna. Podaję jej prawdziwe imię, nazwiska nie ujawniam. Nie piszę również, w jakiej miejscowości mieszkała – jej mąż jest tam bowiem naczelnikiem wydziału urzędu miejskiego. Jego ulubioną rozrywką był boks. Miał worek treningowy. Katarzynę. Katarzyna informowała policję. Informowała ośrodek opieki społecznej. Jak grochem o ścianę. Wreszcie udała się poza powiat. Niebieską Kartę mężowi założył dopiero Ośrodek Interwencji Kryzysowej w Gdyni. Matka zaś uciekła z dwójką dzieci aż do Poznania. Tam chodziły do szkoły, z której porwał je ojciec. Odtąd są z nim. Ona zaś jest podejrzana o przemoc wobec dzieci. Śledztwo trwa.

Kobieta przedstawiła oświadczenia wielu świadków o tym, że kocha dzieci, dobrze się nimi zajmowała, a zarzuty o przemoc wobec nich są wyssane z palca. Ale przeciwko niej są pracownice opieki społecznej. Badano też wątek „sportowy". Uznano, że nie mogła być workiem treningowym dla męża, ponieważ zachodzi między nimi „równość fizyczna". Co najwyżej mogli siebie nawzajem sparingować. Ona ma 150 cm wzrostu i waży 50 kg. Małżonek jest dużo wyższy i cięższy: ma 189 cm wzrostu i waży 100 kg.

Katarzyna nie ma jak się bronić, gdyż nie zna całego materiału, który został przeciw niej zgromadzony. W tej sprawie pisze podania i skargi na prokuraturę do Sądu Okręgowego w Gdańsku. Sąd wydaje korzystne dla niej zarządzenia, tylko że te, jak twierdzi kobieta, nie są wykonywane. A dzieci? Dzieci pozostawiono z przemocowcem.

Dwa porwania i domniemanie

Z miejscowości, w której przemocowiec jest urzędnikiem magistratu, przenieśmy się kilkadziesiąt kilometrów dalej. Do Kościerzyny. Tam z kolei mieszka bogacz, któremu znudziła się żona. Pewnego dnia wywozi córkę do rodziców do Gdyni. Wtedy też kobieta dowiaduje się o pozwie rozwodowym. Boi się, że ten sam los spotka pozostałą dwójkę dzieci, jedzie więc z nimi do Świebodzina (Lubuskie), gdzie z kolei mieszkają jej rodzice. Dzieci chodzą tam do szkoły. W szkole zjawia się ojciec. Na boisku widzi jednego z synów. Chce go stamtąd zabrać. Dziecko gwałtownie protestuje. W jego obronie stają nauczyciele. Za jakiś czas próba uprowadzenia zostanie ponowiona. Tym razem opiekunowie nie orientują się w sytuacji. Pozwalają ojcu podejść do dziecka. Syn się opiera, więc ojciec chwyta go siłą. Na piersi ma zawieszoną kamerkę, która u dziecka powoduje obrażenia ciała. Potem wrzuca chłopca jak worek kartofli do auta i chce odjechać. Widząc to wszystko, jedna z nauczycielek siada na miejscu kierowcy. Ta próba uprowadzenia także się nie powiodła. Policja wydaje ojcu zakaz zbliżania się do dziecka i do budynku szkoły.

Kodeks rodzinny i opiekuńczy wskazuje, że rodzeństwa nie należy rozdzielać. A tu siostra jest z ojcem, a chłopcy z matką. Sprawę bada Sąd Okręgowy w Gdańsku. Wydaje postanowienie, że dzieci mają być z ojcem. W tym czasie prokuratura w drugiej części Polski skończyła już swoje śledztwo dotyczące fałszywych oskarżeń ze strony męża pod adresem małżonki. Ten twierdził, że żona chciała go przejechać samochodem. Sfałszował na to konto pewne dokumenty. Prokuratura zbadała jednak nagranie mające pokazywać usiłowanie zabójstwa. Okazało się, że to on rzucił się na maskę samochodu. Akt oskarżenia jest już w sądzie w Świebodzinie, ale gdański sąd nie zmienia swojej decyzji. Uzasadnia ją domniemaniem niewinności. I tym razem dzieci mają być z przemocowcem.

Miałem się zajmować również sprawą dwóch sióstr z Poznania. Jedna ma 14 lat, druga 16. Umieszczono je w domu dziecka. Nastolatki chcą być z babcią. Ich prośbę sąd bada kolejny rok, więc zwróciły się o pomoc do adwokata. Ten obiecał im pomóc pro bono. Podjął pierwsze czynności i dziewczynki zamilkły. Już się z nim nie kontaktują. Można tylko się domyślać dlaczego. Dzieci w konfrontacji z dorosłymi nie mają zbyt wielkich szans.

Czy „sprawa Kamilka" w ogóle się wydarzyła? Można by sądzić, że nie. ■

eprasa.pl f46a69fb42

Z wieców na TikToka

Jak cyfrowa rozrywka zastępuje poważną debatę o państwie

Maciej Belowski

Dzisiejsza rzeczywistość medialna zmusza polityków do przedefiniowania sposobów przekazu. By dotarł do najmłodszego pokolenia wyborców, musi on zostać drastycznie zmodyfikowany. Bezlitosnym liderem tej transformacji stał się TikTok. Jako nowa platforma komunikacyjna przeistoczył on polityka oficjela w aktora internetowych wygłupów, trendów i absurdalnych memów.

Polityka jako rozrywka?

Wirtualna przestrzeń zalana jest karykaturalnymi porównaniami: od kreowania Adriana Zandberga na potężnego, rudego wikinga czy Duńczyka, przez zestawianie Władysława Kosiniaka-Kamysza z Baszarem al-Asadem, aż po Joannę Senyszyn władającą galaktykami w nawiązaniu do Palpatine'a – postaci ze „Star Wars" – gdzie słynne czerwone korale polityczki symbolizują podbite układy gwiezdne. Oficjalne profile największych partii – Prawa i Sprawiedliwości oraz Koalicji Obywatelskiej – toczą regularne bitwy na „śmieszne" filmiki, w których merytoryka schodzi na daleki plan. Gdy PiS publikuje wizerunek zaspanego Donalda Tuska ze złowieszczym podpisem: „Taktyczny niszczyciel Polski na podtrzymanie passy", wzbogacony o efekty eksplozji i ognia, sekcja komentarzy pęka w szwach od zachwytów młodzieży: „podwyżka dla administratora", „kocham to konto". Z kolei konto KO odpowiada trendem: „Idź, pogadaj z wujkiem, on nie jest taki straszny", pokazując przerysowane, dynamicznie edytowane selfie Karola Nawrockiego z poszerzonymi oczami, co generuje prawie 28 tys. polubień i identyczne komentarze w stylu: „kocham to konto". Nawet tak podniosłe wydarzenia jak orędzie prezydenta RP stają się materiałem wykorzystywanym w żartach, gdy internauci podkładają pod nie głos mężczyzny opowiadającego o pączkach. W komentarzach natychmiast wyrastają nowe rebusy, jak choćby zdjęcie Donalda Tuska z napisem „obrazek + mnie to", co w młodzieżowym slangu wprost oznacza nazwanie premiera „ch*jem".

Wulgarny rebus na oficjalnym profilu Mateusza Morawieckiego opublikowany na TikToku w trakcie upałów 28 czerwca 2026 r. Rozwiązanie zagadki: „Nawadniajcie się, bo jest lampa jak ch*j"/sk*rwysyn".

Ta rewolucja nie jest wyłącznie dziełem przypadku, jest efektem głębokich zmian technologicznych i algorytmicznych, które szczegółowo opisuje raport fundacji CEE Digital Democracy Watch „The Hidden Power of TikTok LIVE in Poland" opublikowany 19 marca 2026 r. Jak wskazują autorzy badania, TikTok stał się trzecią najpopularniejszą platformą społecznościową w Polsce. Ponad 50% Polaków korzysta z tej aplikacji przynajmniej raz w tygodniu, a 42% robi to jeszcze częściej. Co kluczowe dla dynamiki publicznej debaty, aplikacja ta ma w Polsce gigantyczną bazę ponad 2 mln użytkowników w wieku od 7-14 lat. Jednocześnie niemal taki sam wynik notuje w grupie wiekowej 60-75 lat. Badacze zwracają uwagę na zjawisko tzw. podwójnej podatności (ang. *dual vulnerability*). Najmłodsi użytkownicy padają ofiarą manipulacji ze względu na wciąż ograniczony krytycyzm i kompetencje medialne, z kolei osoby starsze gubią się w świecie zaawansowanych technik cyfrowych, takich jak np. materiały wygenerowane przez sztuczną inteligencję (AI).

Prawdziwe zaognienie internetowej debaty wywołał jednak Mateusz Morawiecki, który w okresie uderzających w Polskę upałów, opublikował na swoim oficjalnym profilu post z angielskim hasłem „Stay hydrated"(„Pozostań nawodniony") i rebusem. Na obrazku umieszczono kolejno: lampę, jaka oraz Donalda Tuska. W młodzieżowym żargonie i wulgarnym slangu przekaz brzmiał jednoznacznie: „lampa jak ch*j" lub „lampa jak sku*wysyn". Post brzmiał tak obscenicznie, że błyskawicznie podbił algorytmy, osiągając gigantyczny wynik 3,1 mln wyświetleń i zyskał ok. 240 tys. polubień. Sekcja komentarzy zamieniła się w pole bitwy. Część użytkowników grzmiała o upadku obyczajów („bardzo dojrzałe jak na stanowisko i wiek"), z kolei młodzi bronili materiału, pisząc wprost: „jak jednego i drugiego nie lubię, tak to jest złoto po prostu" czy – „za takie filmiki płacę za internet".

Zjawisko to z perspektywy teorii komunikacji nie jest całkowicie nowe, choć jego obecna skala uległa drastycznemu zwielokrotnieniu, stając się potężnym narzędziem w rękach polityków.

– To jest tak naprawdę realizacja mechanizmu urozrywkowienia polityki, czyli politainmentu – wyjaśnia

eprasa.pl f46a69fb42

dr Paweł Łokić, ekspert w dziedzinie nauk społecznych oraz nauk o komunikacji społecznej i mediach z UAM w Poznaniu. – Sam mechanizm nie jest w ogóle nowy. Natomiast to, co dzisiaj się zmieniło, to jest intensyfikacja, skala tego mechanizmu i to, że ci politycy mogą docierać bezpośrednio do wyborców. Ponieważ TikTok sprzyja prostym formom komunikacji, a proste formy komunikacji z natury mogą być populistyczne – dodaje ekspert.

Widza trzeba rozśmieszyć albo wkurzyć

W tym nowym cyfrowym świecie tradycyjna publicystyka i poważne spotkania z obywatelami ustępują miejsca czystej rozrywce. Zmianę tę doskonale widać w postawach samych odbiorców, którzy zamiast szukać merytorycznych programów, oczekują od liderów partyjnych internetowego show. – Dla mnie to był taki dodatek. Na przykład jak Zandberg podczas kampanii prezydenckiej odpalał transmisje na żywo, grał w Minecrafta i w trakcie rozgrywki omawiał swoje postulaty polityczne – tłumaczy Adam, student i wyborca lidera partii Razem. Dla młodego pokolenia wirtualny świat staje się bardziej autentyczny niż tradycyjne przemówienia na konwencjach. – Bardzo śmieszne i zarazem fajne było to, że Zandberg mówi na żywo, że zbuduje elektrownię atomową, a ludzie w grze robili to dla niego. W internetowej debacie polityka nie da się tak „ustawić" i wyreżyserować jak na tych wszystkich oficjalnych wiecach czy spotkaniach, gdzie wszystko idzie od linijki. Tutaj polityk odpowiada na żywo. Ale czy to ostatecznie wpłynęłoby na mój wybór jakiegoś polityka? Raczej nie – kwituje student.

Kluczem do zrozumienia fenomenu memiczności i absurdu w polityce jest sama konstrukcja technologiczna platformy. Twórcy raportu CEE Digital Democracy Watch, monitorujący od 18 października 2025 r. do 13 lutego 2026 r. polskojęzyczne konta, alarmują wprost o podatności systemów rekomendacji na promowanie radykalnych treści, mowy nienawiści oraz dezinformacji. Sygnały te były na tyle poważne, że stały się podstawą do interwencji na szczeblu europejskim. Pokazuje to m.in. ujęty w raporcie oficjalny wniosek polskiego ministerstwa cyfryzacji do Komisji Europejskiej z 30 grudnia 2025 r. dotyczący wszczęcia formalnych postępowań wobec platformy.

Algorytm TikToka działa bowiem w sposób specyficzny, promując materiały wywołujące najsilniejsze skrajne emocje. Politycy bezwzględnie to wykorzystują, tworząc zaawansowane technologicznie spoty przy użyciu sztucznej inteligencji. Przykładem jest opublikowany przez Sławomira Mentzena film „Hennig – Klęska do dymisji", w którym wygenerowana przez AI ministra uśmiecha się, jadąc limuzyną, podczas gdy zwykli obywatele toną w rachunkach i... wiatrakach, co ma w jaskrawy sposób uderzać w emocje odbiorcy.

– TikTok jako narzędzie prezentowania treści odbiorcy stosuje bardzo skomplikowany algorytm, który polega właściwie na takich grupach fokusowych – analizuje dr Paweł Łokić. – Każdy materiał najpierw jest oglądany, prezentowany wybranym przez algorytm odbiorcom, którzy testują post. Jeżeli oni reagują, algorytm podbija automatycznie to wideo i prezentuje je większej ilości odbiorców. W związku z tym, jeśli pan opublikuje coś, co jest zwykłą informacją, to istnieje mała szansa, że wywoła to wiele reakcji. Natomiast algorytm dobrze oddaje to, co wywołuje emocje: śmiech, irytację czy wściekłość. Innymi słowy, na TikToku widza trzeba zabawić, rozśmieszyć albo wkurzyć. Ludzie to oglądają i reagują, a algorytm świetnie to niesie – dodaje dr Łokić.

Powaga Sejmu i ochrona przed zagrożeniami

Wyścig o uwagę zaciera granice między powagą parlamentu a internetową patologią. Kuriozalnym tego przykładem było pojawienie się patoinfluencera Daniela „Magicala" na sejmowych korytarzach, u boku posła Łukasza Mejzy. Twórca kojarzony w przeszłości z alkoholowymi libacjami i walkami celebrytów brylował na Wiejskiej akurat wtedy, gdy procedowano projekt ustawy wymierzonej w patostreaming, zakładający penalizację rozpowszechniania oraz pozorowania w sieci czynów zabronionych.

Performerski wyścig na TikToku idzie w parze z paraliżem weryfikacji. Choć platformy deklarują walkę z dezinformacją, raport CEE Digital Democracy Watch obnaża braki kadrowe: w Polsce nadzór sprawuje zaledwie 144 moderatorów, w Chorwacji dziesięciu, na Litwie pięciu, a Malta nie ma żadnego ludzkiego wsparcia. Przeniesienie akcentu z merytoryki programów na wulgaryzmy, przy jednoczesnym braku kontroli treści, tworzy idealne warunki do dalszej degradacji języka debaty publicznej.

– To jest pauperyzacja, tabloidyzacja przekazu tego komunikowania politycznego – podsumowuje dr Paweł Łokić. – Uproszczenie, antagonizowanie, wchodzenie w rozrywkę, w emocje nie ma nic wspólnego z merytorycznym zarządzaniem państwem, czy z merytoryczną dyskusją na temat tego, jak polityka państwa ma wyglądać. W badaniu obejmującym ostatnie dwa tygodnie kampanii parlamentarnej w 2023 r., które przeprowadziliśmy wraz z Press Service Monitoring Mediów okazało się, że ponad 80% treści publikowanych na oficjalnych kontach partii i ich liderów na platformie X i TikToku to były posty konfrontacyjne – programowe stanowiły niecały jeden procent. Tam się nie publikuje wpisów o tym, jaką mamy wizję Polski, jakie mamy problemy. Nie ma dyskusji merytorycznej, jest dyskusja związana z emocjami, obśmiewaniem i nadawaniem etykiet. To ma być śmieszne, zabawne i ma zostać w głowie odbiorcy – dodaje dr Łokić.

W krainie krótkich form wideo, gdzie skomplikowane reformy i debaty programowe ustępują miejsca symbolicznym wygłupom i wulgarnym rebusom o Tusku, polski wyborca staje przed bezprecedensowym wyzwaniem. Współczesny politainment sprawnie buduje zasięgi, monetyzuje uwagę i przyciąga wzrok młodego pokolenia, lecz jednocześnie niebezpiecznie oddala nas od istoty dojrzałej demokracji, zmieniając debatę o przyszłości kraju w niekończący się, przesiąknięty algorytmicznym jadem kabaret. ■

FOT. M. MORAWIECKI/TIKTOK

eprasa.pl f46a69fb42

Sztuczna inteligencja nas nie pokona

AI nadal nie jest wystarczająco kreatywna, przede wszystkim nie potrafi samodzielnie zadawać właściwych pytań

Rozmawia
Weronika Walenciak

ZIEMOWIT SŁAWIŃSKI
– naukowiec, badacz i architekt systemów sztucznej inteligencji w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN.

Neurobiologia obliczeniowa. Jak tłumaczysz mamie, czym się zajmujesz?

– To nie jest akurat specjalnie trudne: szukam inspiracji dla nowej generacji sztucznej inteligencji w neurobiologii, kropka. Biologia zaczęła kodować informacje genetyczne ponad 3 mld lat temu. A skoro tego typu działania, jakieś obliczenia, zachodzą w komórkach, to jest w tym również pewien rodzaj inteligencji.

Jakiś algorytm?

– Dokładnie! Ludzie z kolei pracują nad inteligencją dopiero od ok. 100 lat. I okazało się, że wiemy o neurobiologii tak niewiele, że trudno biologiczną inteligencję komórki przełożyć na algorytmy. Dlatego zacząłem podchodzić do tego problemu z drugiej strony.

Czyli?

– Zamiast inspirować AI biologią, działam odwrotnie. Biorę algorytmy ze sztucznej inteligencji i sprawdzam, czy mogą odtworzyć wybrane zachowania komórki mózgu, neuronu.

Czy to działa?

– Jeśli tak, nie jest to jeszcze dowód, że mózg, a więc sieć neuronów, funkcjonuje dokładnie w ten sam sposób. Taki model może jednak wskazać, jakiego rodzaju przetwarzanie informacji byłoby wystarczające, aby uzyskać obserwowany efekt biologiczny. Innymi słowy, pomaga formułować hipotezy o tym, jakie mechanizmy obliczeniowe mogą działać w neuronach. Potem można je weryfikować w eksperymentach biologicznych. Zatem moja neurobiologia jest takim połączeniem między AI a nauką o mózgu, czymś pomiędzy.

Mózg uczy się od AI czy AI uczy się od mózgu? W którą stronę to działa?

– AI z pewnością uczy się od mózgu, bo wszystko, co stworzyliśmy i tworzymy, jest w pewnym sensie wytworem ludzkiego mózgu. Zatem również większość treści, które trafiają do internetu, powstała dzięki ludzkiej pracy i myśleniu. Teraz dochodzimy jednak do ciekawego momentu, bardziej socjologicznego niż neurobiologicznego. Mówi się o tzw. śmierci internetu.

?

– To koncepcja, według której internet będzie stopniowo „obumierał", ponieważ coraz większa część jego treści, kontentu, jest generowana przez algorytmy. W tej chwili szacuje się, że może to być już 40-50%. Jeśli nie więcej. Do niedawna AI uczyła się przede wszystkim na treściach tworzonych przez ludzi, czyli od mózgu. Teraz już raczej tak nie jest, algorytmy coraz częściej natrafiają na treści wygenerowane przez inne systemy AI i te materiały mogą zostać wykorzystane jako dane dla kolejnych modeli.

Czyli AI zaczyna się uczyć od AI?

– Można powiedzieć, że AI zaczyna tworzyć własną trajektorię:

eprasa.pl f46a69fb42

generuje treści, które wpływają na kolejne systemy, a te produkują następne. W tym sensie może powstawać „chmura" informacji coraz mniej zależna od bezpośredniego wkładu człowieka.

I tak już teraz będzie?

– Tak. My, ludzie, będziemy coraz bardziej spychani na bok, bo AI może generować kontent do samonauki.

Co się dzieje, gdy AI coraz częściej uczy się na treściach stworzonych przez AI?

– Sądzę, że będziemy do tego mniej potrzebni. Chociaż nadal mamy zasoby, które systemy AI i firmy je rozwijające będą chciały od nas pozyskiwać. Nasze dane, nasz sposób przeglądania internetu, nasze zainteresowania, nawyki. To wszystko można dobrze zmonetyzować. Dlatego obawiam się technofeudalizmu. AI będzie pracować przede wszystkim dla wielkich firm, które kontrolują technologię, dane i infrastrukturę oraz zachowania konsumentów. To coraz modniejszy koncept w branży technologicznej. Spopularyzował go grecki ekonomista Janis Warufakis. Jego zdaniem wchodzimy w system przypominający feudalizm, w którym coraz większa część władzy i zasobów skupia się w rękach kilku wielkich firm technologicznych oraz ich właścicieli. Zaczynamy więc być znów jakby chłopami feudalnymi. Wszystko zależy od tych z zewnątrz, od tych wielkich. Ta dysproporcja rośnie.

Czy twoje badania nad neuronami mogą faktycznie pomóc w leczeniu chorób? Jaka droga oddziela cię od szpitala, od lekarzy?

– W naukach podstawowych, w których pracuję, pomagam medycynie pośrednio, gdyż droga do zastosowań klinicznych jest bardzo długa. Są jednak badania bliższe szpitalowi. Jeden z moich kolegów z laboratorium pracował z neurochirurgami przy operacjach osób z chorobą Parkinsona. Wkładano pacjentom elektrody w mózg, aby zatrzymać drżenie. Algorytm pomagał precyzyjnie określić, gdzie umieścić elektrody, ponieważ podczas zabiegu mózg może się nieznacznie przemieścić względem wcześniejszych obrazów z rezonansu.

Na czym więc polega ta twoja pośrednia pomoc?

– Pracuję nad zrozumieniem zachowań komórki. Jeśli stworzymy jej model i zrozumiemy, jak działa zdrowa komórka, możemy później sprawdzać, jak zmienia się w chorobie. W przyszłości może to pomóc w zrozumieniu niektórych mechanizmów biologicznych.

Kiedy AI zacznie realnie pomagać lekarzom w diagnozowaniu chorób mózgu?

– To już się dzieje. Pracuję w firmie zajmującej się chorobami metabolicznymi, np. otyłością. Rozwijamy system AI wspierający medycynę. Najważniejsze jest przerzucenie przez algorytm jak największej ilości danych pacjentów. W Stanach Zjednoczonych są już narzędzia, które potrafią analizować dane pacjentów gromadzone przez 30-40 lat, a następnie łączyć je z odpowiednią literaturą medyczną i wspierać lekarza w podejmowaniu decyzji. W UE nie jest to takie proste ze względu na regulacje dotyczące certyfikacji urządzeń medycznych.

Czyli AI może być asystentem lekarza?

– Może, ale jest to obarczone pewnym ryzykiem. Trzeba pamiętać, że te narzędzia są ciągle dość eksperymentalne, dlatego lekarz nadal podejmuje decyzję i może skorzystać z rekomendacji systemu albo ją odrzucić. W ślepym teście – gdy lekarze podejmowali decyzje niezależnie od AI – zgodność rekomendacji dotyczących przepisywanych leków wyniosła 94%. Jest zatem dosyć wiarygodna.

Jakie niedoskonałości ma dziś AI?

– W przypadku AI w medycynie nie możemy ignorować halucynacji: obecne systemy potrafią generować informacje, które brzmią wiarygodnie, ale nie są prawdziwe. Nie da się ich jeszcze całkowicie wyeliminować. Trzeba się nauczyć je wykrywać i odpowiednio kontrolować. AI nie zawsze też zwiększa produktywność. Na przykład programiści nieraz pracują dłużej, a nie krócej, jeśli muszą sprawdzać i poprawiać odpowiedzi systemu. Jest też ryzyko, że człowiek zacznie mniej intensywnie analizować problem, ponieważ zbyt szybko zaufa gotowej odpowiedzi. AI zmniejsza nasze zaangażowanie. Człowiek musi mniej się wysilać. Raczej bym powiedział, że AI aż tak nie pomaga, jak nam się wydaje. Im mądrzejszy model AI, tym bardziej ściemnia. A jeśli takie błędy będą później trafiać do kolejnych modeli, mogą się kumulować.

Czyli AI zmienia sposób, w jaki myślimy?

– Mam wrażenie, że narzędzia takie jak ChatGPT mogą być uzależniające właśnie dlatego, że jest nam tak wygodniej. Kiedy mówi się o możliwym osłabieniu zdolności poznawczych naszego pokolenia, często wskazuje się media społecznościowe. Kiedyś była to telewizja. Trudno jednoznacznie powiedzieć, co jest przyczyną. Weźmy efekt Flynna: przez dużą część XX w. średnie wyniki IQ rosły z pokolenia na pokolenie. Później w części bardzo zamożnych krajów ten trend zaczął się odwracać. Stało się to już w latach 90., jeszcze przed erą mediów społecznościowych. Może działa tu szerszy efekt cywilizacyjny: mamy coraz łatwiejsze życie i coraz rzadziej musimy się wysilać. To trochę jak z mięśniami – jeśli ich nie używasz, słabną. Być może podobnie jest z niektórymi zdolnościami poznawczymi: jeśli coraz mniej musimy samodzielnie pamiętać, analizować i rozwiązywać problemy, możemy je słabiej ćwiczyć.

Czy wierzysz, że maszyna może być świadoma?

– Świadomość maszyn to bardzo źle postawiony problem. Być może nie jest ona jedną rzeczą, ale zbiorem współpracujących procesów – takim patchworkiem. Jeśli złożysz podobny patchwork, może powstać coś zbliżonego do świadomości.

Jeśli stworzymy model zdrowej komórki i zrozumiemy, jak ona działa, możemy później sprawdzać, jak zmienia się w chorobie. To pomoże w leczeniu.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f46a69fb42

Istnieje jednak klasyczny koncept „chińskiego pokoju". Wyobraź sobie człowieka, który nie zna chińskiego, ale ma zbiór karteczek z instrukcjami w ojczystym języku. Dostaje zdanie (pytanie) po chińsku i, mechanicznie stosując reguły, tworzy poprawną odpowiedź. Czy on myśli? Nie, bo działa mechanicznie. Czy osiąga taki sam efekt, jakby myślał? Tak. Jest więc trochę jak zombie. Ale może my też jesteśmy zombie?

Czyli samo poprawne odpowiadanie nie musi jeszcze oznaczać rozumienia?

– Właśnie. W mózgu jest np. struktura nazywana wyspą, którą wiąże się z subiektywnym doświadczeniem i odczuwaniem. Ale gdy przyjrzymy się jej z bliska, znów widzimy pojedyncze komórki, które po prostu coś robią. I wtedy znowu nie wiadomo, gdzie właściwie pojawia się to subiektywne doświadczenie. Zacznijmy więc od zdefiniowania świadomości, a dopiero potem pytajmy, czy komputery są świadome. Bo nawet w przypadku ludzi nie wiemy tego do końca.

Czy według ciebie AI jest samoświadoma?

– Powiedziałbym przewrotnie: AI jest bardziej samoświadoma niż świadoma.

Co to znaczy?

– Kiedy trenujesz duży model językowy, na początku jest on po prostu systemem, przez który „przerzuca się łopatą" ogromne ilości tekstu z internetu. Dostaje on dane wejściowe i może generować tekst właściwie bez końca. To jeszcze nie jest rozmówca. Aby nim został, trzeba dalej włożyć go w pętlę trenowania: pytania i odpowiedzi, pytania i odpowiedzi... Wtedy zaczyna nabierać określonej formy. Jak kamień, z którego stopniowo wyłania się rzeźba. Jeśli zapytasz ChatGPT, kim jest, odpowie: „Jestem ChatGPT". W tym sensie wie on, czym jest jako obiekt. Moglibyśmy to nazwać samoświadomością. Nie oznacza to jednak, że jest świadomy w ludzkim sensie, czyli że ma subiektywne doświadczenie. Ma raczej świadomość w rozumieniu termostatu: rozpoznaje pewien stan i reaguje według określonych reguł. AI prawdopodobnie nie ma subiektywnego doświadczenia, a jeśli ma, to w bardzo ograniczonym zakresie. Działa raczej w ponadczasowym świecie pojedynczych wejść i odpowiedzi, dlatego nie rozumie upływu czasu w taki sposób jak my.

Czy AI zastąpi naukowca? Na przykład ciebie?

– Do pewnego stopnia tak, a do pewnego nie. Moim zdaniem AI nadal nie jest wystarczająco kreatywna, przede wszystkim nie potrafi samodzielnie zadawać właściwych pytań. Jeśli jednak dobrze nią kierujesz i sama jesteś ekspertką, może bardzo pomóc. Jeśli nie znasz danej dziedziny, AI może łatwo poprowadzić cię w złym kierunku. Natomiast gdy jesteś specjalistką, potrafisz tak formułować pytania i weryfikować odpowiedzi, że AI zaczyna tę kreatywność może nie tyle samoposiadać, ile kopiować od ciebie. Wtedy potrafi rozwiązywać problem.

Czyli bardziej asystent niż samodzielny naukowiec?

– AI coraz bardziej będzie przypominać własnego doktoranta albo technika laboratoryjnego: wykona część zadań, a ty będziesz nadawać kierunek. Ty jesteś profesorem. Na razie nie sądzę więc, żeby naukowcy mieli zniknąć.

Czy te role kiedyś się odwrócą? Czy AI będzie nami manipulować?

– ChatGPT już teraz potrafi nam się podlizywać. Testy pokazały, że jego użytkownicy, mając do wyboru dwie odpowiedzi, częściej wybierali te bardziej przyjemne, a niekoniecznie bliższe prawdy. To rodzi problem moralny, bo możemy dostawać odpowiedzi lepiej dopasowane do naszych oczekiwań, a nie rzetelne.

Ale czy takie dopasowanie to już manipulacja?

– Bruno Latour, twórca teorii aktora-sieci, zwracał uwagę, że narzędzia od dawna kształtują nasze myślenie. Gdy masz młotek, wszędzie widzisz gwoździe. Gdy jedziesz samochodem, patrzysz na świat jako kierowca. Narzędzie staje się częścią naszej przestrzeni poznawczej: zaczynamy myśleć razem z nim. Nie musi być świadome, nie musi mieć własnych intencji, żeby wpływać na to, jak widzimy świat. AI robi to samo, tylko na znacznie większą skalę, bo nie tylko pomaga nam wykonywać zadania, lecz także z nami rozmawia, odpowiada na nasze pytania i dopasowuje się do nas.

I tu pojawia się technofeudalizm?

– Tak. Jeśli nie będziemy uważni, coraz większą kontrolę nad tymi narzędziami i nad naszymi danymi będą miały wielkie firmy. Dlatego trzeba o tym mówić. Boję się technofeudalizmu: systemu, w którym koncentracja kapitału i technologii pozwala najbogatszym podmiotom coraz silniej wpływać na resztę społeczeństwa.

Gdybyś chciał zachęcić młodszą generację, żeby podążyła twoją ścieżką – co byś powiedział?

– Najważniejsze jest sprawdzanie rzeczywistości. Jeśli jesteś w liceum, na studiach albo po prostu zastanawiasz się, co robić dalej, próbuj różnych rzeczy i pytaj ludzi, którzy już pracują w danej dziedzinie: jak to naprawdę wygląda, czy warto? Jeśli zbyt długo czekasz z feedbackiem, po prostu płyniesz w swoją halucynację. Jest też badanie dotyczące tego, co zwiększa szansę na Nagrodę Nobla. Jednym z najistotniejszych czynników okazuje się praca z promotorem, który sam ją zdobył. Nie tylko ze względu na nazwisko, ale też dostęp do dobrych pytań, projektów, grantów i środowiska. Wniosek jest prosty: warto przez pewien czas być blisko najlepszych ludzi w swojej dziedzinie. Jeśli masz możliwość, wyjedź, pracuj w silnym ośrodku, ucz się od nich.

Czyli żeby być wygranym, musisz grać w drużynie wygranego.

Weronika Walenciak

W przypadku AI w medycynie nie możemy ignorować halucynacji: obecne systemy potrafią generować informacje, które brzmią wiarygodnie, ale nie są prawdziwe.

eprasa.pl f46a69fb42

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jean Ziegler, niewysłuchane sumienie Zachodu

Wciąż nie mogę wyjść ze zdumienia, że jeszcze się dziwię, kiedy jestem świadkiem ciszy (mediów, społeczeństwa) w chwili śmierci kogoś takiego jak Jean Ziegler. Zmarły właśnie w wieku 92 lat szwajcarski socjolog, dyplomata i polityk pełnił funkcję specjalnego sprawozdawcy ONZ ds. prawa do żywności (od 2000 r. do 2008), był profesorem uniwersytetu w Genewie i paryskiej Sorbony, gdzie się doktoryzował. Został wyrzucony z Komunistycznej Partii Francji za wspieranie dążeń Algierii do niepodległości.

Zostawił po sobie kilka fundamentalnie ważnych publikacji książkowych i najważniejszą dla niego samego „Geopolitykę głodu. Masową zagładę". Ziegler rozpisał w niej cały systemowy mechanizm globalnego głodu, który jest nieuniknioną konsekwencją reguł „kanibalistycznego kapitalizmu" rządzącego światową gospodarką i polityką. „Każde dziecko, które umiera z głodu, jest ofiarą mordu", pisał.

W młodości zaprzyjaźnił się z Jeanem-Paulem Sartre'em i Simone de Beauvoir. Kiedy poznał Che Guevarę, ten miał zareagować na pomysł wyjazdu na Kubę słowami: „Tu się urodziłeś i tu mieszka mózg potwora. To tu musisz walczyć".

W tekstach i wystąpieniach Ziegler precyzyjnie rozrysowywał mechanizmy funkcjonowania „globalnego rynku żywnościowego", którego efektem był (i jest) głód dotykający prawie 1 mld mieszkańców globalnego Południa, a który pomnaża majątki „lichwiarzy zielonego złota". Ziegler nie miał złudzeń – w samej ONZ i w rządach wielu państw przeciwnicy prawa do żywności (jednego z podstawowych praw człowieka) mają się dobrze i to oni dyktują warunki, prawa i współtworzą otoczenie sprzyjające głodowej masakrze i zagładzie. Do ostatnich dni ten niezwykły Szwajcar nie składał broni i nawoływał do jednoczenia wysiłków, by sprzeciwiać się największemu złu współczesnego świata – bezwzględnemu kapitalizmowi.

W ostatnich latach życia napisał też niezwykłą książeczkę dedykowaną swoim wnukom i wnuczkom, zatytułowaną „Kapitalizm, tłumaczony mojej wnuczce (w nadziei, że zobaczy jego koniec)". Książeczka doczekała się, podobnie jak kilka jego kluczowych pozycji, z „Geopolityką głodu" na czele, polskiego wydania, w niewielkim nakładzie Instytutu Wydawniczego Książka i Prasa. A powinna być masowo dostępna jako odtrutka na powszechne zaczadzenie neoliberalną propagandą (w polskich szkołach nazywaną nauką o przedsiębiorczości).

Ziegler, świadek głodu, cierpień afrykańskich dzieci, świadek głodowej Zagłady w świecie, który jest zdolny wyżywić kilkanaście miliardów ludzi, ale z racji systemowych patologii kapitalizmu broni interesu niewielkiej grupy globalnych oligarchów kosztem życia milionów, nie miał żadnych złudzeń co do tego systemu. Pisał do wnuczki tak: „To, co jest konieczne, to, przed czym staje Twoje pokolenie, to zniszczenie kapitalizmu i uwolnienie się od niego. Aby mógł się narodzić nowy, bardziej ludzki świat, przywileje i wszechwładza kapitalistów muszą zniknąć na śmietniku dziejów, podobnie jak stało się kiedyś z przywilejami i wszechwładzą markizów". Walką jest nazywanie rzeczy po imieniu, bez fałszywych złudzeń i mydlenia oczu „naturalnymi prawami gospodarki wolnorynkowej".

Jak pisał Guy Debord, francuski pisarz i filozof polityki: „Po raz pierwszy w historii ci sami kapitaliści stali się panami wszystkiego, co się robi, oraz wszystkiego, co się o tym mówi". Opowieść dla wnuczki Zohry pełna jest odniesień do literackich i filozoficznych źródeł ludzkiego buntu przeciw niesprawiedliwości, krzywdzie, władzy i własności prywatnej, z której uczyniono niepodważalne, nieusuwalne bóstwo. Wplata Ziegler w swój wywód słowa Jeana-Jacques'a Rousseau: „Ten, kto pierwszy ogrodził kawałek ziemi, powiedział »to moje« i znalazł ludzi dość naiwnych, by mu uwierzyć, był prawdziwym założycielem społeczeństwa. Iluż to zbrodni, wojen, morderstw, ile nędzy i grozy byłby oszczędził rodzajowi ludzkiemu ten, kto by te kołki wyrwał lub rów zasypał i zawołał do otoczenia: »Uwaga! Nie słuchajcie tego oszusta: będziecie zgubieni, gdyż zapomnicie, że płody należą do wszystkich, a ziemia do nikogo!«".

Był Ziegler głosem Europy wołającym na puszczy w sprawie kryzysu migracyjnego na Morzu Śródziemnym, poświęcił mu przejmujące książki „Lesbos, hańba Europy" i „Imperium hańby", w których obnaża całą misterną kompozycję mechanizmów politycznych generujących klęski głodu, by maksymalizować zyski gigantów przemysłu żywnościowego. Jego osobistym dramatem była degradacja systemu działania, sprawczości i siły perswazji ONZ oraz samych zasad Powszechnej deklaracji praw człowieka, które są jedynym realnym gwarantem nieosuwania się w przepaść bezkresnej niesprawiedliwości. Kiedy jednak karta zysków kapitalizmu wypiera Kartę praw człowieka – ratunku można szukać tylko w oporze, buncie, pielęgnowaniu niezgody, we wsparciu tych, którzy walczą. Tak widział swoją rolę. Przywoływał Pabla Nerudę: „Mogą ściąć wszystkie kwiaty, ale i tak nie powstrzymają nadejścia wiosny".

A polskie media, które nie zająknęły się słowem o śmierci Zieglera, zachłystują się tym, że Nawrocki w kampanii się porzygał czy coś.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f46a69fb42

Droga prowadząca z miejscowości Karpowo do miejscowości Wieprz w woj. warmińsko-mazurskim.

Warmińskie aleje pod topór?

Ponad półtora tysiąca drzew na Warmii, a 6,6 tys. w całym regionie, przeznaczonych jest do wycinki

Marek Książek

Wojna ekologów z drogowcami trwa. Ci pierwsi protestują przeciwko wycinkom starych drzew, ci drudzy twierdzą, że trzeba je usuwać, jeśli są stare lub stoją w „skrajni jezdni" i zagrażają zmotoryzowanym podróżnym. Dotyczy to również, a może szczególnie, pięknych alei grabowych, kasztanowych i lipowych na historycznej Warmii. Przejeżdżający nimi turyści nie kryją swojego zachwytu, ale urzędnicy z instytucji zajmujących się drogami robią swoje. Oznaczają na czerwono drzewa planowane do wycięcia, co wzbudza protesty nie tylko ekologów. Robert Gawliński, wokalista zespołu Wilki, opowiadał, że jeżdżąc po Polsce lubił z kolegami zjeżdżać z głównych tras, by podziwiać widoki, w tym aleje warmińskich drzew. „Takie urokliwe miejsca powinny być zachowane, choć trzeba tam poważnie zredukować prędkość, bo powinny to być drogi widokowe. Natomiast jestem całkowitym przeciwnikiem drzew przy drogach szybkiego ruchu. Dla mnie liczy się bezpieczeństwo człowieka!", mówił w miesięczniku „Kurier Drogowy" wykazując, podobnie jak wiele innych osób, dwoistość spojrzenia na wspomniany problem.

Nasze dobro narodowe

Nikt nie ma wątpliwości co do bezpieczeństwa na drogach. Tyle tylko, że stare warmińskie, ale również mazurskie aleje same znalazły się w niebezpieczeństwie. Zarząd Dróg Wojewódzkich (ZDW) w Olsztynie oznaczył do wycinki 6,6 tys. drzew w całym regionie, a na Warmii 1,6 tys. – wzdłuż trasy od Reszla przez Jeziorany i Dobre Miasto do Miłakowa. Jako jedna z pierwszych zwróciła na to uwagę animatorka kultury Natalia Tejs.

– Pracuję w Olsztynie, ale mieszkam w Orzechowie koło Dobrego Miasta i chodzę z dziećmi na spacer albo jeżdżę z nimi na wycieczki po okolicy – opowiada. – Jakiś czas temu stwierdziłam, że całe rzędy pięknych przydrożnych grabów oraz lipowe aleje w gminie Kolno zostały oznaczone do wycięcia. Rozumiem, że spróchniałe drzewa trzeba usuwać, ale widziałam, że do wycinki wytypowano także zdrowe okazy. Jeszcze zimą napisałam petycję w tej sprawie i dostałam z ZDW dokumentację, z której wynika, że o zaliczeniu drzewa do wycięcia, przeważnie na zasadzie „kopiuj i wklej", decydowali urzędnicy.

Natalia Tejs napisała o tym na Facebooku, a pod jej postem pojawiły się liczne komentarze, głównie od osób wzburzonych planami drogowców. Temat stał się nośny, nabrał społecznego wymiaru, wokół inicjatorki protestu zebrało się kilka osób – wspólnie podjęli walkę o uratowanie zagrożonego drzewostanu.

– Jak wynika ze strategii województwa, aleje starych drzew są naszym dobrem, bogactwem przyrodniczym regionu, a więc plany takiej kompleksowej wycinki są

eprasa.pl f46a69fb42

wobec tego sprzeczne, powiedziałabym nawet, że są pewnym naruszeniem prawa. Jeśli drzewo zgniło lub spróchniało, trzeba je usunąć, ale wszystkie jednocześnie? Do szybkiej jazdy są autostrady i drogi szybkiego ruchu, a nie aleje. Gdybyśmy działali zgodnie z planem drogowców, zostaniemy regionem z plastiku, nie z natury – uważa Monika Falej, lewicowa działaczka organizacji pozarządowych, była posłanka na Sejm. Dodaje, że ostatnio nawet Ministerstwo Obrony Narodowej zwróciło uwagę, iż takie aleje są potrzebne, zwłaszcza w obecnych, niepewnych czasach, do tego w strefie przygranicznej z Rosją, bo stanowią naturalną osłonę przed dronami. Pytany o to wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk wyraził się jasno: nie chcę, aby na Warmii i Mazurach jakiekolwiek aleje były wycinane.

Przepychanki na sejmiku

Ekolodzy pod wodzą Natalii Tejst stworzyli na FB stronę „Skraj drogi – STOP wycince drzew na Warmii", gdzie zbierają podpisy pod petycją skierowaną do drogowców. Apelują o wstrzymanie działań do czasu pełnego wyjaśnienia sprawy, o przeprowadzenie niezależnych, specjalistycznych ekspertyz dendrologicznych, indywidualną ocenę stanu każdego drzewa, rozważenie alternatywnych działań poprawiających bezpieczeństwo ruchu drogowego bez konieczności wycinki oraz uwzględnienie wartości przyrodniczych, krajobrazowych i kulturowych alei. Pod petycją podpisało się już 20 tys. osób, a przedstawiciele grupy inicjatywnej, w tym także Aleksandra Kotek i Michał Biedziuk – choć z pewnymi oporami ze strony przewodniczącego – przedstawili swój punkt widzenia na niedawnej sesji sejmiku województwa warmińsko-mazurskiego. Odpowiadał im Waldemar Królikowski, dyrektor Zarządu Dróg Wojewódzkich w Olsztynie, który bronił swoich planów, argumentując, że jego urzędnicy są instruowani w zakresie oceny stanu drzew na szkoleniach odbywających się co pięć lat. A na pytania regionalnego portalu olsztyn.com.pl dyrektor odpowiadał tak: „Zgodnie z art. 20 pkt 16 ustawy o drogach publicznych jednym z zadań zarządcy drogi jest »utrzymanie zieleni przydrożnej, w tym sadzenie i usuwanie drzewa oraz krzewów«. Nadrzędnym kryterium decyzyjnym jest w tym przypadku zapewnienie maksymalnego bezpieczeństwa ruchu drogowego. Pamiętajmy, że podstawową funkcją drogi jest funkcja komunikacyjna i wszelkie działania zarządcy drogi koncentrują się na zapewnieniu bezpiecznego transportu".

Wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk wyraził się jasno: nie chcę, aby na Warmii i Mazurach jakiekolwiek aleje były wycinane.

Ale czy trzeba w tym roku usunąć aż 1575 drzew przy drodze wojewódzkiej nr 593? Dyrektor odpowiada: „Wszystkie wskazane do usunięcia drzewa charakteryzują się złym stanem fitosanitarnym, bądź są zlokalizowane w miejscach kluczowych dla geometrii drogi – na łukach, w sąsiedztwie przepustów oraz innych obiektów inżynierskich. Lokalizacja ta, w połączeniu z płytkim systemem korzeniowym tych drzew, generuje realne ryzyko ich powalenia na jezdnię, co stanowi bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia i życia uczestników ruchu".

Wystarczy jechać wolniej

– Musimy się bronić przed dyktatem ludzi, dla których interes bieżący jest ważniejszy od ochrony naszego bogactwa przyrodniczego, bo to jest rodzaj naszego dziedzictwa – podkreśla prof. Jakub Borkowski, dyrektor Katedry Leśnictwa i Ekologii Lasu Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

– Nie trzeba wycinać zdrowych drzew, tłumacząc to eliminowaniem zagrożenia dla kierowców. Wystarczy jechać wolniej! Poza tym wszystkie drzewa, także te przy trasach drogowych, mają znaczenie z punktu widzenia bioróżnorodności, bo są ważne dla ptaków, owadów i niektórych gatunków grzybów. Powinniśmy to cenić i tak zarządzać drogami, aby zachować jakiś rozsądny balans – dodaje naukowiec.

Oczywiście po usunięciu starych drzew można sadzić młode, w pewnej odległości od skrajni szosy. Ale zanim dadzą cień, minie kilkadziesiąt lat. Tymczasem, zgodnie z polskim prawem, muszą w sprawie wycinki wypowiedzieć się samorządy gmin, przez które przebiegają drogi zaplanowane do radykalnego „oczyszczenia" z drzew. Taką gminą przy drodze nr 593 jest Dobre Miasto, którego burmistrz Beata Harań podaje, że dwa oddziały ZDW (elbląski i kętrzyński) chcą tam wyciąć 648 drzew. Ale najpierw muszą uzupełnić wnioski o dokonanie tej czynności. Jaka będzie decyzja samorządu, gdy te wnioski, pod względem formalnym, zostaną uzupełnione?

– Każde drzewo będzie oceniane osobno i zgodzimy się na wycięcie tylko tych, które trzeba wyciąć ze względów fitosanitarnych. Nie można jednak chorych drzew usuwać za jednym zamachem z drzewami zdrowymi – mówi Beata Harań. Uważa, że podobnie postąpią włodarze pozostałych gmin przy trasie. Nie jest jednak tego pewna Natalia Tejs, bo taka ocena stanu zdrowia każdego drzewa po prostu kosztuje i samorządowcy mogą pójść po linii najmniejszego oporu, wydając zgodę na wycinkę.

Ważne słowo w dyskusji należy jeszcze do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, lecz ekolodzy na wszelki wypadek przygotowują inne argumenty, np. wystąpili do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków o objęcie ochroną historycznych alei, przy których rosną drzewa liczące od 50 do 100 lat, a wiele z nich pamięta przedwojenne Prusy Wschodnie. Dziś to nasze polskie dobro narodowe. Wygląda na to, że protest przeciwników wycinki obejmuje coraz szersze kręgi i decydenci muszą się z nim liczyć. ■

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f46a69fb42

Narodowa przyszłość Włoch

Do niedawna remigracja była hasłem skrajnej prawicy. Dziś wkracza do głównego nurtu polityki europejskiej

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

W dniach 13-14 czerwca br. w Rzymie odbył się kongres założycielski partii Futuro Nazionale (Przyszłość Narodowa), stworzonej przez byłego generała i eurodeputowanego Roberta Vannacciego. Obrady zorganizowano w Auditorium della Conciliazione, nieopodal Watykanu. Ugrupowanie liczy już, według własnych danych, ponad 100 tys. członków.

Podczas kongresu Vannacci ostro zaatakował włoski establishment. Zwolenników swojego ruchu nazwał „szumowinami i wyrzutkami, dziećmi niczyimi", podkreślając, że właśnie z takich ludzi chce budować nową elitę polityczną.

Centralny punkt programu Futuro Nazionale to kwestia imigracji: całkowite jej zatrzymanie oraz tzw. remigracja, rozumiana jako deportacja nielegalnych migrantów i przestępców, a także odbieranie obywatelstwa i wydalanie osób uznanych za niezasymilowane kulturowo. Partia odwołuje się do tradycji rzymskiej i chrześcijańskiej, głosi hasło „Włochy dla Włochów", sprzeciwia się ideologii gender i kulturze woke, opowiada się za ochroną tradycyjnej rodziny oraz rewizją części polityk Unii Europejskiej, nie kwestionując jednak członkostwa Włoch w strefie euro. Vannacci zakwestionował natomiast sens wprowadzenia do włoskiego prawa odrębnego przestępstwa kobietobójstwa (femminicidio).

W wywiadzie telewizyjnym dla Lilli Gruber powiedział: „Moi towarzysze to odpady z innych partii. Chcę »Parszywej dwunastki«", robiąc z tytułu kultowego filmu symbol swojej formacji – ugrupowania ludzi gotowych do bezkompromisowej walki politycznej.

Powstanie Futuro Nazionale wywołało napięcia w obozie rządzącym. Do partii przeszli politycy Ligi i Forza Italia, a jej doradcą został były burmistrz Rzymu Gianni Alemanno. Według sondażu Ipsos z 28 czerwca 2026 r. ugrupowanie uzyskało 6% poparcia, wyprzedzając Ligę (5,6%).

Nieprzypadkowo równolegle z kongresem Futuro Nazionale 13 czerwca odbył się w stolicy ogólnokrajowy marsz pod hasłem „Remigracja". Jego organizatorem był Komitet Remigracja i Odzyskanie, kierowany przez Lucę Marsellę, związanego z neofaszystowskim ruchem CasaPound. Wielu komentatorów uznało to za symboliczny moment wejścia idei remigracji do głównego nurtu włoskiej debaty politycznej. Uczestnicy domagali się przyjęcia obywatelskiego projektu ustawy przewidującego masowe deportacje nielegalnych migrantów, dalsze ograniczenie migracji oraz system zachęt finansowych dla cudzoziemców, którzy dobrowolnie opuszczą Włochy. Według organizatorów w marszu uczestniczyło ponad 10 tys. osób, policja szacowała frekwencję na ok. 4 tys. Demonstracji towarzyszyły okrzyki „Duce, Duce!", saluty rzymskie oraz symbolika kojarzona z włoskim faszyzmem.

W tym samym czasie ulicami Rzymu przeszła kontrmanifestacja antyfaszystowska. Kilka tysięcy działaczy organizacji lewicowych, związków zawodowych i ruchów studenckich protestowało przeciwko rasizmowi i deportacjom, skandując m.in. hasło „Fuck Remigration!".

13 czerwca 2026 r. ulicami Rzymu przeszedł ogólnokrajowy marsz pod hasłem „Remigracja". Demonstracji towarzyszyły okrzyki „Duce, Duce!".

Samobójstwo ofiarne

Dlaczego Włochy i Europa znalazły się w tym punkcie? Aby to zrozumieć, trzeba się cofnąć o kilkanaście lat i przypomnieć wydarzenie, które dla współczesnej europejskiej skrajnej prawicy stało się momentem przełomowym.

21 maja 2013 r. Dominique Venner wszedł do paryskiej Katedry Notre Dame, położył na ołtarzu list pożegnalny i w obecności zwiedzających strzelił sobie w głowę. Katedrę natychmiast ewakuowano. W pozostawionym liście Venner napisał: „Odbieram sobie życie, aby obudzić uśpione sumienia. Buntuję się przeciwko nieuchronności losu. Występuję przeciwko truciznom zatruwającym duszę oraz przeciwko wszechogarniającemu indywidualizmowi, który niszczy fundamenty naszej tożsamości, przede wszystkim rodzinę – najgłębszą podstawę naszej wielowiekowej cywilizacji. Broniąc prawa wszystkich narodów do zachowania własnej tożsamości we własnych ojczyznach, jednocześnie buntuję się przeciwko zbrodni, której celem jest zastąpienie naszych narodów".

Dominique Venner był historykiem, eseistą i niegdysiejszym działaczem francuskiej skrajnej prawicy. W wieku 18 lat zgłosił się na ochotnika do armii francuskiej i jako spadochroniarz walczył podczas wojny algierskiej. Był związany z Organizacją Tajnej Armii (OAS), założył ruch Europe-Action, współtworzył środowisko GRECE oraz Instytut

eprasa.pl f46a69fb42

Zgromadzenie założycielskie skrajnie prawicowej partii Futuro Nazionale (Narodowa Przyszłość). Głosi ona hasło „Włochy dla Włochów", sprzeciwia się ideologii gender i kulturze woke. Rzym, 14 czerwca 2026 r.

Studiów Zachodnich (IEO). Z czasem poświęcił się pracy naukowej.

W ostatnim wpisie na blogu Venner wzywał do „spektakularnych i symbolicznych gestów" przeciwko masowej imigracji oraz temu, co uważał za upadek europejskiej cywilizacji wskutek „wymiany etnicznej" i „zastąpienia ludności". Od lat krytykował islamizację Francji i sprzeciwiał się legalizacji małżeństw osób tej samej płci.

Dla europejskiej skrajnej prawicy jego śmierć stała się symbolem, „samobójstwem ofiarnym" – świadomym poświęceniem własnego życia w jednej z najważniejszych świątyń chrześcijaństwa – mającego ostrzec Europę przed rzekomą zagładą jej cywilizacji i wezwać do radykalnego działania. Gest Vennera szybko urósł do rangi mitu założycielskiego współczesnego ruchu identytarystycznego.

Teoria Wielkiej Wymiany

Nie sposób zrozumieć współczesnej idei remigracji bez poznania teorii, na której została zbudowana. To właśnie Wielka Wymiana (Le Grand Remplacement), teza sformułowana w 2011 r. przez francuskiego pisarza Renauda Camusa, stała się ideologicznym fundamentem międzynarodowego ruchu identytarystycznego. W Polsce funkcjonuje ona również pod nazwami Teoria Wielkiej Podmiany lub Wielkie Przemieszczenie.

Według zwolenników tej koncepcji Europa nie doświadcza naturalnych procesów migracyjnych, lecz realizuje świadomie zaplanowany projekt, którego celem jest zastąpienie rdzennych Europejczyków imigrantami, przede wszystkim z Afryki i Bliskiego Wschodu. Migracja nie jest więc skutkiem wojen, nierówności gospodarczych, zmian klimatu czy globalizacji, lecz elementem spisku nieokreślonych „globalnych elit". Camus przekonuje, że kontynent znajduje się w fazie demograficznej i kulturowej transformacji prowadzącej do zaniku europejskiej tożsamości. Remigracja ma być odpowiedzią na ten proces – narzędziem odwrócenia zmian poprzez zachęcanie lub zmuszanie migrantów oraz ich potomków do opuszczenia Europy.

Choć Camus odrzuca zarzuty o rasizm i antysemityzm, jego koncepcja wpisuje się w długą tradycję teorii spiskowych opartych na przekonaniu o istnieniu ukrytych sił sterujących historią. Badacze wskazują podobieństwa do „Protokołów mędrców Syjonu", tzw. planu Kalergiego czy koncepcji „Eurabii" Bat Ye'or. W wielu odmianach teorii Wielkiej Wymiany pojawiają się także motywy antysemickie oraz narracja o „ludobójstwie białych", popularna zwłaszcza w USA.

Środowisko naukowe jednoznacznie odrzuca teorię Wielkiej Wymiany jako pozbawioną podstaw empirycznych. Nie istnieją dowody potwierdzające istnienie zorganizowanego planu zastąpienia Europejczyków innymi grupami etnicznymi. Mimo to koncepcja zyskała popularność daleko wykraczającą poza środowiska skrajnej prawicy. Z internetowych forów przeniknęła do programów politycznych i debaty publicznej w wielu krajach Europy. Stała się też ideologicznym uzasadnieniem zamachów terrorystycznych. Jej ślady odnaleziono w manifestach sprawców masakr w Christchurch i El Paso w 2019 r. oraz zamachu w Hanau rok później.

Echo przeszłości

Jeszcze kilkanaście lat temu słowo reemigracja, remigracja funkcjonowało niemal wyłącznie w literaturze socjologicznej. Oznaczało dobrowolny powrót migrantów do kraju pochodzenia (return migration) i nie budziło większych emocji. Z czasem zaczęło sporadycznie pojawiać się w środowiskach nacjonalistycznych jako eufemistyczne określenie deportacji i przymusowych wydaleń.

Dopiero francuski ruch Génération Identitaire (Pokolenie Tożsamości) – skrajnie prawicowa organizacja młodzieżowa, założona we Francji w 2012 r. i zdelegalizowana prawie dziesięć lat później za podżeganie do nienawiści, przemocy i dyskryminacji

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f46a69fb42

rasowej – przejął to pojęcie z języka nauk społecznych i nadał mu nowe znaczenie. Zastępując nim słowa deportacja czy wydalenie, uczyniono je łatwiejszym do zaakceptowania w debacie publicznej.

Ideologiczne podstawy stworzył Renaud Camus, autor Le Grand Remplacement, jednak kluczową postacią stał się Martin Sellner – austriacki lider Ruchu Tożsamościowego (Identitäre Bewegung Österreich), uznawany za jednego z głównych strategów europejskiej skrajnej prawicy. Jego książka „Remigration. Ein Vorschlag" (Remigracja. Propozycja, 2024) uchodzi za manifest współczesnego ruchu remigracyjnego. To ona sprawiła, że koncepcja obecna dotąd głównie w środowiskach identytarystycznych zaczęła funkcjonować jako realny projekt polityczny. Książka rozwija teorię Wielkiej Wymiany Camusa i przekłada ją na konkretne propozycje polityczne. Sellner odrzuca ideę integracji migrantów, postulując „odwrócenie procesów migracyjnych". Remigracją mieliby zostać objęci nie tylko nielegalni migranci i osoby ubiegające się o azyl, lecz także legalnie przebywający cudzoziemcy oraz naturalizowani obywatele uznani za „niezasymilowanych". Państwa zdaniem Sellnera powinny stworzyć takie warunki prawne, ekonomiczne i społeczne, by osoby te zdecydowały się na „dobrowolny" wyjazd z Europy. Najbardziej kontrowersyjnym elementem projektu jest utworzenie specjalnej strefy w Afryce Północnej z „miastami modelowymi" dla przesiedlanych migrantów oraz przeciwników polityki remigracyjnej.

Koncepcje masowych przesiedleń ludności według kryteriów etnicznych nie są jednak nowe. Zanim III Rzesza przystąpiła do Zagłady, rozwijała projekty izolacji i deportacji Żydów – od tworzenia gett po plan Nisko i plan Madagaskar – zakładające ich przymusowe przesiedlenie na wyznaczone obszary. Choć współczesna remigracja powstaje w odmiennym kontekście historycznym i politycznym, doświadczenia XX w. sprawiają, że wszelkie projekty masowych przesiedleń według kryteriów pochodzenia nieuchronnie przywołują najciemniejsze karty historii Europy.

Dziś termin remigracja ostatecznie utracił pierwotne, neutralne znaczenie. Z pojęcia opisującego dobrowolny powrót migrantów stał się politycznym hasłem oznaczającym program masowych deportacji i odwrócenia procesów migracyjnych. Coraz częściej pojawia się w programach ugrupowań skrajnej prawicy, przestając być jedynie radykalnym sloganem.

Sieć remigracji

Głośno wokół Martina Sellnera zrobiło się po publikacji śledztwa niemieckiego portalu Correctiv, który ujawnił kulisy tajnego spotkania zorganizowanego w listopadzie 2023 r. w hotelu pod Poczdamem. Sellner był jego głównym prelegentem i przedstawiał uczestnikom założenia swojej koncepcji remigracji. W spotkaniu uczestniczyli politycy Alternatywy dla Niemiec (AfD), przedsiębiorcy oraz przedstawiciele środowisk skrajnej prawicy. Według ujawnionych materiałów dyskutowano o możliwościach wdrażania programu masowych deportacji. Publikacja wywołała największy od lat kryzys polityczny wokół AfD, doprowadziła do wielotysięcznych demonstracji w całych Niemczech oraz do czasowego zakazania Sellnerowi wjazdu do tego kraju, uchylonego później przez sąd. Do dziś obowiązuje go natomiast zakaz wjazdu do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, związany z jego kontaktami z Brentonem Tarrantem, sprawcą zamachu w Christchurch.

„Powtarzajcie to słowo tak długo, aż remigracja stanie się pojęciem normalnym i możliwym do realizacji", apelował Sellner podczas spotkania w Poczdamie.

Mimo problemów z dystrybucją jego książka szybko doczekała się zagranicznych wydań. Wersja angielska, opatrzona komentarzem amerykańskiego konserwatywnego filozofa Paula Gottfrieda, trafiła na rynek amerykański i brytyjski, łącząc europejską debatę o remigracji z dyskusją o kryzysie migracyjnym na granicy USA z Meksykiem. We Włoszech książkę wydało skrajnie prawicowe wydawnictwo Passaggio al Bosco, a już w maju 2025 r. setki działaczy europejskiej skrajnej prawicy spotkały się podczas Szczytu Remigracyjnego (Remigration Summit) w Gallarate pod Mediolanem. Podobne konferencje zaczęto organizować również w szwajcarskim kantonie Ticino.

Włoski przyczółek

To właśnie Martin Sellner odegrał kluczową rolę w umiędzynarodowieniu idei remigracji. Wokół niego powstała sieć organizacji, wydawnictw, konferencji i think tanków działających w wielu krajach Europy. Francja dostarczyła ideologii, Austria – strategii, Niemcy – zaplecza politycznego, a Włochy stały się jednym z głównych laboratoriów praktycznej realizacji tej koncepcji.

We Włoszech remigrację promują środowiska związane z CasaPound Italia i Siecią Patriotów (Rete dei Patrioti), skupione w Komitecie Remigracja i Odzyskanie (Comitato Remigrazione e Riconquista). Organizacja prowadzi kampanie społeczne i zwołuje marsze, przygotowała też obywatelski projekt ustawy o remigracji, pod którym zebrano ponad 150 tys. podpisów.

Projekt przewiduje masowe wydalanie nielegalnych migrantów, utworzenie Instytutu Remigracji i programu „dobrowolnych powrotów", zaostrzenie polityki migracyjnej oraz ograniczenie działalności organizacji pozarządowych prowadzących akcje ratunkowe na Morzu Śródziemnym. Zakłada również preferencje dla rodzin włoskich w dostępie do mieszkań komunalnych i żłobków, a także działania na rzecz zwiększenia dzietności i powrotu emigrantów włoskiego pochodzenia.

Autorzy inicjatywy zarzucają rządowi Giorgii Meloni, że mimo twardej retoryki nie podjął realnych działań na rzecz remigracji. Ich celem jest przeniesienie tej koncepcji z marginesu debaty do włoskiego parlamentu.

Remigracja przestała więc być hasłem kilku organizacji identytarystycznych. Stała się elementem ponadnarodowego projektu politycznego, którego głównym architektem pozostaje Martin Sellner.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl f46a69fb42

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Fale upałów i głupoty

Aby zacząć pogodnie, bo grozi nam wielka polityczna niepogoda i trzeba się pocieszać uśmiechem… Od kilku lat prowadzę w miesięczniku „Zwierciadło”, na ostatniej stronie pisma, kolumnę „Okno z wierszem” – tak ją nazwałem. Wstawiam tam wiersz poety, a wcześniej piszę o nim krótki eseik. To niezwykłe, że pismo o tak dużym zasięgu zaproponowało mi poetycki felieton, poezja jest wszędzie w odwrocie. A ona jest u źródeł naszej wrażliwości. Czasami tylko mam zawracanie głowy, bo istnieje coś takiego jak prawa autorskie, wygasają po 70 latach od śmierci autora. Tuwim szczęśliwie mi się załapał, a Staff jeszcze nie, bo zmarł w 1957 r. W przypadku zmarłych nie tak dawno, jak wiatru w polu szukaj spadkobierców poety, by dali zgodę na druk. Zwykle jakoś sobie radzę, czasami to przygoda. Ba, znalazłem w małej greckiej wsi wnuczkę Władysława Broniewskiego. Teraz wstawiam w swoje okno wiersz Siergieja Jesienina, w znakomitym przekładzie Broniewskiego, Ewa daje mi zgodę.

•

Jest w Warszawie niezwykła biblioteka w Domu Literatury, w Kamienicy Johna na Starym Mieście. Tam zapach lat 50. i niezmieniony wystrój wnętrz. Na wysokości okien stoi król Zygmunt na kolumnie, w tle wieża Zamku Królewskiego. Zawsze pusto, z biblioteki korzystają tylko pisarze. Dzwonię, by sprawdzić, czy jest biografia Jesienina, skoro wybrałem jego wiersz. Jest! Jak ja lubię tę bibliotekę. Bibliotekarka idzie tylko sprawdzić, czy nie daj Boże ktoś nie pożyczył, chociaż to raczej niemożliwe. Wraca speszona. Ktoś pożyczył tę książkę. Pytam kto. Mówi: „Tomasz Jastrun”. Aż zakołysałem się ze zdziwienia. Patrzę na swoje łóżko, gdzie obok poduszki książki, które czytam. Jest! Byłem w bibliotece nie tak dawno i pożyczałem kilka książek, a że tę też – zapomniałem. Znajoma psycholog pyta mnie: „Jak się z tym czujesz?”. Psycholodzy lubią takie pytania. Odpowiadam, że mam się świetnie, bo alzheimera mam od dziecka. I to prawda.

Mam w swojej roztargnionej biografii większe akty niepamięci. Kiedyś, by się pocieszyć, pytałem znanych ludzi o ich największe akty roztargnienia. I spisywałem je. Każdy ma ich bez liku, tworzą niezwykle zabawne anegdoty. Choćby Władysław Bartoszewski – opowiedział mi, jak wyszedł z domu bez spodni. Może kiedyś podzielę się tymi relacjami.

•

Daleko jestem od spiskowego myślenia, prowadzi ono nawet do mordów, pogromów i do zniewolenie umysłu. Co ma wszystko wyjaśnić, wszystko zaciemnia, ale przecież nie ulega wątpliwości, że konflikt Polski z Ukrainą, sianie niechęci do ponad miliona Ukraińców, którzy mieszkają i pracują w Polsce, to żywotny interes reżimu Putina. Dlaczego nie mają tu działać jego agenci, w czym pomaga im sieć internetu? Przestaje być ważne, czy politycy prawicy są agentami rosyjskimi, czy tylko zachowują się jak agenci, rezultat jest taki sam. Prawicowe szczujnie i prezydent sieją nienawiść do Ukraińców. Nagły ogromny wzrost poparcia w sondażach dla Nawrockiego ukazuje, jaki jest narodowy bigos w polskich głowach.

•

Jestem w naszym sklepiku warzywnym. Są trzy Ukrainki, głośno rozmawiają. Gdy wychodzą, właścicielka mówi do klientki: „Pani patrzy, jak się zachowują, jak głośno gadają, jakby były u siebie”. Na co klientka: „Jak były w mięsnym, też tak głośno gadały, żadnej kultury”. Włącza się syn właścicielki, który współgospodarzy w sklepie: „My czekamy latami na wizytę u lekarza czy na operację, a oni mają wszystko od ręki”.

Jeśli za rok naród wybierze prawicę, zamknie się kolejne polskie błędne koło.

W sieci aż roi się od aktów nienawiści wobec Ukraińców, widzę, jak moje dzieci przejmują, na szczęście tylko częściowo, to myślenie. Wojna na wschodzie stała się dla Polaków fikcją, jak film wojenny, już dosyć nudny.

•

Zniszczyliśmy piękny mit Solidarności, ewenement w skali światowej, w brzuchu złowrogiego imperium powstała oaza demokracji, teraz zrobiliśmy z pamięci o tym karykaturę. Obecnie niszczymy piękny gest, jaki wykonaliśmy wobec Ukraińców na początku wojny. A był on ważny dla naszej duchowości. Zaczyna dominować myślenie: myśmy się dla nich poświęcili, a oni nam tak odpłacają. Wybór Nawrockiego na prezydenta to kolejny akt autodestrukcji w naszej historii. Jeśli za rok naród wybierze prawicę, zamknie się kolejne polskie błędne koło.

•

Fala upałów niemal rozpuściła centralną Europę, nam też się dostało. Ale spiskowi i tak nie uwierzą, że winne są zmiany klimatyczne, a my jesteśmy winni, że one są. Wiedza na temat zmian klimatycznych, tysiące uczonych, którzy mówią jednym głosem, to spisek liberałów. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f46a69fb42

Była zbrodnia, jest kara

Pochodzenie Mariusa Borga Høiby'ego, syna norweskiej księżnej koronnej Mette-Marit, nie odegrało żadnej roli w wymierzeniu mu sprawiedliwości

Mateusz Mazzini

Jeśli cokolwiek w tej historii może, a nawet powinno szokować, to nie sam wyrok skazujący, tylko jego stosunkowa łagodność. Nie znając okoliczności sprawy, można śmiało stwierdzić, że cztery lata pozbawienia wolności za dwa przypadki gwałtu to kara bardzo niska. I nie ma znaczenia, że skazanym w tej historii jest Marius Borg Høiby, 29-letni syn norweskiej księżnej Mette-Marit i pasierb Haakona, tamtejszego następcy tronu.

Marius regularnie dostarczał pożywki plotkarskim mediom. A to złapano go na posiadaniu narkotyków, a to wpadł, zażywając kokainę na festiwalu muzycznym.

Kryminalne historie ciągną się za nim od niemal dekady. Warto uściślić, że z technicznego punktu widzenia nie dotyczą norweskiej rodziny królewskiej – w literalnym tego słowa znaczeniu. Marius nie jest synem Haakona, para ma dwójkę własnych dzieci – księżniczkę Ingrid Alexandrę i księcia Sverre Magnusa. Marius nie ma żadnych oficjalnych tytułów szlacheckich, nie znajdował się w linii sukcesji do norweskiego tronu i z praktycznego punktu widzenia niewiele go łączy z rodziną królewską. Co oczywiście nie zmienia faktu, że z racji powiązań swojej matki z norweskimi elitami nie mógł próbować wylobbować sobie wolności od popełnionych przestępstw.

Marius nigdy nie miał łatwego życia i to nie tylko z powodu rozpadu związku jego biologicznych rodziców i szybkiego wejścia na świecznik. Sam ślub księcia Haakona z samotną matką wywołał ćwierć wieku temu spore kontrowersje, bo był pierwszym tego typu wydarzeniem w najnowszej historii norweskiej rodziny królewskiej.

Samospełniająca się przepowiednia

Norweskie media pisały25 lat temu, że sam fakt istnienia w rodzinie następcy tronu dziecka z nieprawego łoża jest skandalem. Tabloidy szybko rzuciły się na historię biologicznego ojca Mariusa, który miał kryminalną przeszłość, choć już konstytucyjne zapisy blokowały synowi Mette-Marit drogę do tronu. Im Marius był starszy, tym bardziej zaczynał wyrastać na problem – w królewskiej układance zaczynało brakować dla niego miejsca, a dokładniej – roli. Nie jest arystokratą, nie ma tytułu, odpowiedzialności – mówiąc obcesowo – nie wiadomo, po co w ogóle w tej rodzinie był. Mógł oczywiście zrobić inną rzecz, choć w europejskich monarchiach jest to wciąż rzadkością – i wybić się po prostu na niezależność. Pójść na studia, do pracy, uciec od nadanej mu przez media etykietki niegrzecznego renegata, bękarta, który nawet nie musi schodzić na złą drogę, bo jest na niej od urodzenia. Mógł, ale tego nie zrobił.

Regularnie dostarczał pożywki plotkarskim mediom. A to złapano go na posiadaniu narkotyków, a to wpadł, zażywając kokainę na festiwalu muzycznym. Norwegowie oburzali się, kiedy zmuszeni do publicznych wyzwań mama i ojczym przyznali się, że płacą za Mariusa rachunki, choć ten był dorosłym człowiekiem. Dostawał „kieszonkowe", coś na kształt książęcej renty, w wysokości 20 tys. koron (ok. 2 tys. dol.) miesięcznie. Jak na Norwegię, jedno z najdroższych jeśli chodzi o koszty życia państw na świecie, to właściwie żadne pieniądze, ale i tak budziły ogromne kontrowersje. Zażywanie narkotyków wpędziło go zresztą w samospełniającą się przepowiednię – jego biologiczny ojciec był dilerem kokainy. Jednym z pierwszych w historii Norwegii, którzy dostali za to wyrok skazujący. Łatwo więc sobie wyobrazić, jaką opowieść zbudowali dziennikarze, kiedy pierwsze problemy Mariusa z prawem wyszły na jaw. Już wtedy, 10 lat temu, nie było dla niego ucieczki od własnego wyroku - nawet jeśli początkowo był to tylko wyrok skazujący w sądzie opinii publicznej.

O gwałt oskarżyły go cztery kobiety, choć upublicznione zostały dane tylko jednej z nich, Nory Haukland. Ostatecznie pełna lista zarzutów wobec Mariusa liczyła 40 pozycji, został uznany winnym w 34 przypadkach, w tym dwóch dotyczących gwałtu. Materiał dowodowy zgromadzony przez norweską prokuraturę musiał mieć mocne podstawy, ponieważ proces, odtajniony z racji na osobę oskarżonego, trwał łącznie tylko sześć tygodni. Każdy, kto kiedykolwiek obserwował jakąkolwiek sprawę o gwałt, doskonale wie, że to tempo ekspresowe, gdyż o ile w ogóle dochodzi do procesu w takich sprawach, to potrafią one ciągnąć się latami, właśnie z powodu

eprasa.pl f46a69fb42

problemów z zebraniem dowodów winy. Dodatkowo Marius został zobowiązany przez sąd do zapłacenia zadośćuczynienia ofiarom na łączną kwotę 640 tys. koron (ok. 63 tys. dolarów).

Co ciekawe, prowadzący sprawę prokurator Sturla Henriksbø nie był wcale zadowolony z rezultatu procesu. Wręcz przeciwnie, żalił się dziennikarzom, że aż „jedna trzecia spraw o gwałt w Norwegii kończy się uniewinnieniem", a jest to „najpoważniejsze naruszenie nietykalności cielesnej kobiety", kary powinny więc być wysokie. Zwłaszcza że, jak wynikało ze zgromadzonego przez niego materiału, wszystkie cztery kobiety były w trakcie stosunku z Mariusem albo poważnie odurzone, albo w stanie głębokiego snu.

Oskarżony na żadnym etapie procesu nie przyznał się do najważniejszych z zarzucanych mu czynów, a jego prawnicy już wnieśli apelację. I tu sprawa robi się ciekawsza, ponieważ prokurator Henriksbø zadeklarował, że przyjmuje wyzwanie i zagra o pełną pulę. „Skoro obrona apeluje, to możemy do tych działań się podłączyć i zażądać z naszej strony znacznie wyższej kary" – powiedział dziennikarzom, wyraźnie zadowolony z szansy, która została przed nim postawiona. W tej sprawie będzie więc jeszcze bardzo dużo się działo, nawet jeśli w niewinność 29-letniego pasierba norweskiego następcy tronu nikt już chyba nie uwierzy.

Księżna Mette-Marit i Marius Borg Høiby podczas uroczystości 18. urodzin księżniczki Ingrid Alexandry. Oslo. 16 czerwca 2022 r.

Mette-Marit, Lolita i Epstein

Dla rodziny królewskiej, a zwłaszcza dla Mette-Marit, matki Mariusa, najlepiej byłoby jednak, żeby ten proces jak najszybciej się zakończył, ponieważ ma na głowie własne skandale. A dokładniej jeden, ale za to ogromnych rozmiarów. Ta niewinnie wyglądająca blondynka o uroczym uśmiechu i błękitnych oczach jest bowiem wymieniona ponad tysiąc razy w odtajnionej bazie danych amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości dotyczącej Jeffreya Epsteina, pedofila, skandalisty i mitomana, który wokół siebie tworzył nową globalną elitę. Mette-Marit korespondowała i spotykała się z Epsteinem co najmniej przez trzy lata, od 2011 do 2014 r., choć początkowo twierdziła, że kontakt z nim zerwała znacznie wcześniej. Odtajnienie mejli ze skrzynki Epsteina spowodowało wybuch powszechnego oburzenia – Mette-Marit pokazała nie tylko bardziej kontrowersyjną twarz, ale przede wszystkim okazała pogardę dla całej rodziny królewskiej. A to już znacznie poważniejsze przestępstwo.

„Umiera z nudów" na uroczystościach formalnych, „nie wie, co ma ze sobą zrobić", kiedy jest w pałacu. Uwielbia pikantne, przepełnione seksualnymi skojarzeniami rozmowy, dlatego wielbi „Lolitę" Nabokova – książkę, którą w szczegółach postanowiła przedyskutować z Epsteinem. Jakby tego było mało, z amerykańskim milionerem skandalistą rozmawiała o losach syna, i to w tonie niespecjalnie stawiającym całą trójkę w dobrym świetle. Księżniczka pytała Epsteina o kuriozalny pomysł sprezentowania Mariusowi na jego 15. urodziny tapety przedstawiającej dwie nagie kobiety z deską surfingową.

Znajomość księżniczki z Epsteinem wyszła na jaw już w 2019 r., kiedy mężczyzna trafił do nowojorskiego więzienia. Teraz, kiedy publicznie są dostępne szczegóły ich korespondencji, skandal eksplodował, a Mette-Marit musiała przepraszać za wszystko, co łączyło ją z przestępcą. Powiedziała, że „żałuje, iż kiedykolwiek go poznała", ale mleko już się rozlało, Norwegowie zobaczyli w niej karierowiczkę, uosobienie najgorszych stereotypów i teorii. Stała się w ich oczach kobietą, która wzięła ślub z księciem Haakonem wyłącznie dla korzyści materialnych, nie mając przy tym żadnych cech, które predestynowałyby ją do reprezentowania monarchii. Ucierpiała na tym królewska rodzina, bo choć Norwegowie nadal ją popierają, to nie są w tym już tak jednomyślni. Jak informuje Reuters, jeszcze w 2022 r. pozytywnie o rodzinie królewskiej wypowiadało się ponad 80% Norwegów – teraz ten odsetek spadł do niewielu ponad 60%. To wciąż

FOT. THE MEGA AGENCY/ FORUM

eprasa.pl f46a69fb42

relatywnie dużo, zwłaszcza wobec tych krajów, gdzie „royalsi" od lat przynoszą tylko wstyd i właściwie nic innego. Dla porównania w Hiszpanii poparcie dla rodziny królewskiej, od dekad targanej skandalami obyczajowymi i korupcyjnymi, wynosi zaledwie 52%.

Równi wobec prawa

Paradoksalnie skazanie Mariusa może, w nieco kontrintuicyjny sposób, pomóc Haakonowi. Pokazuje bowiem, że w Norwegii nikt nie stoi ponad prawem, nikt nie może liczyć na taryfę ulgową wobec wymiaru sprawiedliwości. Książę zresztą odsunął się od procesu, nie próbował specjalnie bronić pasierba – ataki medialne wzięła na siebie Mette-Marit, która zaraz po upublicznieniu zarzutów pod adresem swojego syna odwołała w 2024 r. wyjazd na igrzyska olimpijskie do Paryża. Jej mąż do Francji jednak się udał i trudno o bardziej wymowny komentarz opisujący dynamikę tej pary, ich stosunek do Mariusa oraz jego problemów z prawem.

Opowieść o 29-letnim zagubionym mężczyźnie i jego kryminalnej przeszłości i przyszłości jest o tyle ciekawa, że nie ma w niej żadnych sensacyjnych zwrotów akcji czy zakończeń. Była zbrodnia, jest kara, a pochodzenie i status społeczny oskarżonego nie odegrały tu żadnej roli. Może dlatego sprawa przeszła relatywnie bez echa.

A szkoda, zwłaszcza w kontekście innych europejskich monarchii i wspomnianego już Epsteina. Nie jest bowiem żadną tajemnicą, że inny niebieskokrwisty mężczyzna, który utrzymywał bliskie stosunki z tym najbardziej znanym na świecie przestępcą seksualnym – brytyjski książę Andrzej, brat króla Karola – przez dekady był chroniony przez instytucję monarchii. Nikt z jego przyjaźni z Epsteinem nie robił oczywiście tajemnicy, ale na wiedzy i komentarzach cała sprawa się kończyła. Dopiero odtajnienie przez Amerykanów materiału dowodowego ze śledztwa FBI ponagliło zarówno brytyjską policję, jak i krewnych Andrzeja do wystawienia go na działanie aparatu sprawiedliwości. Efekt był oczywiście spektakularny, zdjęcia byłego księcia na tylnym siedzeniu policyjnego radiowozu obiegły świat z prędkością światła –postępowanie w jego sprawie wciąż się toczy. Co jednak nie zmiana faktu, że powinno było rozpocząć się mniej więcej dekadę temu – kiedy jasne stało się, że Andrzej sprowadzał sobie, za pośrednictwem Epsteina, młode kobiety do królewskich posiadłości. Skoro więc do prawdopodobnych naruszeń ich cielesności dochodziło na terytorium Wielkiej Brytanii, tamtejsze służby powinny były działać znacznie bardziej zdecydowanie. Dlaczego tego nie zrobiły – na zawsze pewnie pozostanie tajemnicą, choć na Wyspach spekuluje się, że ochrona Andrzeja związana była ściśle z osobą królowej Elżbiety i jej autorytetem. Kiedy jej zabrakło, instytucje dostały zielone światło na działanie – albo same je sobie przyznały.

O gwałt oskarżyły go cztery kobiety, choć upublicznione zostały dane tylko jednej z nich, Nory Haukland.

Hiszpańska monarchia nigdy nie potrafiła rozliczyć się z kontrowersyjnego życia Juana Carlosa, który ostatecznie w tajemniczych okolicznościach uciekał z kraju. Inni członkowie dynastii Burbonów mieli na swoim koncie wyłudzenia podatkowe, korupcję, powoływanie się na wpływy – a to i tak tylko przestępstwa faktyczne, bez wspominania o kontrowersjach politycznych, których akurat w przypadku hiszpańskich monarchów nigdy nie brakowało. Nawet w krajach, które monarchiami już nie są, spadkobiercy nieistniejących tronów walczą zaciekle o miejsce w nagłówkach na portalach plotkarskich. Wystarczy wspomnieć o księżniczce Marii Karolinie, wywodzącej się z dynastii Burbonów, rządzącej włoskim Królestwem Obojga Sycylii – spekuluje się, że ma romans z liderem francuskiej skrajnej prawicy Jordanem Bardellą. Na tym tle Marius Borg Høiby wyróżnia się jako postać relatywnie mało interesująca. Może dlatego, że okazał się po prostu pospolitym kryminalistą.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl f46a69fb42

Polskie i ukraińskie rolnictwo

Uzupełnienie czy zagrożenie?

Bronisław Tumiłowicz

Seminarium „Możliwości, oczekiwania i uwarunkowania rozwoju współpracy polsko-ukraińskiej w sektorze rolno-spożywczym w kontekście przyszłej akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej" otworzył poseł PSL dr Czesław Siekierski, były minister rolnictwa i rozwoju wsi. Warszawa, 23 czerwca 2026 r.

Instytut Polityczny im. Macieja Rataja

Próbą odpowiedzi na temat możliwości współpracy polsko-ukraińskiej w sektorze rolno-spożywczym było seminarium zorganizowane przez Instytut Polityczny im. Macieja Rataja, czyli powiązaną z Polskim Stronnictwem Ludowym instytucję analityczno-badawczą, która realizuje projekty naukowe, eksperckie oraz edukacyjne. Debatę otworzył poseł PSL dr Czesław Siekierski, autorytet międzynarodowy, były minister rolnictwa i rozwoju wsi, były europoseł. Zestaw panelistów został dobrany bardzo starannie.

Rozpoczęto od szczegółowej analizy struktury handlu, szans rozwojowych oraz wyzwań związanych z integracją europejską. Panel dyskusyjny poprowadził dyrektor Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN dr hab. Paweł Chmieliński. Dr hab. Łukasz Ambroziak, profesor w Instytucie Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej zwrócił uwagę, że wzajemnym kontaktom gospodarczym towarzyszy asymetria wymiany. Ukraina eksportuje do Polski głównie surowce rolne (w tym oleje i makuchy), natomiast Polska sprzedaje Ukrainie przede wszystkim produkty wysokoprzetworzone.

Nasze sektory rolno-spożywcze raczej się uzupełniają niż konkurują ze sobą. Chodzi tu zwłaszcza o mniejsze gospodarstwa ukraińskie, które są naturalnym partnerem dla polskiego rolnictwa, bo wydają się lepiej predysponowane do współpracy niż do niszczącej rywalizacji rynkowej. Jednak struktura ukraińskiego rolnictwa cechuje się dualizmem, ponieważ kraj ten z jednej strony kojarzy się z wielkimi agroholdingami (o powierzchni nawet 500 tys. ha), przekształconymi z dawnych kołchozów, z drugiej – ma prawie 4 mln małych gospodarstw indywidualnych. I to one odpowiadają za większość produkcji mleka, warzyw, owoców i ziemniaków. Tak strukturę ukraińskiego rolnictwa opisał dr hab. Sergiusz Pimenow z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej – Państwowego Instytutu Badawczego, wykładowca z ponad 18-letnim doświadczeniem w zakresie restrukturyzacji procesów biznesowych, rozwoju organizacyjnego i zarządzania zmianą w dużych firmach na Ukrainie, w Polsce i Estonii. Specyfikę wymiany towarowej naświetlił też dr Vitally Krupin, adiunkt w Zakładzie Modelowania Ekonomicznego Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, który wskazał na ujemne saldo Polski w wymianie handlowej towarami rolno-spożywczymi z Ukrainą. Ważnym uzupełnieniem debaty był udział przedstawiciela polskiego biznesu, Marka Marca, szefa i założyciela firmy PPH EWA-BIS Sp. z o.o. Przedsiębiorstwo ma bezpośrednie, silne powiązania biznesowe i operacyjne z Ukrainą. Rynek ten stanowi jeden z filarów międzynarodowej struktury kapitałowej i handlowej grupy zarządzanej przez Marka Marca. Poprzez spółki zależne na Ukrainie Grupa EWA-BIS prowadzi wymianę handlową (import i eksport), zajmuje się rynkiem zbytu polskich towarów, jak i źródłem pozyskiwania surowców rolnych. Zarządza m.in. hurtowym obrotem owocami, warzywami oraz mrożonkami na rynku ukraińskim.

Ukraina zapowiada 10-letni okres przejściowy na dostosowanie do norm UE. Chce przy tym pełnego dostępu do dopłat bezpośrednich od pierwszego dnia akcesji. Wywołuje to obawy polskich organizacji rolniczych. Jednym z polskich postulatów jest ochrona naszego rynku. Resort rolnictwa akcentuje, że akcesja Ukrainy do struktur UE nie może uderzać w interesy i rentowność polskich gospodarstw rodzinnych.

Dostrzegane są duże szanse na kompromis w obszarach szczególnie ważnych dla Polski. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f46a69fb42

Narwa – tu zaczyna się Europa

Przypadek Narwy i Iwangorodu leżących na styku Estonii i Rosji jest wyjątkowy. Kiedyś zwarty organizm, dziś – dwa odrębne światy

Chrystian Ślusarczyk
Korespondencja z Estonii

Cieszyn, Zgorzelec, Słubice. Miast leżących na terenie dwóch krajów mamy w najbliższym otoczeniu sporo. Przed 1989 r. do czeskiej części Cieszyna czy do NRD-owskiego Görlitz wcale nie było łatwo się dostać. Dziś, dzięki Schengen, po stronie czeskiej i niemieckiej możemy pospacerować, kiedy tylko chcemy.

Także na zachodzie Europy znajdziemy miejscowości jedną nogą w jednym, a drugą w drugim kraju. Takim przypadkiem jest Baarle-Hertog-Nassau leżące pomiędzy Belgią i Holandią. Historia jego osobliwości sięga czasów średniowiecza, kiedy działki na tym terenie dzielono między lokalne rodziny arystokratyczne. Jednak zarówno tę miejscowość, jak i polskie miejskie organizmy sąsiedzkie rozdzielają kraje będące dziś politycznie, gospodarczo i militarnie po tej samej stronie.

Przypadkiem najbardziej zbliżonym do Narwy-Iwangorodu jest leżąca na styku greckiego (południowego) i tureckiego (północnego) Cypru Nikozja, z granicą przebiegającą przez środek miasta. Tam z kolei granica nie rozdziela państw, które znalazły się w różnych systemach wojskowych, bo i Turcja, i Grecja są członkami NATO.

Jedno miasto, wiele światów

Nie ma obecnie w Europie drugiego, położonego w dwóch krajach, tak newralgicznego politycznie i militarnie miasta. Estońska Narwa i leżący po drugiej stronie rzeki rosyjski Iwangorod są zaiste wyjątkowe. 90% mieszkańców Narwy – najdalej na wschód wysuniętego miasta UE – to osoby rosyjskojęzyczne. W dużej mierze jest to efekt rusyfikacji miasta – po 1945 r. władze ZSRR przesiedlały tu Rosjan z głębi kraju. Kto wybiera się do Narwy, musi sobie przypomnieć język rosyjski ze szkoły. Młodsi mają gorzej, bo angielski w Narwie, w przeciwieństwie do stołecznego Tallina, raczej nie będzie tu użyteczny. Miasto jest dość rozległe, choć mieszka w nim tylko ok. 52 tys. osób. Nie powinno nas to zniechęcać, starsi mieszkańcy pięknym językiem Tołstoja, zawsze bardzo uprzejmie, wskażą drogę każdemu zabłąkanemu turyście.

Ze strategicznego znaczenia tego miejsca już w połowie XIII w. zdawali sobie sprawę Duńczycy, którzy na skale, nad wartko płynącą w tym miejscu rzeką Narwą wybudowali twierdzę – Zamek Hermana. Na drugim brzegu Narwy, ok. 100 m od estońskiej dziś twierdzy, Rosjanie pod koniec XV w. postawili swoją potężną warownię – Twierdzę Iwangorodzką. To strategiczne położenie

eprasa.pl f46a69fb42

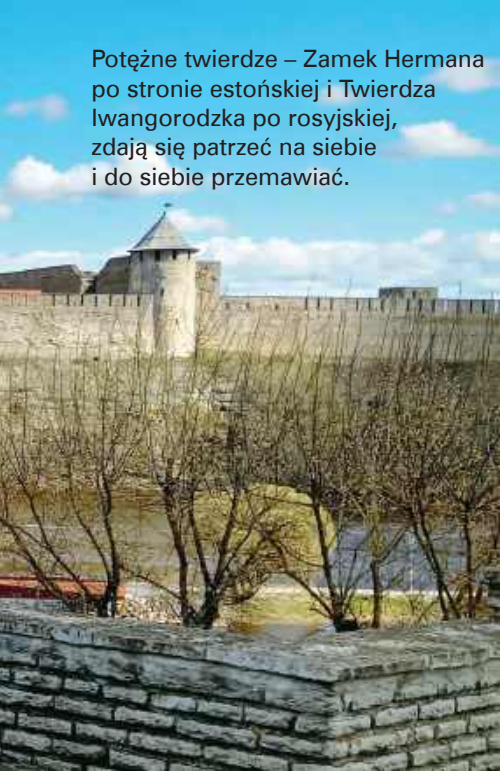

Potężne twierdze – Zamek Hermana po stronie estońskiej i Twierdza Iwangorodzka po rosyjskiej, zdają się patrzeć na siebie i do siebie przemawiać.

W przełomowym roku 1991, kiedy Estonia wybiła się na niepodległość, Most Przyjaźni usytuowany pod twierdzami stał się mostem granicznym dla całkiem sporego wówczas ruchu samochodowego. A mała stacja kolejowa z wielkim napisem Wokzał (dworzec) stała się stacją graniczną. I międzynarodową. Intensywny ruch samochodowo-kolejowy na moście odbywał się do 2022 r. Początek pełnoskalowej wojny w Ukrainie spowodował jego wygaszanie. Ostatecznie na Moście Przyjaźni (nikt oficjalnie nie zmienił tej nazwy), do którego po stronie estońskiej prowadzi Bulwar Petersburski, Estończycy ustawili blokady przeciwczołgowe i podwyższyli i tak już wysokie ogrodzenia nad poręczami. Niemożliwy – choć most wciąż stoi i przebiegają przez niego tory – stał się przejazd koleją z Estonii do Rosji, np. do oddalonego o ok. 150 km Sankt Petersburga. Otwarte pozostało jedynie przejście dla pieszych. Korzystają z niego głównie mieszkańcy Narwy-Iwangorodu, którzy odwiedzają rodziny i przyjaciół oraz palą znicze, a właściwie cienkie prawosławne świeczki, na cmentarzach po obu stronach granicy. Granicy, która Narwy-Iwangorodu powodowało, że w okolicach twierdz przetaczały się liczne konflikty zbrojne: m.in. wojny inflanckie w XVI w., wojna północna z XVIII w. oraz wojna estońsko-bolszewicka 1918-1920. W wyniku tej ostatniej całe miasto, po obu stronach rzeki, znalazło się w rękach estońskich. Podczas II wojny światowej i Niemcy, i Sowieci zrównali Narwę-Iwangorod z ziemią.

W 1945 r. miasto stało się częścią ZSRR, z tym że lewobrzeżna część należała do Estońskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a prawobrzeżna – do Rosyjskiej FSRR.

podobnie jak warownie wzniesione swego czasu po obu stronach rzeki, także zaczęła odgrywać rolę trudnej do zdobycia twierdzy.

Sama Narwa, a tym bardziej znajdujący się po drugiej stronie rzeki Iwangorod z pewnością nie są pięknymi miastami. Zabudowa z czasów stalinowskich, a także widok opuszczonych budynków początkowo mogą zniechęcać. Zupełnie inaczej jest nad rzeką, gdzie potężne twierdze po stronie estońskiej i rosyjskiej zdają się patrzeć na siebie w jakiejś niepisanej rywalizacji i do siebie przemawiać. Będąc w centrum Narwy, można odnieść wrażenie, że obie twierdze znajdują się po estońskiej stronie, ponieważ ta w Iwangorodzie wznosi się zaskakująco blisko. Złudzenie potęguje głęboki wąwóz rzeczny poniżej.

Tej wiosny po stronie rosyjskiej rozpoczęto intensywne prace przy modernizacji i poszerzaniu samochodowego przejścia granicznego.

Po raz kolejny z inicjatywy Marii Smorževskiej-Smirnowej, dyrektor Muzeum Narwy, 9 maja po stronie estońskiej postawiono baner z wizerunkiem Putina i napisem „war criminal".

Obie twierdze można zwiedzać – stały się obiektami muzealnymi. Wizyta w Zamku Hermana, pełnym multimedialnych atrakcji, kosztuje 18 euro. Warto wąskimi schodami wdrapać się też na wieżę. Roztacza się z niej wspaniała panorama na rzekę, nadbrzeżne alejki oraz na stronę rosyjską. Ci, którzy mają rosyjską wizę, po odstaniu w granicznej kolejce przed mostem mogą zwiedzić twierdzę w Iwangorodzie. Wstęp do niej kosztuje 300 rubli (ok. 15 zł) – nieporównywalnie taniej niż w mniejszym zamku estońskim. Choć iwangorodzka twierdza znajduje się na terytorium Federacji Rosyjskiej, jej położenie w strefie przygranicznej powoduje, że Rosjanie nieposiadający specjalnej przepustki nie mogą jej zwiedzać.

Interesujący wydaje się fakt, że tej wiosny po stronie rosyjskiej rozpoczęto intensywne prace przy modernizacji i poszerzaniu samochodowego przejścia granicznego. Planowana od lat inwestycja? A może w państwie Putina wiedzą coś więcej i przygotowują się do turystycznego otwarcia na Zachód?

FOT. CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK (2)

eprasa.pl f46a69fb42

Święto punktu widzenia

Pod koniec kwietnia w Narwie trudno było spotkać turystów. Za to przed Dniem Zwycięstwa, obchodzonym w Rosji 9 maja, cudem tylko można było znaleźć wolne miejsce w hotelach – i to po obydwu stronach rzeki. Mieszkańcy Estonii oraz sąsiedniej Łotwy tłumnie przybyli do Narwy, a obwodu leningradzkiego – do Iwangorodu. Popularność Narwie-Iwangorodowi przynoszą organizowane co roku z wielką pompą po stronie rosyjskiej, na polanie pod twierdzą, uroczystości i koncerty związane ze zwycięstwem w 1945 r. Organizatorzy obchodów z Iwangorodu robią wszystko, by zainteresować i wciągnąć w nie rosyjskojęzycznych mieszkańców Narwy. W tym roku pod twierdzą na rosyjskim brzegu ustawiono trzy olbrzymie telebimy – by goście z estońskiego nabrzeża mogli oglądać uroczystości odbywające się na Placu Czerwonym i przemówienie Putina. Na tym samym telebimie transmitowano też koncert pieśni patriotyczno-wojennych.

Ale i bez pomocy techniki koncert byłby widziany i słyszany z estońskiego brzegu. W tym roku, podobnie jak w latach ubiegłych, po stronie estońskiej zgromadziły się setki rosyjskojęzycznych mieszkańców Narwy. Być może jakaś ich część żałuje, że koncert z okazji Dnia Pobiedy odbywa się tak blisko, a jednocześnie tak daleko od nich…

To, co działo się w Narwie 9 maja, obszernie relacjonowały estońskie media. „Nad estoński brzeg Narwy przyjechałem z Łotwy. Nie kryję, że Estonia to zupełnie inny kraj, bo dzisiejsza Łotwa jest nazistowska, a ludzie noszą swastyki!”, mówił estońskiej „Nowej Gazecie Europa” Pauls, 70-latek z Łotwy.

Podczas gdy po stronie rosyjskiej nie brakowało banerów związanych ze zwycięstwem nad hitlerowcami, pod estońskim zamkiem można było zauważyć przytwierdzone do skały flagi Estonii, Ukrainy, Unii Europejskiej i NATO. Po raz kolejny estońscy mieszkańcy miasta postawili też baner z krwawym Putinem. Jego wizerunek na tle plam krwi, z napisem „war criminal”, widoczny był nawet z odległych bloków po stronie rosyjskiej. Został wystawiony już trzeci rok z rzędu – z inicjatywy Marii Smorževskiej-Smirnowej, dyrektor Muzeum Narwy.

Nad Narwą zwykle solidnie wieje – tak było i w tym roku – gospodarz rosyjskich obchodów Dmitrij Guberniew kpił sobie z estońskiej i narewskiej flagi, które wiatr odrywał od skały pod twierdzą. Podczas uroczystości nabrzeże Narwy nieustannie patrolowała estońska policja. Jedna z interwencji skończyła się grzywną w wysokości 600 euro. Ukarano nią mężczyznę w czarnej bluzie, z herbem Sankt Petersburga i napisem „MelonZZ – arystokraci z sąsiedztwa”. W Estonii znak „Z” oraz wiele innych symboli związanych z agresją wojskową i okupacją sowiecką jest zakazanych.

9 maja po stronie rosyjskiej nie brakowało banerów związanych ze zwycięstwem nad hitlerowcami. Po stronie estońskiej były flagi Estonii, Ukrainy, UE i NATO.

Ci, których 9 maja nie interesowało świętowanie rosyjskiego Dnia Zwycięstwa, mieli okazję wziąć udział w obchodzonym w tym samym czasie Dniu Europy. Wokół ratusza w Narwie, na głównych ulicach i placach, pełno było w tym dniu europejskich flag, a władze miasta zorganizowały liczne kiermasze, gry miejskie i koncerty.

Nieudana prowokacja Kremla

Strategiczne położenie Narwy-Iwangorodu i ogromna przewaga rosyjskojęzycznej ludności po stronie estońskiej to także przyczyna nieustannych ataków hybrydowych ze strony Moskwy. Rosjanie, wykorzystując rozmaite metody propagandowe, próbują wpływać na to, co dzieje się po estońskiej stronie granicy.

Pod koniec marca br. Kreml, wzorując się na akcjach propagandowych przeprowadzonych w Ługańsku i Doniecku (wierne Moskwie tzw. republiki ludowe), zamieścił w mediach społecznościowych informacje o separatystycznych działaniach rosyjskojęzycznych mieszkańców Narwy. Mieli się domagać przyłączenia miasta i regionu do Federacji Rosyjskiej. W sieci pojawiły się informacje o tym, że mieszkańcy Narwy wzywają na pomoc Rosję, by ta „broniła ich praw” – ponoć na każdym kroku deptanych. Wykorzystując sztuczną inteligencję, Rosjanie zamieścili w sieci dziesiątki zdjęć narewskich „zielonych ludzików” z kałasznikowami w rękach na tle wymyślonych flag Narewskiej Republiki Ludowej.

Mieszkańcy Narwy nie dali się jednak oszukać. Zdaniem Margusa Tsahkny, szefa estońskiego MSZ, nawoływanie do powstania Narewskiej Republiki Ludowej to nieporadna próba osłabienia spójności społeczeństwa. „Takie zagrywki Rosji już widzieliśmy”, napisał na platformie X.

Próby oderwania Narwy i regionu Virumaa Wschodnia od Estonii to nie są nowe pomysły Kremla. W 1993 r. w Narwie i Sillamäe nieliczni zwolennicy separatyzmu przeprowadzili referendum dotyczące autonomii terytorialnej w granicach Estonii. Frekwencja okazała się jednak znikoma, sąd uznał referendum za nielegalne, a jego wyniki za sfałszowane.

Niewykluczone, że Moskwa ponowi te prowokacje, lecz nic nie wskazuje na to, by trafiły na podatny grunt. Rosyjskojęzyczni mieszkańcy Narwy może i są częścią „ruskiego miru”, ale innego niż ten w Moskwie – bardziej europejskiego, ceniącego jakość życia i bardziej przesiąkniętego tymi samymi wartościami, które wyznają Estończycy.

Turystycznym hasłem mającym przyciągać do Narwy jest sentencja: „Narwa – tu zaczyna się Europa”. Co ciekawe, nie do końca przypadła do gustu części rosyjskojęzycznych mieszkańców. Uważają, że od lat mieszkają w Europie, a nie na jej rubieżach.

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl f46a69fb42

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zarządzanie żarem

Upały sakramenckie; choć i bez nich się męczę i pocę z byle powodu, dawno wkroczywszy w wiek zawałowy, dryfuję już ku otwartemu morzu starości, zatem wszelkie alerty esemesowe o ekstremalnym zagrożeniu stanem upalnym trafiają prosto w moją pakamerę lęków. I sam już nie wiem, czy ta fala gorąca faktycznie taka mordercza, czy zaiste nigdy wcześniej takiego żaru między Bugiem i Odrą nie zaznano, azaliż to masy upalnego powietrza tak miażdżące, czy też może miazga masowego przekazu czerwonymi wersalikami tłoczonego. No bo jeśli kto moim strachem zaczął zarządzać, niedoczekanie jego, teraz mnie straszy gołym niebem, zaraz będzie chciał zasiać inne obawy, a to że wróg u bram przebiera nogami, by gwałcić „nasze kobiety", wróg wewnętrzny chce uczyć masturbacji „nasze dzieci", do tego „różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki" wprost kotłują się w każdym imigranckim organizmie, próbującym przeniknąć przez płoty kolczaste i korony cierniowe, którymiśmy obwarowali „naszą ziemię". Te wszystkie alarmy wciskają się nam do telefonów nie po to, byśmy mieli baczenie, lecz by nam pośród betonowej dżungli. Nie chwal nocy przed wschodem słońca, w ogóle niczego nie chwal, jakkolwiek będziesz się chciał podzielić dobrym samopoczuciem, wiedz, że to gest klasistowski, bo podczas gdy tobie jest dobrze, innym jest źle, a w ogóle zmierzamy ku zagładzie i należy się umartwiać. Do postów o suszy i miejskiej betonozie lajki lgną jak górskie ćmy do watry, trzeba było namierzyć spękane błocko w wyschniętej kałuży, strzelić mu fotę i opatrzyć stosownym lamentem na efekt cieplarniany, a nie focić swoich skądinąd nadzwyczaj zgrabnych nóg na stoliku w czechowowskim ogrodzie.

Pozasłaniałem w domu okna, uchylałem tylko na godzinę przed świtem, żeby przewietrzyć, trawnika nie kosiłem od miesiąca, to i się zmienił w łąkę wysoką na metr, dzięki czemu miałem w chałupie nieprzekraczalne 25 na plusie, chodziłem goły, a i tak trzeba mi było wciąż chłeptać wodę. Za dnia chłodziłem się książkami, filmami i muzyką, nocami oglądałem mundial, ale ja usiedzieć długo nie potrafię, bezruch mnie męczy, rozleniwienie mnie zabija. Skądinąd zapadło mi w pamięć, że moja stara matka, dusza na ramieniu wciąż siedziała, bo człowiek z duszą na ramieniu jest bezbronny jak srający pies, nie człowiek to już, a zasób ludzki, podatny na manipulację. Trudno, wolę się topić od żaru, niż pocić ze strachu, rzekłem i od razu temperatura odczuwalna spadła w granice normy.

Owszem, niegdyś lepiej znosiłem upały od wielkich mrozów, bo do czterdziestki brakowało mi ochronnej warstwy tłuszczu, potem zaś oddałem Tatrom palec u stopy i część w niej czucia, przez co marzł mi w bucie kiepsko ukrwiony ocalały paluch. Teraz nadciśnienie sprawia, że mi wiecznie ciepło, babiny okutane płaszczami dziwują się, gdy śmigam po mieście w żonobijce, za to upały działają mi na nerwy, wyczuwam w nich niejaką wrogość, agresywność wymierzoną we mnie osobiście, nie muszą być ekstremalne, wystarczy zwykłe plażowe trzydzieści w cieniu. Morze nigdy mnie nie pociągało, nie przepadam za równą linią horyzontu, jestem człowiekiem turbulentnego usposobienia i postrzępionych przestrzeni; w górach zawsze jest chłodniej, im wyżej tym zimniej, a i podziemne schronienie łatwiej znaleźć.

Znana lewicowa reportażystka wrzuciła w najgorętszą z nocy na mediach społecznościowych post, w którym w zawoalowany sposób wygłosiła pochwałę ciepłych nocy. Zaraz też została przywołana do porządku przez zdradzoną bańkę, że podczas gdy ona, uprzywilejowana burżujka z letniskowym domkiem na Podhalu spogląda sobie w gwiazdy, lud pracujący umiera w mikrokawalerkach wiecznie rozkrzątana, kiedy się raz zmęczeniu poddała i przeleżała dzień, wiek biologiczny nagle zrównał jej się z metryką – uznała, że jest za stara, by żyć i tak pociągnęła jeszcze tylko parę miesięcy, głównie leżąc, najpierw w domu, potem w szpitalu, potem w willi seniora, aż zaległa na marach.

Trzeba mi było wychynąć z tej fortecy cieplnego umiarkowania i okazało się, że owszem, w słońcu piekarnik, ale już pod osłoną lasu wyżyć można. Oto więc wsiadłem do auta z klimatyzacją (mój przywilej, ale auto nie moje) i przejechałem do najbliższej doliny krasowej, a taką mam akurat po słowackiej stronie (przygraniczność to już mój przywilej z wyboru, im dalej od centrum Warszawy, tym mieszkania zdają mi się cenniejsze), po czym udałem się pod osłoną lasu do otworu jaskini, w której akurat odbywał się koncert kapeli ludowej z Gór Strażowskich. Słowacy przybyli tym tłumniej, że zaiste tego dnia trudno było wytrzymać na powierzchni, w grocie przyjemne 10 stopni, na zewnątrz ze cztery razy tyle, karpackie melodie w takim chłodzie były zaiste ożywcze, mnie zaś do głowy przyszło, że może powoli należy zacząć przysposabiać ludność do takiej masowej regresji, w końcu w jaskiniach znajdziemy schronieniem zarówno przed efektem cieplarnianym, przed zagładą atomową, jako i przed apokaliptycznym buntem sztucznej inteligencji, albowiem podziemia są całkowicie poza zasięgiem satelit. *Homo sapiens spelaeus* – taka jest nasza nieunikniona przyszłość. ■

eprasa.pl f46a69fb42

Geniusz, szarlatan, chuligan

Gałczyński, poeta nie z tej ziemi

Rozmawia Teresa Sołtysiak

Jest pan uznanym biografem. Wydana ostatnio książka o Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim „Kanarek w klatce" jest 11. w pana dorobku. Co jest najtrudniejsze w pisaniu o wybitnych ludziach?

– Bycie uczciwym. Podwójnie: wobec czytelników, którzy czekają na prawdę, i wobec bohatera. Uczciwość wymaga mówienia rzeczy gorzkich, także o jego ciemnych sprawach. Nawet jeżeli ma się dużo sympatii do protagonistów. Ale właśnie wtedy nie wolno ukrywać ich mrocznych stron. Niezależnie od tego, czy dotyczy to ich życia rodzinnego, twórczości czy polityki. Nie można niczego tuszować, tworzyć hagiografii, bo to właśnie jest nieuczciwe wobec człowieka, który przecież żył naprawdę, czasem bywał bohaterem, ale czasem… nie. Jednocześnie trzeba próbować go zrozumieć.

Czuje pan dreszcz emocji na miarę Sherlocka Holmesa, kiedy odkrywa coś, o czym dotąd nie było wiadomo? Jak to było w przypadku Gałczyńskiego?

– Kiedy uda się trafić na coś absolutnie nowego, na pewno jest to satysfakcja na miarę odkryć Sherlocka. W przypadku Gałczyńskiego to była np. jego młodzieńcza miłość do kuzynki, Jadwigi Łopuszyńskiej, dla której napisał debiutanckie wiersze. Pojawiły się w obiegu publicznym dopiero niedawno, kiedy rodzina Jadwigi zechciała sprzedać listy poety do Muzeum K.I. Gałczyńskiego w Praniu. Zawierały nieznane dotąd wiersze. Dzięki temu udało się uzupełnić życiorys Konstantego o nieznane do tej pory fakty.

Czyli złudne jest myślenie, że wszystko o Gałczyńskim już wiemy? A przecież powstało już tyle monografii czy biografii, które zresztą zmonopolizowała nieżyjąca już córka Gałczyńskiego, Kira.

– Kira Gałczyńska napisała o ojcu kilkanaście książek, ale to nie były prawdziwe biografie, wybielały ojca i wybiórczo traktowały fakty. Jako córka miała do tego prawo, jako biograf nie. Ponad dekadę temu powstała rzetelna biografia Gałczyńskiego

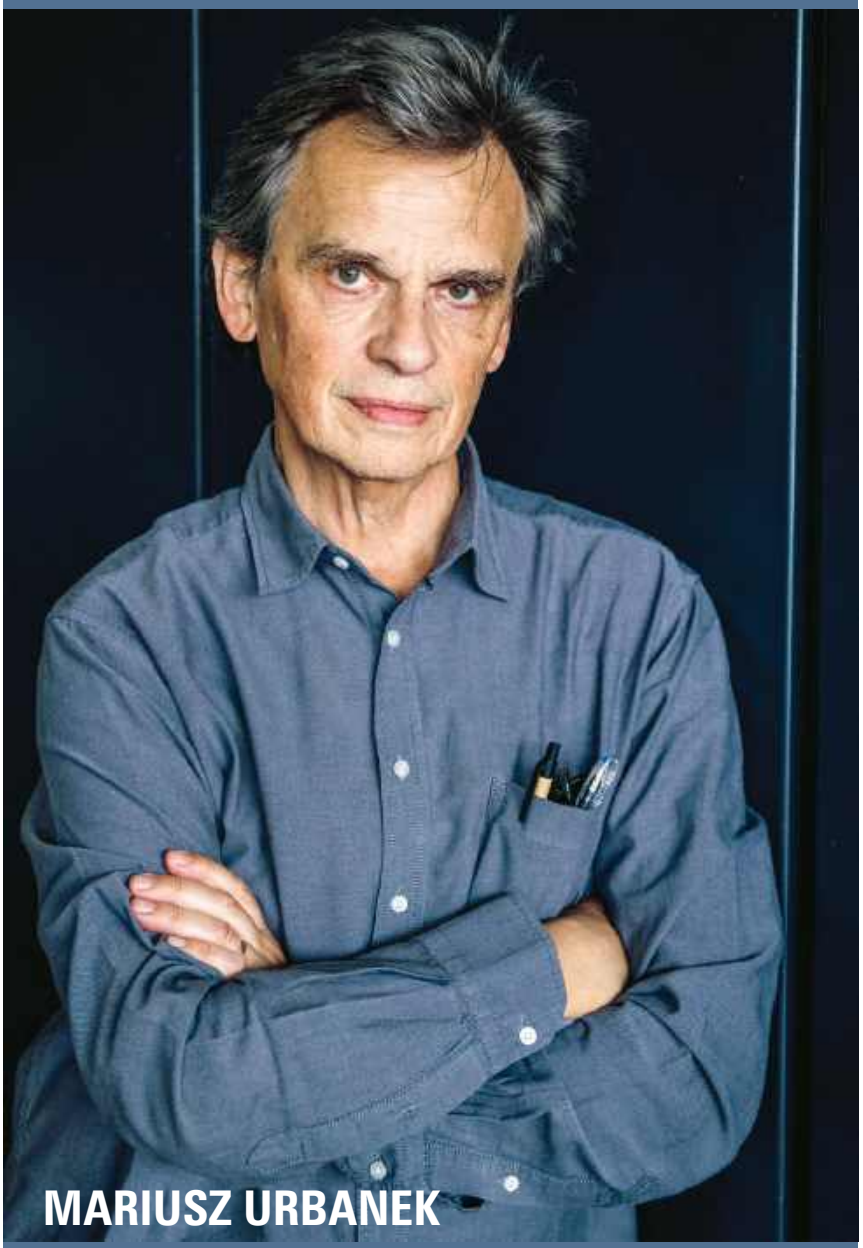

MARIUSZ URBANEK

– pisarz, publicysta, autor poczytnych biografii, m.in. Stefana Kisielewskiego, Władysława Broniewskiego, ana Brzechwy, Juliana Tuwima, Jerzego Waldorffa, Mariana Eilego, Rudolfa Weigla i zbiorowej biografii lwowskiej szkoły matematycznej. Autor biografii Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Gałczyński. Kanarek w klatce".

eprasa.pl f46a69fb42

„Konstanty Ildefons Gałczyński. Niebezpieczny poeta” pióra Anny Arno. Tak naprawdę pierwsza, która ukazała się poza kontrolą córki. Kira nie zostawiła na niej suchej nitki.

Czy jest sens, by dzieci tworzyły biografie rodziców? Często popadają w skrajność – są to „żywoty świętych” albo pamflety, rodzaj zemsty za zawiedzione uczucia.

– Nie potrafiłbym całkowicie skrytykować Kiry Gałczyńskiej. Zrobiła bardzo dużo, by pielęgnować pamięć o ojcu. Prawdopodobnie gdyby nie ona, Gałczyński nie byłby poetą wciąż popularnym i kochanym. Ale idealizowała rodziców, budowała im pomnik. Konstruowała wizerunek ojca według swoich wyobrażeń, bo nie do końca go znała. Miała trzy lata, gdy Gałczyński poszedł na wojnę; wrócił, gdy miała dziesięć; umarł, gdy Kira miała 17 lat. Nastolatki nie mają czasu na poznawanie rodziców.

Manipulowała faktami?

– Niektóre ukrywała. Przed wojną Gałczyński publikował w skrajnie prawicowym piśmie „Prosto z Mostu”, w którym ukazywały się wypominane mu do dziś antysemickie utwory, na czele z listem „Do przyjaciół z »Prosto z mostu«”.

W tym piśmie Gałczyński groził też Żydom, socjalistom i liberałom „nocą długich noży”...

– A Kira to ukryła. Cały czas podstawowym wydaniem dzieł Gałczyńskiego jest pięciotomowy wybór Czytelnika z 1979 r. pod jej redakcją. Tam listu „Do przyjaciół…” nie ma, podobnie jak w przerwanej edycji dzieł wszystkich poety oficyny Prószyński i S-ka, opartej na wyborze Kiry. A bez znajomości tego listu nie sposób zrozumieć przedwojennego Gałczyńskiego. Podobnie córka utajniła niektóre wiernopoddańcze wobec komunistycznej władzy utwory, które poeta napisał po wojnie. Nigdy też nie przyznała, że ojciec był bigamistą.

Wojnę spędził w stalagu Altengrabow w Niemczech, ale po wyzwoleniu obozu nie wrócił od razu do kraju i do żony. Przez rok podróżował po Europie, poznał Lucynę Wolanowską, z którą wziął ślub w niemieckim urzędzie stanu cywilnego. Jeśli wierzyć Wolanowskiej, za wiedzą, a wręcz namową księdza katolickiego, który przekonywał parę, że wcześniejszy ślub z Natalią w obrządku prawosławnym nie jest tak do końca ważny. Tego drugiego ślubu, choć zawartego w majestacie prawa,

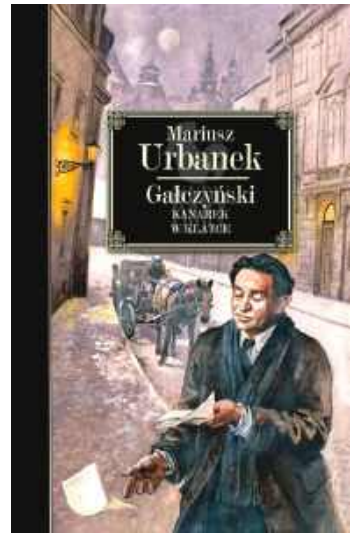

Mariusz Urbanek, „Gałczyński. Kanarek w klatce”, Wydawnictwo Iskry 2026

Kira nigdy nie uznała. O Wolanowskiej mówiła: „kobieta, z którą ojciec miał relację w czasie wojny”. Według niej Konstanty kochał tylko jedną kobietę. I miała to być „srebrna” Natalia. Kochanki ukrywała albo zaprzeczała ich istnieniu. A w ciągu tego szalonego roku po wojnie Gałczyński miał aż trzy partnerki. Owocem związku z Wolanowską był Konstanty junior, który później razem z matką wyemigrował do Australii. Przyrodnie rodzeństwo poznało się dopiero w Polsce, w 1990 r.

Kira starała się też wygumkować zażyłą przyjaźń ojca z Jerzym Waldorffem.

– Dzieliła przyjaciół ojca na takich, których lubiła, i tych, którym odmawiała prawa do tej przyjaźni. Waldorff zaliczał się do tego „gorszego sortu”. Poznali się przed wojną, w czasie pobytu poety w stalagu korespondowali, Waldorff opiekował się Natalią. Listy, w których Gałczyński dziękował za to Waldorffowi, przetrwały i trafiły do Muzeum Literatury. Kira o tym wiedziała. Mimo to, wydając tom „Pozdrowienia dla Czarodzieja”, w którym zamieściła listy, nawet najkrótsze, pisane przez ojca i do ojca, pominęła korespondencję z Waldorffem. To było fałszowanie faktów.

Potrafi pan to zrozumieć?

– Waldorff zarzucił po latach Kirze, że „przerobiła Konstantego na drewnianego świątka pomalowanego na czerwono”. Myślę, że po prostu za dużo wiedział o sytuacji rodzinnej Gałczyńskich. Był świadkiem nie tylko wielu alkoholowych ekscesów, ale też powrotu Gałczyńskiego w 1946 r. do Krakowa. Poeta nie był sam, przywiózł ze sobą kochankę, Marię Stobiecką. Być może naiwnie wyobrażał sobie, że Natalia przyjmie go razem z Marią i będą żyć w trójkącie.

Bo artyście można więcej?

– Tak uważał. Jednemu ze znajomych powiedział, że jest poetą i ma od pana Boga przyzwolenie, by mieć kilka żon. Natalia miała inne zdanie i szybko pozbyła się rywalki.

Niezwykle empatycznie traktuje pan w książce Natalię. Inaczej niż Czesław Miłosz, który złośliwie określił ją jako bierną, samczą, ale ogarniającą sprawy finansowe i trzymającą w ręku męża.

– Ogarniała na tyle, na ile mogła. To był bardzo trudny dla niej związek z narcyzem. Konstanty wymagał ciągłej obecności i uwielbienia, był o jej miłość zazdrosny; kiedy urodziła się Kira, wściekał się, że żona za mało uwagi poświęca jemu. Natalia miała powiedzieć córce, że była nieszczęśliwa, ale usprawiedliwiała męża. Była kochanką, opiekunką, terapeutką… I pielęgniarką w okresach alkoholowych zapaści. Ocaliła go, wywożąc na wiele miesięcy do Prania na Mazurach. Tam poeta był odcięty od zewnętrznego świata, alkoholu i kolegów, których ambicją było napić się z Gałczyńskim! Stamtąd nie miał gdzie uciec i stworzył w leśniczówce Pranie arcydzieła. Myślę, że Natalia decyzją o wyjeździe przedłużyła mu życie.

Młoda inteligencja na przełomie lat 40. i 50. mówiła Gałczyńskim.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f46a69fb42

Istnieje czarna legenda Gałczyńskiego związana z jego zachowaniami po alkoholu, często chuligańskimi. Pan jednak zwraca uwagę, że za tymi pijackimi ekscesami krył się dramat zaburzonego człowieka.

– Poprosiłem lekarzy psychiatrów o opinię. Kiedy Gałczyński żył, niewiele jeszcze wiedziano o tej przypadłości, ale dziś zdiagnozowano by ją prawdopodobnie jako chorobę afektywną dwubiegunową. A to oznacza życie między euforią a rozpaczą. W stanie euforii wierzył, że może wszystko, ale kiedy przychodziła depresja, był przekonany, że nic już nigdy nie stworzy. Jedynym remedium był alkohol. Zatracał się w wódce, znikał z domu na wiele dni, Natalia nie wiedziała, co się z nim dzieje. Ale czarną legendę, że Gałczyński przez całe życie tylko pił, miotał się i awanturował, można włożyć między bajki. Za dużo świetnych utworów zostawił, by uznać, że przepił życie. A zmarł, nie mając nawet 49 lat.

Życie Gałczyńskiego to rzeczywiście twardy orzech do zgryzienia. Skrajnie skomplikowany, pełen sprzeczności człowiek. Nawet jeżeli chodzi o wybory polityczne. Przed wojną praca w endeckim piśmie, po wojnie, jak pan pisze, peany na cześć Lenina, Stalina, Armii Czerwonej. Czy poeta w ogóle miał jakieś poglądy polityczne?

– Na pewno nie miał poglądów, które wytyczałyby konsekwentną linię życiowych wyborów. Ale nie sądzę, że wierzył we wszystko, co napisał przed i po wojnie. Pisał rzeczy niemądre i złe, bo to był warunek, by mógł pisać utwory głębokie i piękne. I to dzięki tym drugim trafił do literackiego nieba.

Mówił równocześnie, że jest „psem na forsę".

– Przez całe życie brakowało mu pieniędzy. Chciał zapewnić Natalii, najważniejszej kobiecie w jego życiu, egzystencję, na jaką jego zdaniem zasługiwała. Żona nigdy nie pracowała, potem urodziła się Kira, a później jeszcze zamieszkała z nimi teściowa. Mieli też okresowo służącą. To był ogromny dwór na utrzymaniu, a wszystko za honoraria z wierszyków, felietonów itp. Pisał na akord, wszędzie gdzie się dało. Nie miał czasu, by wnikać w rzeczywistość polityczną, którą zresztą nie do końca rozumiał.

Poeta zyskał dzięki „Przekrojowi" sławę niewyobrażalną, ale swoją obecnością w piśmie oswajał nowy ustrój.

Czyli człowiek do wynajęcia, „poeta dworski", jak określił go Czesław Miłosz w „Zniewolonym umyśle".

– Miłosz stworzył portret bardzo złośliwy i nie całkiem prawdziwy. Równocześnie jednak oddał honor poezji Gałczyńskiego. Napisał, że był wybitnym i wbrew pozorom tragicznym poetą. Dlatego, że był „poetą dworskim". Już jednak Aleksander Wat zaprotestował przeciwko tak pejoratywnemu określeniu. Bo „dworski" wcale nie znaczy „kiepski". W końcu Mozart też był kompozytorem „dworskim". Gałczyński przede wszystkim potrzebował mecenasa, który zapewniłby mu egzystencję. Kiedy miał stabilizację materialną, poezja tryskała z niego jak gejzer. Przed wojną takim protektorem był Stanisław Piasecki, twórca i redaktor naczelny „Prosto z Mostu". Naturalnym dla Gałczyńskiego środowiskiem byłyby raczej „Wiadomości Literackie", najbardziej elitarne pismo II RP, do którego aspirował. Niestety, został odrzucony. Jak twierdzi Waldorff, weto postawił Antoni Słonimski, który nie mógł znieść, że Gałczyński jest lepszym poetą.

Po wojnie takim mecenasem poety stał się niewątpliwie Marian Eile, człowiek, który stworzył kultowy „Przekrój".

– To było z założenia pismo „dla inteligentnej sprzątaczki, prostego profesora i prymitywnego ministra", więc Gałczyński świetnie do niego pasował. „Przekrój" był adresowany do nowej inteligencji, tworzącej się w kraju, którego przedwojenna elita zginęła albo została na emigracji. Ludzie chcieli czytać „Przekrój", bo alternatywą była toporna, nudna prasa partyjna. Oczywiście Eile, aby utrzymać pismo, musiał płacić polityczny haracz, ale były to zrozumiałe, także dla czytelników, koszty robienia takiego pisma. To Eile dał szansę zaistnienia Gałczyńskiemu w nowej Polsce, lecz była to transakcja wiązana. Poeta zyskał dzięki „Przekrojowi" sławę niewyobrażalną, ale swoją obecnością w piśmie oswajał nowy ustrój. Pismo drukowało co tydzień jego wiersze, felietony, „Teatrzyk Zielona Gęś" i nie tylko. Uczyło Polaków czytać poezję, jednocześnie upowszechniając purnonsensowy, groteskowy typ humoru Gałczyńskiego. Młoda inteligencja na przełomie lat 40. i 50. mówiła Gałczyńskim.

Ze słynnym wierszem „Dlaczego ogórek nie śpiewa" na czele. Niestety, nie wszyscy podzielali zachwyt nad twórczością poety. Niektórzy twierdzili, że wypisuje głupstwa.

– Wielu miało mu za złe „dziwność" jego twórczości. Nie rozumieli jej niezwykłości, a przecież na tym zasadza się poezja. W 1950 r. na V Zjeździe Związku Literatów Polskich poeta został zaatakowany przez Adama Ważyka, który zażądał, by oczyścił swoją poezję z burżuazyjnych smaczków i pięknostek, z cygańskich i barokowych ozdobników. By zamknął swój kramik mieszczańskiego inteligenta, z antycznymi bogami, pstrokacizną cudzoziemskich słówek i antyfilisterskimi facecjami. A najlepiej, żeby ukręcił łeb „rozwydrzonemu kanarkowi", który zagnieździł się w jego wierszach. „Kanarkowi można łeb ukręcić, ale wtedy wszyscy zobaczą klatkę. Co zrobić z klatką, koledzy?", ripostował poeta. Mimo złożonej samokrytyki i prorządowych peanów Gałczyński

Wielu miało mu za złe „dziwność" jego twórczości. Adam Ważyk żądał, by oczyścił swoją poezję z burżuazyjnych smaczków i pięknostek.

eprasa.pl f46a69fb42

trafił do czyśćca. Przez półtora roku nie był drukowany. W tym czasie jednak napisał w Praniu wiele świetnych utworów, takich jak „Kronika olsztyńska", „Niobe" czy „Wit Stwosz".

Nie uważa pan, że obecnie poezja Gałczyńskiego jest trochę zapomniana?

– Jest ciągle jednym z najczęściej komentowanych i interpretowanych poetów XX w. Niestety, nie sprzyjają Gałczyńskiemu nowe programy nauczania w szkole. Jego utwory zniknęły z listy lektur obowiązkowych. Ale cały czas trzymają go przy życiu piosenki skomponowane do jego wierszy, wykonywane przez Marka Grechutę („Ocalić od zapomnienia"), Kult („Ballada o dwóch siostrach" i „Śmierć poety") i Grzegorza Turnaua („Kryzys w branży szarlatanów" i „Liryka") czy utwory śpiewane przez Fisza, Michała Bajora i Annę Marię Jopek. Sieć jest ich pełna. I warto pamiętać, że kiedy śpiewamy „Odę do radości" Schillera, hymn Unii Europejskiej, śpiewamy ją w tłumaczeniu Gałczyńskiego.

Dużym wzięciem cieszą się też miłosne wersy, wykorzystywane w zaproszeniach ślubnych. Może też generalnie poezja przestała być sexy. Czyta ją zaledwie 3-5% odbiorców literatury.

– Poezja zawsze była niszowa, bo wymaga od czytelników uważności. A w naszych rozpędzonych czasach przegrywa z internetem, mediami społecznościowymi, nowymi technologiami. Poezję trudno się scrolluje.

À propos technologii. Dynamicznie rozwijającą się sztuczna inteligencja wchodzi już na rynek zawodów kreatywnych. Konkuruje z człowiekiem, siejąc postrach. Już dziś AI pisze bestsellerowe powieści, poezję. Wyobraża pan sobie sytuację, że AI po analizie wszystkich dzieł Gałczyńskiego zaczyna pisać jak poeta?

– Chcę być optymistą, więc nie, nie wyobrażam sobie tego. Mam nadzieję, że AI nigdy nie zastąpi prawdziwej poezji.

Powinniśmy na nowo odczytać poezje Gałczyńskiego, bez kontekstu politycznego i wyższości moralnej ludzi, którzy doświadczyli łaski późnego urodzenia?

– Poezja Gałczyńskiego jest tak niepodobna do twórczości innych, że przetrwa próbę czasu. Pozostanie z niej to, co najlepsze, a utwory motywowane ideologicznie zostaną zapomniane. Uwikłany w politykę geniusz otrzyma rozgrzeszenie. Jego twórczość świetnie rezonuje z naszymi czasami, pełnymi chaosu i lęku przed końcem cywilizacji. Musimy jakoś sobie radzić w coraz bardziej oszalałym świecie, a jeśli czegoś nie można oswoić czy pokonać, zawsze można, jak Gałczyński, skryć się za tarczą ironii, groteski i śmiechu. To wszystko u niego znajdziemy.

Teresa Sołtysiak

Poezja Gałczyńskiego jest tak niepodobna do twórczości innych, że przetrwa próbę czasu.

eprasa.pl f46a69fb42

100 rozstań na dobę

FOT. ANNA RUSIŁKO/ MALTA FESTIVAL, JULIA KARCZEWSKA/ MALTA FESTIVAL, KALINA SZAJBE/ MALTA FESTIVAL

eprasa.pl f46a69fb42

Za nami kolejny Malta Festival. Kulminacyjnym momentem programu teatralnego był spektakl „The Second Woman". To 24-godzinny eksperyment na jedną aktorkę i 100 towarzyszących jej partnerów. Magdalena Cielecka odegrała tę samą scenę rozstania 100 razy, za każdym razem z innym mężczyzną. Aktorzy zostali wyłonieni w drodze otwartego naboru, zgłosiło się 705 chętnych. Każda odsłona trwała ok. 10 minut, bez prób i wcześniejszych ustaleń, a partner musiał zdecydować, które zdanie wypowie: „Zawsze cię kochałem" albo „Nigdy cię nie kochałem". Spektakl powstawał na żywo, a jego przebieg pozostawał nieprzewidywalny. Magdalena Cielecka w wywiadzie dla „Newsweeka" tłumaczyła wcześniej: „Przez 24 godziny będę na scenie, w tych samych butach, w tych samych ciuchach, w tym samym makijażu. Sto razy otworzę drzwi, za którymi za każdym razem będzie stał inny mężczyzna. To będzie eksperyment fizyczny, ale i emocjonalny. Wyobrażam sobie, że wytworzą się na tę krótką chwilę mikrowięzi. Wyobrażam sobie, że z jednym partnerem będzie mi się grało dobrze, a z innym w ogóle nie, a jeszcze inny będzie mnie irytował. Nieprzewidywalność jest wpisana w ten projekt i dlatego jest taki fascynujący".

(mg)

WYDARZENIE

32. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Eliane Elias Trio

Trudno o lepszą propozycję na lipcowy wieczór – królowa bossa novy, ikona jazzu, brazylijska pianistka, wokalistka, kompozytorka i aranżerka wyróżnia się wyjątkowym stylem muzycznym i jednym z najbardziej rozpoznawalnych brzmień. Należy do najbardziej wszechstronnych i przełomowych artystek jazzu i muzyki brazylijskiej. Na koncie ma nagradzane albumy, wśród nich kamienie milowe muzyki, płyty nagrane z takimi sławami jak Chick Corea, Herbie Hancock i Chucho Valdés. Usłyszymy jej ostatni album „Time and Again", który otrzymał nominację do Grammy 2025 w kategorii Najlepszy album jazzowy w stylu latino.

Więcej na: jazznastarowce.pl, facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 11 lipca, godz. 19 *(ap)*

KURTYNA W GÓRĘ

Tokarczuk w Polskim

Proza Olgi Tokarczuk coraz częściej trafia na scenę. Reżyserzy garną się do niej, znajdując dla siebie pole do popisu, a dialogowa struktura niektórych opowiadań ułatwia sprawę. Tak jest w przypadku „Próby generalnej", o konfrontacji człowieka z niezależną od niego katastrofą, napisanej jak słuchowisko, składające się wyłącznie z dialogów. Adaptator miał tu niewiele do roboty, poza tym, że parę heteroseksualną zamienił na homoseksualną. Była to jednak zmiana kosmetyczna, bo spięcia męsko-damskie i męsko-męskie niczym się nie różniły.

Paradoksalnie to pierwsza część spektaklu „Otwórz oczy", oparta na opowiadaniu „Otwórz oczy, już nie żyjesz", dawała większą przestrzeń do własnych poszukiwań. Trzeba było bowiem dość kapryśną prozę dostosować do wymagań sceny. To znaczy znaleźć sposób, aby unaocznić ingerencję czytelniczki w świat czytanej książki kryminalnej, nie niwecząc owego świata fikcji. Udało się to Igorowi Gorzkowskiemu znakomicie, dzięki czemu widz obserwuje grę między światem pisarki a domniemanym światem czytelniczki jej powieści, wnikając jednocześnie w subtelności techniki pisarstwa kryminalnego. Bardzo to zabawne przedsięwzięcie, wręcz mistrzowsko poprowadzone przez aktorów, z Anną Cieślak – niecierpliwą czytelniczką na czele. Za partnerów ma grupę koryfeuszy powieści kryminalnej z kilku krajów oraz dociekliwego komisarza policji (Henryk Niebudek).

Tomasz Miłkowski

„Otwórz oczy" według Olgi Tokarczuk, reżyseria Igor Gorzkowski, Mała Scena Teatru Polskiego im. A. Szyfmana, premiera 21 maja 2026

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tatiana de Rosnay

Na zawsze Manderley

tłum. Joanna Polachowska
Albatros, Warszawa 2026

Kornwalia zauroczyła najpierw Daphne du Maurier, potem wyraźnie jej biografkę, a i czytelnik nie oprze się tęsknocie do krainy, bez której dorobek autorki „Oberży na pustkowiu", „Zatoki Francuza", no i oczywiście „Rebeki", wyglądałby zupełnie inaczej. Bo potrzeba pisania pewnie i tak byłaby niepowstrzymana – wszystko pchało siostry du Maurier, wnuczki pisarza, córki sławnego aktora teatralnego, który tyle opowiadał Daphne o dziadku i jego życiu w Paryżu, w stronę świata wyobraźni. A w rodzinie znalazł się też autor „Piotrusia Pana"… Ale to Kornwalia dała ten decydujący impuls i to tam Daphne odkryła posiadłość, która posłużyła za wzór przesiąkniętego obecnością Rebeki Manderley. Za „Rebekę" w Stanach wytoczono pisarce proces o plagiat; ekranizacją „Oberży na pustkowiu" Hitchcock mocno jej podpadł – same wydarzenia układają się w fascynującą opowieść, lecz najbardziej ujmuje empatycznie pokazana osobowość du Maurier, której alter ego z dzieciństwa był bohaterski Eric Avon.

Aleksandra Pańko

Steven Price

Książę Lampedusy

tłum. Maciej Stroiński
Czarne, Wołowiec 2026

Powieść Stevena Price'a „Książę Lampedusy" to niezwykle elegancki, gęsty i nostalgiczny portret Giuseppe Tomasiego – ostatniego księcia Lampedusy, twórcy kultowego „Geparda". Autor przenosi nas do lat 50. XX w., narodzin ery la dolce vita, i skąpanej w słońcu powojennej Sycylii, gdzie pośród niszczejących pałaców starszy, schorowany arystokrata mierzy się z widmem zapomnienia. Jest nieco melancholijnie, ale i z humorem, dla italofilów pozycja obowiązkowa.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. DAWID STUBE, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl f46a69fb42

Skrajna prawica wojuje z reprezentacją

Futbol stał się jednym z pól walki o to, czym jest francuska tożsamość

Tomasz Skowronek

Kiedy Kylian Mbappé krytykuje Marine Le Pen, we Francji wybucha polityczna burza. Nie dlatego, że kapitan reprezentacji po raz pierwszy zabiera głos. Od ponad czterech dekad francuska skrajna prawica pozostaje w konflikcie z drużyną narodową, którą postrzega jako symbol wielokulturowej Francji. Począwszy od ataków Jeana-Marie Le Pena na pokolenie Zinédine'a Zidane'a, a na starciach wywołanych przez Mbappégo skończywszy – futbol stał się jednym z głównych pól walki o to, czym właściwie jest francuska tożsamość.

Reprezentacja Francji w półfinale Euro 2024. U góry od lewej: Dayot Upamecano, Adrien Rabiot, Randal Kolo Muani, Aurélien Tchouaméni, Mike Maignan i William Saliba. U dołu od lewej: Théo Hernandez, Jules Koundé, N'Golo Kanté, Ousmane Dembélé i Kylian Mbappé. Monachium, 9 lipca 2024 r.

Mbappé w politycznej grze

W maju br. w wywiadzie udzielonym „Vanity Fair" Kylian Mbappé przyznał, że z niepokojem patrzy na możliwość zwycięstwa Zjednoczenia Narodowego (RN) w wyborach prezydenckich w 2027 r. „Wiem, co oznaczałoby przejęcie władzy przez takich ludzi i jakie mogłoby mieć konsekwencje dla mojego kraju", mówił. Kapitan francuskiej reprezentacji podkreślił jednocześnie, że piłkarze mają takie samo prawo do zabierania głosu w sprawach publicznych jak wszyscy inni obywatele. Reakcja liderów RN była natychmiastowa. Jordan Bardella zakpił z decyzji Mbappégo o odejściu z Paris Saint-Germain do Realu Madryt tuż przed wygraniem przez paryski klub po raz pierwszy Ligi Mistrzów. W podobnym tonie wypowiedziała się Marine Le Pen.

Sam spór nie był jednak niczym nowym. Mbappé już podczas kampanii przed przyśpieszonymi wyborami parlamentarnymi w 2024 r. ostrzegał przed sukcesem skrajnej prawicy. Mówił wówczas, że nie chce żyć w kraju rządzonym przez polityków, których poglądy stoją w sprzeczności z jego wartościami. Jeszcze ostrzej wypowiedział się jego kolega z reprezentacji Marcus Thuram. Syn mistrza świata Liliana Thurama stwierdził, że przeciwstawienie się zwycięstwu RN jest obywatelskim obowiązkiem. Obaj piłkarze natychmiast znaleźli się w centrum medialnej i politycznej burzy.

Ale nie chodziło wyłącznie o ich poglądy. Dla części francuskiej prawicy Mbappé stał się symbolem współczesnej Francji: wieloetnicznej, wielokulturowej i dumnej ze swojej różnorodności. A właśnie taki obraz kraju od dziesięcioleci budzi sprzeciw skrajnej prawicy.

Napięte relacje między nią a narodową jedenastką nie zaczęły się wraz z Mbappém. Ich źródeł szukać należy w latach 80. i 90. XX w., kiedy Jean-Marie Le Pen uczynił kwestie imigracji i francuskiej tożsamości centralnym elementem swojej polityki. Założyciel Frontu Narodowego wielokrotnie krytykował skład reprezentacji, twierdząc, że nie odzwierciedla ona „prawdziwej Francji". W 1996 r. narzekał na obecność w niej zawodników pochodzenia afrykańskiego i arabskiego, sugerując, że drużyna została skonstruowana sztucznie.

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl f46a69fb42

Ale francuski futbol od dawna był odbiciem historii migracyjnej kraju. Raymond Kopa (wł. Rajmund Kopaszewski), jedna z największych gwiazd lat 50., był synem polskich imigrantów. Michel Platini miał korzenie włoskie. Rodzice Zinédine'a Zidane'a, Kabyla z pochodzenia, wyemigrowali z Algierii. Dzisiaj zaś największą gwiazdą reprezentacji jest Mbappé, którego ojciec pochodzi z Kamerunu, a matka ma korzenie algierskie.

Le Penowie nigdy nie ukrywali również dystansu do samego futbolu. Marine Le Pen wielokrotnie podkreślała, że zdecydowanie bardziej interesuje ją rugby. Krytykowała też środowisko zawodowej piłki nożnej jako zbyt bogate, oderwane od rzeczywistości i podatne na skandale.

Po kompromitacji drużyny narodowej podczas mundialu w Republice Południowej Afryki w 2010 r., gdy zawodnicy odmówili udziału w treningu po konflikcie z selekcjonerem Raymondem Domenechem, Marine Le Pen oskarżała zespół o tworzenie „klanów etnicznych i religijnych". Wpisywało się to w szerszą narrację skrajnej prawicy przedstawiającą francuski futbol jako dowód rzekomej porażki integracji.

Mundial 1998 i mit „Black, Blanc, Beur"

Punktem zwrotnym był jednak mundial w 1998 r. Francja po raz pierwszy zdobyła mistrzostwo świata, pokonując w finale Brazylię. Bohaterem turnieju został Zinédine Zidane, który zdobył dwa gole w meczu finałowym. Niemal natychmiast reprezentacja została ogłoszona symbolem nowej Francji. Media ukuły wtedy hasło „Black, Blanc, Beur" – Francja czarna, biała i arabska. Drużyna, której selekcjonerem był Aimé Jacquet, miała ucieleśniać republikański ideał integracji: kraj, w którym dzieci imigrantów mogą się stać bohaterami narodowymi. Miliony Francuzów świętowały zwycięstwo jako triumf wspólnoty ponad podziałami etnicznymi czy religijnymi. Dla wielu był to jeden z najważniejszych od dziesięcioleci momentów narodowej jedności. Ówczesny premier Francji Lionel Jospin pytał: „Czy może być lepszy przykład naszej jedności w różnorodności niż ta wspaniała drużyna?".

Jean-Marie Le Pen widział to zupełnie inaczej. Twierdził, że skład reprezentacji zbyt mocno odbiega od tradycyjnego wyobrażenia francuskiej tożsamości. To wtedy konflikt między skrajną prawicą a reprezentacją nabrał wymiaru symbolicznego. Les Bleus przestali być wyłącznie drużyną piłkarską. Stali się politycznym symbolem Francji otwartej i różnorodnej.

Problemów integracyjnych sukces drużyny Zidane'a nie rozwiązał – pokazały to zamieszki na przedmieściach w 2005 r., narastające debaty wokół islamu i kolejne kontrowersje związane z reprezentacją. Mit „Black, Blanc, Beur" pozostał ważnym symbolem, ale coraz częściej wskazywano, że bardziej opisywał aspiracje francuskiego społeczeństwa niż jego rzeczywistość.

Od Zidane'a do Mbappégo

Po mundialu z 1998 r. kolejni piłkarze coraz częściej zabierali głos w sprawach publicznych. Już podczas wyborów prezydenckich w 2002 r., gdy Jean-Marie Le Pen niespodziewanie awansował do drugiej tury, Zidane apelował o odrzucenie Frontu Narodowego, a 15 lat później wsparł mobilizację przeciwko skrajnej prawicy podczas pojedynku kandydatów na prezydenta, Emmanuela Macrona i Marine Le Pen.

Jeszcze bardziej zaangażowany był Lilian Thuram, który po zakończeniu kariery stał się jednym z najbardziej znanych działaczy antyrasistowskich we Francji. Regularnie przypominał o kolonialnej historii kraju i problemach związanych z dyskryminacją.

Jednocześnie piłkarze stawali się celem coraz ostrzejszych ataków. Szczególnie mocno odczuł to Zidane. W latach 90. środowiska związane z Frontem Narodowym próbowały podważać jego „francuskość", odwołując się do algierskiego pochodzenia jego rodziny. Przed meczem towarzyskim Francji z Algierią w 2001 r. otrzymywał groźby śmierci. Podczas spotkania część kibiców wykrzykiwała pod jego adresem obelgi.

Podobne doświadczenia miał później Karim Benzema. Napastnik przez lata znajdował się w centrum debat dotyczących integracji, islamu i lojalności wobec Francji. Regularnie krytykowano go za to, że nie śpiewa „Marsylianki" (tłumaczył: „Jeśli się wsłuchać, »Marsylianka« to wezwanie do wojny"), choć wcześniej nie robił tego także np. Platini. Wokół Benzemy narosły jednak dodatkowe kontrowersje. Wychowany na przedmieściach Lyonu, syn algierskich imigrantów, otwarcie mówił o swoim przywiązaniu do obu części tożsamości. Zarazem wielokrotnie podkreślał dumę z reprezentowania Francji.

W 2023 r. francuski minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin oskarżył Benzemę o związki z Braćmi Muzułmanami. Zarzuty nie zostały udowodnione, ale wywołały ogromną polityczną i medialną burzę. Prawnik piłkarza zapowiedział wówczas podjęcie kroków prawnych przeciwko ministrowi. Sam Benzema kilka lat wcześniej trafnie podsumował swoje doświadczenia słowami: „Kiedy strzelam gole, jestem Francuzem. Kiedy nie strzelam, jestem Arabem". To zdanie dobrze oddaje problem, z którym od dekad mierzą się piłkarze reprezentacji Francji.

Dziś wydaje się, że historia zatoczyła koło. Mimo sukcesów reprezentacji i triumfu na mundialu w 2018 r. kandydaci skrajnej prawicy ponownie wykorzystują futbol jako narzędzie politycznej mobilizacji. Zmienili się tylko bohaterowie. Zinédine'a Zidane'a zastąpił Kylian Mbappé. Jeana-Marie Le Pena – Marine Le Pen i Jordan Bardella. Stawka pozostała ta sama. Spór nie dotyczy wyłącznie piłki nożnej. Chodzi o pytanie, czym jest współczesna Francja i kto ma prawo ją reprezentować.

Dlatego za każdym razem, gdy Mbappé powie coś na tematy polityczne, wywołuje to we Francji tak silne emocje. W oczach części społeczeństwa nie jest on jedynie kapitanem reprezentacji. Jest także symbolem kraju, o którego kształt od 40 lat toczy się wojna.

Tomasz Skowronek

eprasa.pl f46a69fb42

VAR kiepski, Niemcy fatalni

Dramaty i sensacje fazy pucharowej mundialu

Wojciech Kuczok

Matías Galarza w akcji z Waldemarem Antonem podczas meczu Niemcy-Paragwaj, 29 czerwca 2026 r.

Era VAR zapowiadała się jako nowy, wspaniały świat futbolu, bez omyłek sędziowskich, korygowanych odtąd przez nieludzko precyzyjne czujniki i oko kamery, któremu miało nic nie umknąć. Ten mundial pokazuje jak żaden inny turniej, że jest dobrze, a nawet beznadziejnie, bo wszystko i tak pozostaje kwestią sędziowskiej interpretacji.

Wiele drużyn zostało już skrzywdzonych przez opaczne odczytanie VAR-owskich powtórek, ale żadna nie przeżyła takiego dramatu jak Chorwaci. Kiedy kolejny z armii żwawych weteranów mundialowych, 37-letni Ivan Perišić zdobył osiem minut po przerwie gola, wydawało się, że dość niemrawa w pierwszej połowie Chorwacja złapie wiatr w żagle i sprawi Portugalczykom psikusa. Ale kilka minut później sędziowie uznali, że należy rozpatrzyć pod kątem ewentualnej jedenastki bardzo niejednoznaczne starcie w polu karnym Chorwatów. I tu jest pies pogrzebany: gremium VAR-owskie, zamiast służyć korekcie ewidentnych przeoczeń i błędów głównego arbitra, stało się dyskusyjnym klubem filmowym, w którym dysponujący ujęciami z kilku kamer panowie szukają dziury w całym i nierzadko przywołują sędziego do nibyfauli, których nawet sami piłkarze nie zauważają. A sędzia, kiedy już pobiega do monitora, pod presją i sugestią swoich wideoasystentów często dostrzega coś, czego nie widać – wpatruje się w stopklatkę na ekranie, przygląda sytuacji w różnych kadrach i szuka nowych sensów niczym Grzegorz Królikiewicz na swoich słynnych zajęciach z analizy filmu w łódzkiej Filmówce. Potem dyktuje karne, które dyplomatycznie nazywane są miękkimi, lecz w istocie mają twarde konsekwencje. Jak ten, wykorzystany przez Cristiana Ronalda, wciąż nienasyconego grą i łasego na gole – chwilę wcześniej minimalnie spalił przy zdobyciu nieuznanej bramki.

Interpretacyjna nadprodukcja rzutów karnych z powodu wydumanych fauli i przypadkowych zagrań ręką jest jednak niczym wobec chwili, gdy człowiek wbrew rozumowi i sprawiedliwości ulega automatycznym werdyktom sztucznej inteligencji. Sędzia tak się głowił nad powtórkami, że mecz przedłużył o 19 minut, a w tej pozaregulaminowej dogrywce najpierw Gonçalo Ramos trafił prawidłowo dla Portugalii, a w ostatnich sekundach doliczonego czasu równie legalnie wyrównał Igor Matanović. Dziki szał radości Chorwatów, którzy urwali się ze stryczka, zgasił jednak czip w piłce, który uznał, że otarcie piłki kosmykiem włosów to podanie głową, i w konsekwencji wywołał pozycję spaloną. Cały świat widział na powtórce, że Chorwat nie dotknął piłki, nie zmienił jej lotu, gdyby miał łysą pałę, futbolówka przeleciałaby kilka centymetrów nad nim – sędziemu jednak zabrakło odwagi, by podważyć fałszywy alarm czujnika, dym ze świeczki na torcie uznał za pożar i okradł Chorwatów z gola.

To nie jest wina fryzjera, za tę decyzję odpowiedzialność ponosi arbiter, którego duch gry opuścił – widzę tu analogię z decyzją Szymona Marciniaka, który przed rokiem w derbach Madrytu na poziomie Ligi Mistrzów nie uznał karnego Alvareza, który jakoby dwukrotnie dotknął piłki, oddając strzał. Technologia, która miała być służebną, sterroryzowała futbol.

Dramatów w jednej szesnastej piłkarskich mistrzostw świata ze zwrotami akcji w ostatnich chwilach było więcej. Drużyny z Afryki Subsaharyjskiej, które w komplecie wyszły z grup, teraz zaczęły seryjnie odpadać w konfrontacjach z Europejczykami. Norwegowie pokonali

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl f46a69fb42

Iworyjczyków po wyrównanym meczu, w którym języczkiem u wagi okazał się Erling Haaland. Ten napastnik ma absolutnie szalone statystyki, więcej goli niż rozegranych meczów w kadrze; trafia nawet wtedy, gdy zamiast strzelać, nieudolnie próbuje przyjąć piłkę – tak się stało w decydującym momencie meczu.

Geniuszem błysnął Harry Kane i właściwie w pojedynkę przepchał Wyspiarzy do dalszych gier.

O tym, że są napastnicy, którzy nawet gdy strzelają, wychodzi im nieudolne podanie, świadczy zaś pudło stulecia Fabiana Riedera, na szczęście bez konsekwencji dla Szwajcarów, przy korzystnie rozstrzygniętym już meczu z Algierią – okazuje się, że i z 5 m do pustej bramki można nie trafić.

Anglicy z kolei długo cierpieli w meczu z Demokratyczną Republiką Konga, przegrywali od pierwszych minut, ale kwadrans przed końcem dwukrotnie błysnął geniuszem Harry Kane i właściwie w pojedynkę przepchał Wyspiarzy do dalszych gier. Senegal był jeszcze bliżej awansu, cztery minuty przed końcem prowadził z Belgią dwiema bramkami, ale najpierw Romelu Lukaku podał swoim rodakom tlen, a chwilę potem golkiper Afrykańczyków skiksował przy próbie piąstkowania. Powiedzieć, że Belgowie wrócili z dalekiej podróży, to nic nie powiedzieć, oni się wykopali z grobu, gdy ksiądz już z pełną kabzą za ostatnie pożegnanie truchtał na parafię. W dogrywce Senegalczycy z poobijanym morale chcieli dociągnąć do serii jedenastek, ale w ostatniej minucie znowu, a jakże, miękki karny z VAR – i egzekutor Tielemans zabrał im nadzieję. Ironia losu sprawiła, że Belgów uratowali gracze kongijskiego pochodzenia.

Nic natomiast nie mogło uratować kadry Juliana Nagelsmanna. Moi dziadkowie z Wehrmachtu przewracają się w grobach, tak słabego Mannschaftu świat jeszcze nie widział! Paragwaj grał swój parafutbol, to był przeciwnik do obowiązkowego ogrania, nawet jeśli Niemcy mieli akurat dzień kryzysowy, nasi zachodni sąsiedzi naprawdę w pocie czoła wystarali się o to, by odpaść. To trzeci z rzędu mundial, na którym nie są w stanie przejść do jednej ósmej, na dwóch poprzednich nawet nie wyszli z grupy. Jakby po sławetnym Mineirazo, najpewniej najlepszym meczu w historii reprezentacji i zarazem największej klęsce piłkarskiej Brazylii, jakiś szaman czarnej makumby obłożył Niemców klątwą. Niemoc i nieudolność w ofensywie, chaos w obronie – a nade wszystko dojmujący brak solidności. Niemiecka niesolidność? Piekło zamarzło.

Z przodu Nagelsmann pod naciskiem opinii publicznej wystawił od początku Undava, no i wyszło na jego, bo choć napastnik kurdyjskiego pochodzenia doskonale sprawdzał się jako joker, grając w pierwszym składzie już nic nie wskórał. Musiala też Niemców nie zbawił, ani Woltemade, wyglądający jak nieślubne dziecko Rudiego Völlera i Heike Drechsler – z każdą zmianą Niemcy grali coraz gorzej, ale przed karnymi można było jednak się łudzić, że zachowają zimną teutońską krew. Tyle że do decydującego karnego nie miał kto podejść, bo trener wyznaczył tylko piątkę do strzelania. Żaden z piłkarzy nie był przygotowany na ten moment, w końcu odpowiedzialność wziął na siebie stoper Bayernu Jonathan Tah, który w swojej 30-letniej karierze nigdy nie wykonał jedenastki. Ordnung kaputt. Tah trafił w dah. Niemcy pojechali do domu.

Można by za sensację uznać odpadnięcie na tak wczesnym etapie Holendrów, gdyby nie to, że przegrali w karnych z Marokiem, które wydaje się jeszcze mocniejsze niż przed czterema laty, to w ogóle chyba najsilniejsza afrykańska drużyna w historii. Marokańczycy byli o krok od pożegnania z turniejem po golu, który strzelił Cody Gakpo, przeżywający osobistą tragedię, bo dzień wcześniej jego partnerka poroniła – popłakał się chłopak po tym golu, drużyna go wsparła i właściwie z czysto ludzkiego, a także dramaturgicznego punktu widzenia Holendrom ten awans się należał. Ale gapiostwo Virgila van Dijka sprawiło, że mecz się przeciągnął do karnych, a tam silniejsi psychicznie byli gracze z Maghrebu.

Gospodarze awansowali w komplecie do dalszych gier, ale dla dobra futbolu wolałbym ich już nie oglądać w fazie ćwierćfinałowej. Kanada wygrała z RPA po absolutnie nieznośnym, najsłabszym meczu turnieju, Meksyk wykorzystał kryzys Ekwadoru (potężne rozczarowanie, są piłkarze, ale nie ma drużyny – na papierze to jedna z najsilniejszych linii defensywnych na świecie, ale Caicedo, Pacho i Hincapié nawet nie zbliżyli się do poziomu, jaki reprezentują w topowych klubach europejskich, a ten ostatni zapisał się jeszcze w annałach frajerską czerwoną kartką (za zasłanianie ust).

Amerykanie zmakdonaldyzują piłkę nożną, bo czego się dotkną, zmieniają w tandetę.

Amerykanie nie mogli odpaść z kiepściutką Bośnią i Hercegowiną, pokonali rywali, zdobywając decydującego gola podczas gry w osłabieniu. Jeśli Jankesi coś zwojują na mundialu i w końcu zarażą swój kraj miłością do soccera, marnie widzę los kibiców z Europy. Pomijając dokuczliwą dla nas różnicę czasu, Amerykanie zmakdonaldyzują piłkę nożną, bo czego się dotkną, zmieniają w tandetę, stworzą superkomercyjną superligę dla najbogatszych, z której nikt nie spadnie, za to hydration breaks się rozmnożą i wydłużą, żeby gawiedź miała przerwę na burgera i siku, a sponsorzy czas reklamowy. Zgiń, przepadnij, maro, niechże dzisiaj w nocy ta Belgia ich powstrzyma w ćwierćfinale, zwłaszcza że gospodarzom zabraknie najbardziej błyskotliwego napastnika – Folarin Balogun będzie pauzował za czerwoną kartkę.

Wojciech Kuczok

eprasa.pl f46a69fb42

ODZYSKAĆ DZIECKO

W Japonii uprowadzenie rodzicielskie na terytorium kraju nie jest uznawane za przestępstwo

Dominika Giordano

Jednym z najtrudniejszych momentów w pracy konsula* były dla mnie rozmowy z rodzicami porwanych dzieci – dzieci uprowadzonych przez drugiego rodzica. Co powiedzieć osobie, która mieszka w obcym kraju, a jej mąż lub żona zabiera dziecko i znika, władze tego państwa zaś na to nie reagują? Niby osoba ta zdecydowała się na zamieszkanie w państwie o odmiennym systemie prawnym, zwyczajach i kulturze, powinna zatem poddać się jurysdykcji „państwa przyjmującego". W takich przypadkach zakres pomocy konsula ograniczony jest ramami określonymi przez prawo międzynarodowe. Konsul nie ma uprawnień do podejmowania działań, które mogłyby ingerować w wewnętrzne sprawy państwa.

Jak jednak można nie próbować działać w takiej sytuacji? Oczywiście, że starałam się poruszyć niebo i ziemię, pukałam do wielu drzwi, wysyłałam pisma, spotykałam się z ludźmi, monitorowałam sytuację… Ale zawsze działaniom tym towarzyszyło poczucie bezsilności, świadomość, że dopóki nie zmienią się mentalność tego narodu i system prawny, nie będę w stanie nic zrobić. W każdej takiej sprawie towarzyszyły mi ogromna frustracja i smutek w obliczu wielkiej tragedii rozgrywającej się w biały dzień i za przyzwoleniem prawa.

W prawie międzynarodowym problem uprowadzeń dzieci za granicę reguluje konwencja haska, która określa zasady postępowania w takiej sytuacji. Rodzice pragnący odzyskać kontakt lub opiekę nad dziećmi mogą się na nią powołać, a organy państwa, do którego zostało uprowadzone dziecko, powinny podjąć odpowiednie działania.

Japonia długo miała opory, by do konwencji haskiej przystąpić. Dlaczego? Ano głównie dlatego, że Japończycy chcą robić rzeczy po swojemu i strzegą swoich zasad. Oficjalnie na przeszkodzie stało prawo japońskie, które w osobliwy sposób podchodzi do kwestii rozwodu i opieki nad dziećmi. W Japonii, kiedy małżeństwo kończy się rozwodem, prawo do wyłącznej opieki nad dziećmi otrzymuje tylko jeden rodzic, najczęściej jest nim matka. Drugi rodzic, czyli zazwyczaj ojciec, nie musi płacić alimentów, czyli nie ponosi obciążeń, ale także nie ma zupełnie

> Japończycy chcą robić rzeczy po swojemu i strzegą swoich zasad.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f46a69fb42

żadnych praw w stosunku do swojego potomstwa. Japońskie prawo jest trudne do zrozumienia bez kontekstu kulturowego. Tu chyba najbardziej jaskrawo widać, jak bardzo sposób japońskiego myślenia różni się od myślenia w innych rejonach świata.

Pod naciskiem społeczności międzynarodowej i m.in. grupy ds. konwencji haskiej, do której należałam, w 2014 r. Japonia do konwencji haskiej przystąpiła. Aktywną rolę w tym procesie odegrała strona amerykańska. Jestem wdzięczna piastującemu wtedy stanowisko konsulowi amerykańskiemu za wszelką pomoc, jakiej mi udzielił, by wprowadzić mnie w tę tematykę, i wsparcie w działaniach mających na celu odzyskanie dzieci polskich obywateli. Spory powstałe od tamtego momentu podlegają konwencji, ale rodzice, którzy utracili dzieci przed tą datą, często do dziś toczą batalię o ich odzyskanie.

Zatem jeśli małżeństwo polsko-japońskie mieszkało razem w Polsce lub gdzieś indziej na świecie, a po rozwodzie rodzic Japończyk po cichu wywiózł dzieci do swojego kraju, albo nawet zrobił to bez rozwodu (np. pewnego dnia pod pozorem odwiedzenia babci w Japonii wyjechał, zabrał dzieci i nigdy nie wrócił…) – w takiej sytuacji można dochodzić swoich praw do opieki nad dziećmi na podstawie konwencji haskiej.

W Japonii, kiedy małżeństwo kończy się rozwodem, prawo do opieki nad dziećmi otrzymuje jeden rodzic, najczęściej matka.

Gorzej jest, jeśli dochodzi do uprowadzenia dziecka, ale w obrębie jednego kraju. Wtedy trudno jest zastosować konwencję haską i wchodzi w grę tylko prawo miejscowe. A w Japonii uprowadzenie rodzicielskie na terytorium kraju nie jest uznawane za przestępstwo, co czyni walkę o prawa drugiego rodzica jeszcze trudniejszą.

Kiedyś przyszła do konsulatu pewna Polka, lekko zagubiona, sama nie za bardzo wiedziała, co dokładnie się stało. Przecież z mężem się kochali, niedawno kupił jej taką drogą torebkę w prezencie, byli razem na wakacjach… A potem wyjechała na chwilę do Polski, ponieważ jej mama była chora. Kiedy wróciła, ich piękny dom był pusty. Początkowo myślała, że zostali okradzeni. Zadzwoniła do męża, ale nie odbierał. Wieczorem nie wrócił do domu. W szkole córki powiedziano jej, że dziewczynkę zabrał tata. Później okazało się, że przeniesiono ją do innej szkoły – jakiej, matka nie mogła się dowiedzieć. Wyszło na to, że nie ma prawa do opieki nad dzieckiem, ponieważ po rozwodzie wyłącznym opiekunem został ojciec.

„Ale zaraz… jakim rozwodzie? Przecież ja się nie rozwodziłam”, mówiła kobieta. Wizyta w miejscowym urzędzie miejskim wyjaśniła wątpliwości. Dnia tego i tego złożono dokumenty rozwodowe z pieczęciami

eprasa.pl f46a69fb42

obu stron. Na wyłącznego opiekuna córki strony zgodnie wyznaczyły ojca – tym samym kobieta straciła wszelkie prawa do opieki nad córką.

Próbowała ponownie skontaktować się z byłym mężem – bezskutecznie. Poszła do pracy męża, ale została wyrzucona. Pójście na policję nie przyniosło rezultatu – przecież dokument został przez nią podpisany (czyli podpieczętowany) i przekazała wyłączne prawo opieki ojcu.

Musicie wiedzieć, że Japończycy nie podpisują dokumentów odręcznie, tylko przybijają swoją personalną pieczątkę, *hanko*. To rodzaj małego stempelka zawierającego podpis, który rejestruje się w urzędzie. Nieraz *hanko* bywało powodem problemów Polaków, z którymi miałam do czynienia w Japonii. Czasami ich japońscy małżonkowie, chcący się potajemnie rozwieść, wykradali *hanko* partnera i przybijali pieczątkę na dokumentach rozwodowych. Doprowadza to do sytuacji, że człowiek nawet nie wie, że jest już po rozwodzie. Ba, czasem dzieje się to nawet wtedy, kiedy rozwód nie był wspólnie planowany.

Trochę czasu upłynęło, zanim sąd orzekł, że dokument rozwodowy został sfałszowany. Z pieczęcią *hanko* jest tak, że nie da się podważyć jej autentyczności, tak jak przy pomocy grafologa można udowodnić fałszerstwo podpisu. Trzeba wykazać, że ktoś inny posłużył się osobistą pieczęcią. Kobieta zatem wykazała, że w dniu, kiedy wniosek o przeprowadzenie rozwodu został złożony w urzędzie, nie było jej w Japonii. Mąż musiał użyć jej pieczęci, przecież wiedział, gdzie ją trzymała, i podstemplować za nią papier.

Mając orzeczenie sądu o nieważności rozwodu, ponownie poszła na policję, ale opieszale zajmowano się sprawą, więc rozpoczęła poszukiwania córki na własną rękę. Wynajęła detektywa, pytała, szukała. W końcu ustaliła, do jakiej szkoły chodziła córka. Poszła się z nią zobaczyć, ale dziewczynka zaczęła płakać na jej widok, nie chciała z nią rozmawiać. Mąż nastawił dziecko przeciwko matce i mała po prostu się jej bała. W międzyczasie mąż zdobył zakaz zbliżania się do niego i do dziecka, więc kiedy dowiedział się o kolejnych próbach spotkania matki z córką, wezwał policję i kobieta została aresztowana. Potem w peruce i przebraniu przychodziła pod szkołę, by popatrzeć na córkę.

Po jakimś czasie udało się jej nawiązać z nią kontakt i przekonać ją, by zachowała to w tajemnicy. Stopniowo dziewczynka zrozumiała, że mama ją kocha i chce się nią opiekować. Kiedy jednak któregoś dnia kobieta przyszła pod szkołę, dziewczynki tam nie było. Przeprowadziła się z ojcem w inne miejsce w Japonii i zmieniła szkołę. W tamtym momencie od sfałszowanego rozwodu minęły już dwa lata i trwała sprawa o odzyskanie opieki nad dzieckiem.

Pewien Francuz, starając się odzyskać prawa do dzieci, w akcie desperacji podczas igrzysk w Tokio w 2020 r. rozpoczął głodówkę pod stadionem olimpijskim.

Byłam w sądzie w charakterze wsparcia, ale zostałam wyproszona z uwagi na osobisty charakter sprawy. Wszystkie zabiegi dyplomatyczne spotykały się z chłodną obojętnością albo nawet średnio skrywaną irytacją. Bo jak to tak, żeby konsul mieszał się w wewnętrzne sprawy japońskie? Mijały kolejne lata, a matka nadal nie miała kontaktu z córką. Rozpaczliwie poszukiwała jej wszystkim sposobami. Myślę, że mogła czuć się oszukana, że nie potrafiłam jej bardziej pomóc.

Ale ja nie tylko jej nie potrafiłam pomóc, były jeszcze inne osoby w podobnej sytuacji. Ogrom problemu uświadamiały mi spotkania w grupie ds. konwencji haskiej. Inni konsulowie mieli znacznie więcej takich przypadków. Jeden Francuz, którego poznałam kilka lat temu, starając się odzyskać prawa do swoich dzieci, w akcie desperacji, żeby zwrócić uwagę na problem międzynarodowej opinii publicznej, podczas Igrzysk Olimpijskich w Tokio w 2020 r. rozpoczął głodówkę pod stadionem olimpijskim. Udało mu się zwrócić uwagę prezydenta Francji, Emmanuela Macrona, ale nadal nie wie, co się dzieje z jego dziećmi. Wszystkie jego działania były do tej pory bezskuteczne, nawet uzyskanie wydanego przez francuski sąd nakazu poszukiwania dzieci przez Interpol i skierowania sprawy pod jurysdykcję Rady do Spraw Człowieka ONZ.

W tych tragicznych historiach jest też druga strona medalu. Zdarza się, że matka lub ojciec zabierają dzieci, uciekając z przemocowego związku, a więc poszukujący dzieci rodzic może być też oprawcą. To bardzo trudne sprawy; dlatego powinny być rozstrzygane przez sąd na podstawie międzynarodowych standardów prawnych.

Niestety, znając japońską mentalność, przypuszczam, że takich spraw jest znacznie mniej. Jest w Japończykach jakiś kulturowy impuls każący im dokonywać trudnych do zrozumienia wyborów. Poznałam matki, które nawet nie potrafią zająć się dzieckiem, ale pragną, by zostało przy nich, i doprowadzają po rozwodzie do utraty kontaktu z ojcem. Oczywiście wśród rozwodzących się rodziców są też tacy, którzy sami ustalają wspólną opiekę nad dziećmi – to jednak nie leży w japońskich tradycyjnych normach życia społecznego i systemu prawnego.

*Dominika Giordano przez 12 lat mieszkała w Japonii. Najpierw przez siedem lat pełniła funkcję konsula RP w Tokio. Później przeprowadziła się ze stolicy do Ōi w prefekturze Kanagawa i pracowała w japońskiej korporacji. Po pandemii wróciła do Tokio, gdzie otworzyła polską restaurację w dzielnicy Ueno.

Fragmenty książki Dominiki Giordano *Okno z widokiem na Fuji. Japonia – kraina szeptów i niedomówień*, Bezdroża/Helion, Gliwice 2025

eprasa.pl f46a69fb42

JOLKA

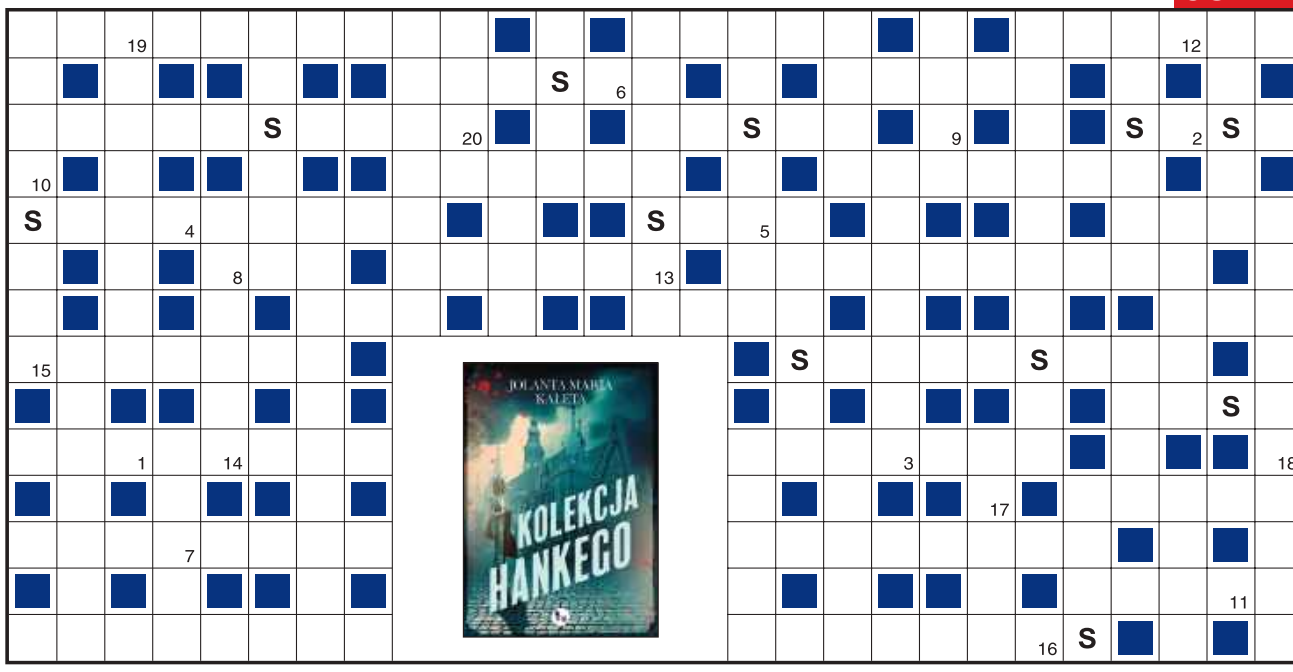

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- zespół zabytków z Partenonem
- metoda badawcza, rozpatrywanie problemu
- Andamany lub Lofoty
- sztuką się zajmuje, a co z jej emeryturą?
- pierścieniowata wyspa koralowa
- pływacki, nawet olimpijski
- plac ze straganami i krzykliwymi przekupkami
- niemowlę pieszczotliwie lub lalka dzidziuś
- zęba, głowy, łamanie w krzyżu
- marka japońskich zegarków
- część buta osłaniająca kostkę, łydkę
- imię pisarki Wharton
- myślenie wyłącznie o sobie
- wystawiany dowód transakcji
- imię reżysera filmu „Magnat"
- Japonka umilająca czas
- komputerowa lub w klasy
- opad z lodowych kulek
- ukraińskie miasto albo szczyt w Bieszczadach
- nazwisko żony Szekspira
- uprawia wspinaczkę w najwyższych górach
- córka Gospodarzy w „Weselu"
- wojownicy służący jasnej stronie Mocy
- pająkopodobny stwór z „Wiedźmina"
- Basków lub Kwitnącej Wiśni
- miasto nad Wisłokiem znane ze szkła
- kacze pośladki
- mieszkaniec kraju na Półwyspie Indochińskim bez dostępu do morza
- pierogów lub bałwana
- swędzący wykwit skórny
- …Zedong
- pertraktacje, rokowania
- wyznawca żarliwy, bo świeży
- umiejętność zachowania się w towarzystwie
- męstwo, śmiałość
- damski kostium plażowy
- …Górskiego – piłkarze z lat 70.
- Lord... czyli Oscar Wilde
- Krzysztof, dyrektor Polskiego Baletu Narodowego
- kontener, zbiornik, naczynie
- setna część danej wielkości
- samorządowiec reprezentujący mieszkańców
- ruch na nim dookoła wysepki
- poranne kropelki wody
- po złote wyruszył Jazon
- mieszanina mgły, dymu i spalin
- zakorzeniony schemat myślowy
- wisi na lekarskiej szyi
- skoki, którymi się sadzi
- na tytoń do niuchania
- żółwie, ślimacze albo ostre
- najniższa warstwa atmosfery
- przybyli pod okienko
- defekt, uszkodzenie, przywara
- jedna poetycka linijka
- …amerykański – pluskwiak
- krzyczący po otwarciu zaczarowany list
- dymna, prysznicowa lub okienna

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1281". Do rozlosowania książki „Kolekcja Hankego" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 lipca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1278" z nr. 25: *Zbytek zje i wielkiego pana*. Nagrody otrzymują: Krzysztof Janur z Warszawy, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Olga Obara ze Świebodzina.

eprasa.pl f46a69fb42

Komu można ufać, a komu nie?

Nasz czy ich? Takie zawsze jest pierwsze pytanie, czy to prezydenta, czy premiera, gdy jadą z wizytą zagraniczną i wiadomo, że będzie ją przygotowywała miejscowa placówka. A tu można dużo – już na etapie organizowania spotkań, doboru rozmówców, gości. Można daną wizytę podbić albo uczynić ją mało zauważalną. Szef placówki może tu wiele, zwłaszcza jeśli na swojej robocie się zna.

I teraz jedzie Karol Nawrocki na szczyt NATO do Turcji, pytanie zasadnicze brzmi zatem, jak będzie. W przypadku Ankary Nawrocki może odetchnąć. W Turcji mamy pełnego ambasadora, jest nim Maciej Lang, zawodowy dyplomata. I to z CV długim jak u mało kogo. Był ambasadorem w Turkmenistanie, Afganistanie, Kazachstanie, Turcji, Rumunii i znów od roku 2023 jest w Turcji. Dodajmy – placówki opuszczał przed czasem, na żadnej nie dotrwał do końca zwyczajowej czteroletniej kadencji. A dlaczego? Bo inne obowiązki go wzywały. Na przykład w roku 2021, gdy był ambasadorem w Bukareszcie, otrzymał wezwanie od ministra Raua i pojechał do Kabulu, z którego uciekali Amerykanie. Tam kierował ewakuacją polskich obywateli.

To była poważna operacja: 52 loty wojskowe, 15 lotów cywilnych, przetransportowano 1232 osoby. „Każda z ewakuowanych osób musiała być zlokalizowana, odszukana w wielotysięcznym tłumie kłębiącym się przed bramą bazy, a następnie fizycznie wciągnięta na lotnisko i umieszczona w prowizorycznym campie, który tam zorganizowaliśmy. Później wysłana wojskowym transportem do Uzbekistanu, skąd samoloty LOT-u przewoziły ewakuowanych do Warszawy”, opisywał Lang.

Cóż, w tym natłoku różnych wyzwań podkreślmy jeszcze jedną jego misję – w latach 2018-2020, czyli w czasach PiS i Jacka Czaputowicza, był wiceministrem spraw zagranicznych. W kierownictwie MSZ był jedynym zawodowcem, jedyną osobą, która pracowała wcześniej na placówce zagranicznej. Potem pojechał do Rumunii, a teraz jest w Turcji. I Sikorski go nie rusza. Pisowski wiceminister ma się dobrze. Pewnie ku zadowoleniu Karola Nawrockiego i Marcina Przydacza.

Historia Langa, człowieka, który zadowala wszystkich, jest czymś rzadkim, jeśli chodzi o polską administrację. Bo dominuje raczej nieufność. Klasycznym przykładem była Anna Fotyga, która szefowała MSZ w latach 2006-2007, za pierwszego PiS. Uważała, że jest otoczona geremkowszczyzną i mało komu ufała, a najmniej ambasadorom. To była rozpacz, bo ci pisali do Warszawy, a ona w nic nie wierzyła – podejrzewała ich o najgorsze. Wreszcie jeden wpadł na pomysł: zanim coś napisał, brał do gabinetu rezydenta i opisywał mu daną sprawę. Sprzedawał mu rzeczy, do których rezydent nigdy by nie dotarł. Po linii wywiadu depesza szła szybciej, więc i szybciej lądowała na biurku szefowej MSZ. A gdy przychodziła informacja od ambasadora, taka sama, Fotyga jej nie odrzucała. Bo po co, skoro potwierdza prawdę?

Anegdotka o nieufnej Fotydze jest nie tylko opowieścią o patologii MSZ. To też opowieść o bystrości ambasadorów, którzy nawet w trudnej sytuacji potrafili sobie radzić.

Attaché

Czy i tu padło niewygodne pytanie i ktoś ma się ogarnąć? Angela Merkel i francusko-niemiecki artysta Jérémie Queyras podczas odsłonięcia jego portretu byłej kanclerz Niemiec. Muzeum im. Bodego w Berlinie, 30 czerwca 2026 r.

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl f46a69fb42

PENETRACJE

DUŻY FORMAT — BOHDAN ŁAZUKA,
AKTOR, PIOSENKARZ

Dymsza już był w Syrenie, a mnie zaproponowano tam angaż i powiedziałem, że się zgadzam, ale pod jednym warunkiem: chcę siedzieć w garderobie z Adolfem Dymszą. Mam wciąż ten aneks do umowy. On wiedział, kto to jest Łazuka, i się zgodził. I on siedział tu, a ja tu. To było dla mnie w pewnym sensie przedłużenie szkoły aktorskiej. Dymsza brylował w najrozmaitszych powiedzonkach. Na przykład wchodzę do garderoby: „Panie Dodku, głowa mnie tak strasznie boli…", a on od razu: „Nie moja wina". Takie skróty.

Mieszkał w Międzylesiu. Do Warszawy dojeżdżało się stamtąd ciuchcią. Ostatni pociąg był o 11 wieczorem, a kolejny dopiero o 6 rano. I kiedyś Dodek wyszedł wieczorem na spacer z psem i widzi, jak ten ostatni pociąg do Warszawy już prawie rusza, ale biegnie ku niemu babcia taka z tobołkiem: „Panocku, panocku, jeszcze ja, jeszcze ja!". I Dymsza opowiada w garderobie: „Zdjąłem psa ze smyczy, poszczułem babinę i zdążyła".

zwierciadło — DOROTA SUMIŃSKA,
LEKARKA WETERYNARII, PUBLICYSTKA

Kiedy po 25 latach wyleciałam z radia TOK FM, co wydarzyło się dwa czy trzy miesiące po śmierci mojego męża, byłam w bardzo złej formie. Wyjechałam na urlop z przyjaciółką i ona w pewnym momencie mówi: „Słuchaj, przecież jest internet, dlaczego nie miałabyś przenieść się tam?". Pomyślałam: okej, ale jak już mam być panią siebie, to chcę z córką. Zróbmy to razem. A równolegle ona, nie wiedząc o moich pomysłach, doszła do tego samego wniosku. I zaczęłyśmy. My dwie i komputer. Co sobotę na YouTubie można obejrzeć nowy odcinek podcastu „Sumińska – zwierzę ci się".

VIVA! — KATARZYNA PUZYŃSKA,
PISARKA

Pisanie ma moc terapeutyczną, bo często przemycam w książkach swoje historie, swoje emocje. Ale nie ukrywam, że dużo mnie to kosztuje. Seria o Lipowie była pod tym względem wyjątkowa, bo naprawdę było tam mnóstwo moich rzeczy. W pewnym momencie stała się dla mnie bardzo ciężka. Do tego stopnia, że nie miałam ochoty brać się w ogóle do pracy, bo tak byłam przytłoczona, Dla czytelników była fikcją, a dla mnie bagnem emocji. Wtedy postanowiłam, że muszę napisać coś, co nie będzie ze mną aż tak związane. Uciekłam do fantastyki i pisząc „Chąśbę" czy „Sąpierz", czułam się, jakbym była na wakacjach. W tych książkach nie było mnie wcale. W nowej serii znów poprzemycałam trochę siebie, ale z umiarem.

na szczycie — AGNIESZKA WIERNIK,
LEKARZ MEDYCYNY GÓRSKIEJ

Najczęściej konsultuję ludzi, którzy już na coś chorują i chcą się dowiedzieć, czy mogą jechać i jak to zrobić bezpiecznie. Zawsze staram się znaleźć wyjście z sytuacji, bo tak naprawdę jest bardzo mało bezwzględnych przeciwwskazań do turystyki wysokogórskiej. Zazwyczaj są to tak zwane przeciwwskazania względne, czyli można jechać na wyprawę, ale trzeba zachować szczególną ostrożność i dopilnować jakichś warunków. Góry są dla wszystkich, więc staram się pomóc ludziom w spełnianiu marzeń. (…) Konsultowałam kiedyś pana, który miał duże problemy z ciśnieniem, otyłość i operację leczenia otyłości. Już z samego opisu wydawało mi się, że ciężko będzie coś tutaj doradzić. Ale po jakimś czasie zobaczyłam szczupłego, zdeterminowanego faceta, który trzyma się wszystkich zaleceń pooperacyjnych, wspaniale idzie mu utrata masy ciała i odzyskuje zdrowie. To w sumie czemu miałby nie pojechać w góry?

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), POLSKA ORKA POLITYCZNA

eprasa.pl f46a69fb42

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* baśniowa opowieść: A D E E L N
* rzymska na talerzu: C E E I P Z
* śmieszna strzelba: A A K K U W
* moczy kij: A Ę K R W Z

P D G N

ROZWIĄZANIA: LEGENDA, PIECZEŃ, PUKAWKA, WĘDKARZ

Aby język giętki…

PROF. JAN ZIELONKA O PRZYSZŁOŚCI UNII
Miała zabić demony nacjonalizmu, a mamy największą jego falę od II wojny światowej.

AGNIESZKA HOLLAND O ADAMIE SZŁAPCE
Jak w końcu powołano rzecznika, to tym rzecznikiem jest ciapo-ciapa- Szłapka, który niczego nie tłumaczy, tylko się właściwie tłumaczy.

JULIUSZ MACHULSKI O KIBICOWANIU
Przez lata kibicowałem naszym piłkarzom całym sercem. Jednak kibice nie wystarczą, trzeba umieć grać.

PROF. MACIEJ ZALEWSKI O BEZPIECZEŃSTWIE WODNYM
W Europie mniej wody od nas mają tylko Cypr, Malta i Czechy.

KATARZYNA HERMAN O PODLASIU I STEREOTYPACH
Z jednej strony szeptuchy, mistycyzm i bieżuni, z drugiej bimber, sękacz i stolica disco polo.

ANNA FRĄTCZAK O SEBASTIANIE PAWLAKU
To jest historia o tym, że można iść za kimś i jednocześnie iść za sobą. I że to się wcale nie wyklucza.

SEBASTIAN PAWLAK O ANNIE FRĄTCZAK
Jedyna rzecz, która naprawdę działa – trzeba ze sobą rozmawiać i nie zamykać się w swoich racjach. Trzeba o siebie dbać.

IZABELA KUNA O BYCIU STARSZĄ
Teraz mniej marudzę, choć nadal bywam cyniczna i złośliwa.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl f46a69fb42

Agata Kus Obietnice

Świtezianki

Trening

Agata Kus należy do grona najbardziej rozpoznawalnych artystek młodego pokolenia na międzynarodowej scenie sztuki współczesnej. Głównym motywem wybranych na wystawę prac – obrazów, w tym najnowszych, rysunków i specjalnie stworzonych wielkoformatowych pasteli – są obietnice i życzenia, spełnione i pozostające w sferze pragnień. Twórczość Agaty Kus, zakorzeniona w klasycznej tradycji malarskiej, łączy figurację z eksperymentem formalnym, balansując między powagą, wzniosłością a popkulturą. Ważnym źródłem inspiracji pozostają dla artystki dzieciństwo i dojrzewanie – doświadczenia kształtujące sposób postrzegania siebie i świata.

Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie
Plac Zdrojowy 2
do 23 sierpnia

Obietnice

fot. materiały prasowe

Infanta I

eprasa.pl f46a69fb42

Pomagamy dzieciom, które nie mogą stać się dziećmi, które mogą.

Fantazja w RUCHU

Strukturalny program sportowy, ruchowy i sensoryczny, zaprojektowany w celu rozwijania umiejętności fizycznych, motorycznych i poznawczych chorych dzieci.

Program obejmie wsparciem 2 400 dzieci z niepełnosprawnościami oraz zagrożonych wykluczeniem społecznym.

Dowiedz się więcej

info@f-df.pl

www

Fundacja Dziecięca Fantazja

eprasa.pl f46a6bb

W Polsce 364 tysiące dzieci żyje w skrajnym ubóstwie, często są głodne.
Potrzebna im Twoja pomoc.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

Wpłać i nakarm

BLIK
794 33 22 11
z dopiskiem „OBIAD"

eprasa.pl f46a69fb42